

- Życ demokratycznie — to znaczy jak?
- Noc w gaju oliwkowym
- O sobie, Janie i wojnie
- Uwierzyć w lekarza

## Jak być posłem?

Posłowie wybrani 13 października 1985 roku będą kontynuowali pracę posłów VIII kadencji. Czekają ich trudne i odpowiedzialne zadania. Byłoby pożyteczne, aby mogli skorzystać z doświadczeń swoich starszych stażem kolegów. Dlatego zaprosiliśmy do redakcji posła VIII kadencji oraz dwóch poprzednich, prof. dr HENRYKA RAFALSKIEGO, kierownika Katedry Higieny Akademii Medycznej. Zaprosiliśmy również kandydatkę na posłankę z okręgu wyborczego nr 42, ELŻBIETĘ PRUSINOWSKĄ, inżyniera rolnika, głównego specjalistę do spraw wiejskiego gospodarstwa domowego w Wojewódzkim Ośrodku Postępu Rolniczego w Bratoszewicach.

W spotkaniu wzięli też udział: ALFRED LUTRZYKOWSKI, politolog, radny Rady Narodowej Miasta Łodzi, dr inż. ANDRZEJ PIETRZAK, adiunkt w Instytucie Konstrukcji Maszyn Politechniki Łódzkiej. Redakcję „Odgłosów” reprezentowali: Bogda Madej i Tomasz Sas.

**A. LUTRZYKOWSKI:** — Nurtuje mnie takie pytanie, a myślę, że nie tylko mnie: kim jest, kim powinien być poseł? Czy to jest zawód polityk, czy też aktywista społeczny, polityczny, który dostąpił zaszczytu bycia członkiem najwyższej władzy w PRL? Te moje pytania sprowokowała niejako wypowiedź prof. Sylwestra Zawadzkiego, który niedawno zastanawiał się publicznie nad tym, czy nie należy przypadkiem dać posłom urlopów na czas kadencji sejmowej, aby mogli się skutecznie skoncentrować na pracy poselskiej?

**E. PRUSINOWSKA:** — Wprawdzie wybory zdecydowały,

czy będę posłem czy nie, ale już teraz zastanawiam się: gdyby tak się stało, to czy poddam jednocześnie swoim obowiązkom zawodowym oraz działalności politycznej i społecznej?

**H. RAFALSKI:** — Rozczaruję tych wszystkich, którzy myślą, że posłowanie to taka wielka rozkosz i same przywileje. To przede wszystkim ogromna odpowiedzialność. A przywileje? Otóż w moich podróżach do Warszawy legitymacja poselska mi nie pomagała. Rzadko udało mi się dostać miejsce siedzące. Konduktorzy odywali mnie najczęściej do ministra komunikacji, abym u niego interweniował, dlaczego nie ma wolnych miejsc w pociągu.

Teraz poważnie. Zgodziłem się dopiero na trzecią propozycję kandydowania do Sejmu PRL, kiedy już byłem przekonany wewnętrznie, że mogę zostać posłem. Dlaczego? Ano musiałem najpierw skonstruować swój indywidualny program, który mieściłby się w ramach podstawowych założeń budownictwa socjalistycznego w Polsce. Poszczególne elementy tego programu ogłosiłem w prasie, między innymi w „Polityce” w latach 1969 — 1971. Dotyczyło to ubezpieczeń społecznych dla rolników, polityki społecznej na wsi i wychowania młodego pokolenia w Polsce Ludowej. Kiedy już zostałem posłem, to moje zainteresowania społeczne, moja wiedza i doświadczenia kwalifikowały mnie do Sejmowej Komisji Zdrowia i Kultury Fizycznej.

Jak pogodzić obowiązki zawodowe, polityczne i społeczne? Odpowiedź na to pytanie jest zio-

4



Foto: Grzegorz Galasiński

— Do Zalecza Wielkiego droga jest prosta — powiedziano mi. — Z Wielunia wyjeżdża się na Częstochowę. W Dziestrznikach, w miejscu, gdzie jest drogowskaz wskazujący kierunek jazdy na Parzymiechy, trzeba skręcić w prawo i dojechać prosto drogą przez wieś i las do Zalecza Wielkiego. W Zaleczu najpierw po prawej stronie trzeba minąć szkołę i na wysokości sklepu GS skręcić w lewo pomiędzy dwa płoty. Wygląda to jak wjazd na wiejskie podwórko, a jest to droga do mostu na Warcie. Z mostu trzeba zaraz skręcić w lewo i jechać drogą przez las prosto do Nadwarciańskiego Gródu.

— Proste — powiedziałem i pojechałem.

### NA 604 KILOMETRZE

rzeki Warty, licząc od jej ujścia do Odry, leży wieś Zalecze Wielkie. Jest jeszcze Zalecze Małe. Ale mnie interesowało tylko Zalecze Wielkie, bo tu trzeba skręcić pomiędzy dwa płoty. Kto nie skręci, ten jedzie dalej i musi wracać.

Pierwsza pisana wzmianka o Zaleczu Wielkim pochodzi z 1357 roku. Do połowy XIX wieku wieś leżała na lewym brzegu Warty, ale rzeka ciągle wieś podtapiała. Przeniesiono się więc na brzeg prawy, wyższy. Dawniej wieś należała do gnieźnieńskich dóbr kościelnych.

Arkady Fiedler napisał kiedyś, że Warta to taka rzeka, która się wieri. Rzeka ma 808 km długości i do Zalecza Wielkiego płynie ze wschodu od strony Dzieżoszyńca. Tuż za Zaleczem Wielkim skręca gwałtownie na północ, mija Kępowiznę, gdzie przy zrujnowanej zaporze stoi drewniany młyn wodny z 1919 roku. Za Madelami skręca na północny wschód, a za Przywozem na północ i przez Krzczów, Osjaków, Rychłocice, Burzenin płynie do Sieradza. Między Zaleczem Wielkim i Przywozem powstał Łuk Warty. Mijając most na Warcie w Zaleczu Wielkim wjeżdżamy do wnętrza tego Łuku. Teraz już droga przez las zaprowadzi nas do Kępowizny. Wieś leży na zewnętrznej stronie Łuku. Jest to dokładnie 600 kilometr rzeki licząc od jej ujścia do Odry.

Rejon ten był miejscem, w którym od wieków osiedlali się ludzie. Archeolodzy znaleźli tu między innymi 42 groby z czasów około 900—600 lat przed naszą erą. Rzeka na wewnętrznej części Łuku Warty przez wieki nosiła piasek. Zawsze było tu sucho i ubogo. Teraz rośnie las, a na jego brzegach, nad rzeką, stoją małe gospodarstwa rolne.

### LUCJUSZ WŁODKOWSKI

## Chleb na wodzie

Zaraz za Dziestrznikami zaczyna się Zaleczański Park Krajobrazowy. Utworzono go w styczniu 1978 roku. Obejmuje 7,470 ha powierzchni, w tym 4,310 ha lasów i 200 ha wody. Otacza go strefa ochronna o powierzchni 8,010 ha. Dokładnie naprzeciwko Kępowizny, na 600 kilometrze rzeki Warty, leży Nadwarciański Gród.

Tego lata

### BYŁA NA WARCIE WIELKA WODA

— Zalało wszystko — mówi Maria Kowalska — tylko kort tenisowy, który jest trochę podwyższony wyglądał jak wyspa. Dzieci na placu zabaw spokojnie się kąpały. Nad brzegiem koło samej wody drzewa powyrzywały.

W lipcu, gdy Warta płynęła wielka woda, a prąd w rzece był niebywale szybki, do kajaka wsiadło troje ludzi. Oni, ludzie w wieku 40 lat, małżeństwo, i ich dwunastoletnia siostrze-

nica. Teraz ludzie mówią, że byli trochę „nagrani”. Kto trzeźwy wsiadł do kajaka przy tak wielkiej wodzie i tak rwącym prądzie? Ale oni wsiadli i popłynęli. Już po chwili mężczyzna stracił panowanie nad kajakiem. Prąd porwał łupinę z trojgiem ludzi i rzucił pod lewy brzeg, gdzie wysoka skarpa piaszczysta i liczne gązienie nad rzeką. Mężczyzna i dziewczynka

złapali się tych gązień i unieśli z płynącego szybko kajaka. Kobieta została. Kajak się wywrócił i wpadła do wody. Gdy on to zobaczył, rzucił się za nią. Później na chwilę woda ich wyrzuciła. Byli razem szczeni już na wieki.

— Ale rzeka ich rozdzieliła.

Zaraz podjęto akcję ratunkową.

— Przyniesiono chleb i rzucono go na wodę — opowiada Maria Kowalska.

— Dlaczego?

— To taki lokalny zwyczaj. Chleb ma się zatrzymać w tym miejscu, gdzie leży trup.

— I zatrzymał się?

— Nie. Ale jak przyjechał strażacy, aby szukać topielców, to też najpierw chleb rzucali na rzekę.

Jego wyłowiono po pięciu dniach za Madelami. Ją po ośmiu, w dniu jego pogrzebu, jeszcze dalej w rzece, gdzieś za Przywozem.

Strażacy zmierzylili głębokość rzeki w miejscu, gdzie utonęli. Było wtedy 6 metrów.

### PO WEWNĘTRZNEJ STRONIE ŁUKU WARTY

na wprost drewnianego młyna wodnego w Kępowiznie była wielka polana. A trochę dalej stało opuszczone gospodarstwo...

— Gdzieś w 1973 roku — opowiada Jerzy Kowalski — w Komendzie Hufca ZHP w Sieradzu powstała myśl wybudowania ośrodka wypoczynkowego w którym można byłoby urządzić obozy dla harcerzy z powiatu sieradzkiego i wzmianić się z innymi ośrodkami. Wybrano miejsce w Gackach—Światowicie, tam, gdzie Oleśnica wpada do Warty. Ale w 1975 roku powiaty przestały istnieć, powstało województwo sieradzkie i wówczas — już w Komendzie Chorzów ZHP — zastanowiono się, czy w nowych możliwościach i przy nowych potrzebach nie poszukiwać innego miejsca. Takie miejsce przy pomocy byłych władz powiatu wieluńskiego znalazł na polanie na wprost drewnianego młyna w Kępowiznie. Można tu było wybudować duży ośrodek bez wycinania lasu. I tak zapadła decyzja o powstaniu Nadwarciańskiego Gródu.

W Łuku Warty, w środku lasu, nad ciągle szumiącą po zrujnowanej zaporze rzeką, leży duży ośrodek harcerski. Dziś jest to Centralna Szkoła Instruktorów Harcerskich ZHP. Stoją trzy duże pawilony, w których mieści się piękna biblioteka, komenda, sale wykładowe, pracownia, magazyny oraz część hotelowa. Jest tu — głęboko w lesie — piękne boisko do piłki nożnej, bieżnia, tor do biegu, z przeszkodami, wszelkie niezbędne urządzenia dla uprawiania lekkiej atletyki, kort tenisowy. Wybudowano kotłownię i oczyszczalnię ścieków. Droga od mostu na Warcie, która wiedzie przez las, została w dużej części już wyasfaltowana, teraz buduje się droga przez samą moście, bo trzeba było ją podwyższyć, aby wielka woda jej nie zalewała i nie odcinała Nadwarciańskiego Gródu od świata. Piasek potrzebny do podwyższenia drogi wykopano w miejscu, gdzie w przyszłości będzie basen kąpielowy.

7



# Ogłosy

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny i zastępca redaktora naczelnego: 36-52-44, sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99, publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włódkowski.

Zastępca redaktora naczelnego: Tomasz Sas.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują: Tadeusz Błażejowski, Krzysztof

Drzewiecki, Bohdan Gadamski Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Krupl, Włodzimierz Krzemieński, Edmund Lewandowski, Alfred Lutrzykowski, Władysław Malka, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Jerzy Panaszewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa - Książka - Ruch” 91-103 Łódź, ul. Piotrkowska 96.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa - Książka - Ruch” 90-950 Łódź ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rekwizytów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: - zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajduje się siedziba Oddziału RSW „Prasa - Książka - Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach - instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma oddziału RSW „Prasa - Książka - Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli, 2. dla indywidualnych prenumerat: osoby fizyczne zamieszkałe na ws. i w miejscowościach gdzie nie ma oddziału RSW „Prasa - Książka - Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli, osoby fizyczne zamieszkałe w miastach - siedzibach Oddziału RSW „Prasa - Książka - Ruch” opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-odfawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratorki. Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa - Książka - Ruch”. 3. Prenumeratę ze decenniem wysyła się w formie przymitru RSW „Prasa - Książka - Ruch” Centrala Kointerazury Prasy i Wydawnictwa ul. Towarowa 28, 00-858 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11 Prenumerata ze zleceniem wysyła się w formie przymitru krajowego o 50 proc. dla decenniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Termin przymitru prenumeraty na kraj i za granicę - do dnia 10 listopada na I kwartał półrocza roku następnego oraz cały rok następnego - do dnia 1 każdego miesiąca - porządkującego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam.: 2972-P-2.

## Na własny rachunek

# Podziały uproszczone

Głosi się nieraz z uporem, że poparcie dla kandydatów do socjalistycznego parlamentu przynosi korzyść jedynie komunistom, znamienne jednak, że nie podbudowuje się tego żadną argumentacją. I nie dziwnego, skoro argumenty wykazują zupełnie co innego. Wprawdzie program wyborczy wypracowany został z czynnym i inspirującym udziałem partii klasy robotniczej, z czego nikt nie robi tajemnicy, ale przecież na jego ostatecznym kształcie zaważyły też opinie wszystkich pozostałych sił i ugrupowań politycznych, reprezentowanych w Patriotycznym Ruchu Odrodzenia Narodowego i nieidentycznych często z marksistowskimi. Na podstawie politycznego kompromisu wyłoniła się znana nam realistyczna propozycja, zaadresowana do

wszystkich ludzi dobrej woli. Zarówno ten program, jak i skład zaakceptowanych przez konwenty wyborcze kandydatów odzwierciedlają w oczywisty sposób pluralizm naszego życia politycznego, przy wspólnym, rzecz jasna, uznaniu podstawowych założeń ustroju socjalistycznego i żywotnych sojuszy państwa. Myślę, że jedną z przyczyn wspomnianego na wstępie niezrozumienia sytuacji przez niektóre środowiska była skłonność do dzielenia zjawisk wyłącznie na „czarne” i „białe”, z czym łączy się błędne wyobrażenie o podziale społeczeństwa wyłącznie na komunistów i... antykomunistów. Wynika to u jednych z politycznej niewiedzy, u innych z chorobliwego zaślepienia, które nakazuje automatycznie odrzucać grom-

nie „nie”, kiedy tylko komuniści w jakiegokolwiek sprawie mówią „tak”. Wyznawcy takich postaw wykluczają istnienie wszelkich orientacji pośrednich, kto więc nie jest komunistą, ten - według nich - „musi” być antykomunistą, a nie np. ludowcem, katolikiem lub liberałem. Czy jednak „światopogląd” może wyrażać się wyłącznie w prostej negacji jakiejś doktryny lub idei, bez konstruktywnych kontrpropozycji? Otóż, jak sądzę, ten podział jest tak samo absurdalny, jakim byłoby dzielenie ludzi wyłącznie na katolików i... antykatolików (na takiej błędnej zasadzie trzeba by zresztą pomawiać wszystkich niewierzących o wrogość wobec religii). Świat jest na szczęście znacznie bogatszy w swej różnorod-

ności, toteż w gruncie rzeczy należałoby współzależnym swego rodzaju daltonistom ideowo-politycznym, którzy widzą wszystko tylko w dwóch kolorach. Podejrzewam, że często bywają rozdrażnieni i stopniowo popadają w nerwice, używają bowiem podskórnie, że coś jest „nie tak” i tę wątpliwość usiłują zagłuszyć na różne sposoby. Szerzenie politycznej dezorientacji przez zamazywanie występujących w życiu różnic ideowych i światopoglądowych prowadzi też pośrednio do szkalowania kandydatów spoza szeregów PZPR jako rzekomo wybitnych ideologicznej i politycznej tożsamości. Gdyby jednak sięgnąć do niezbyt odległej historii należałoby przypomnieć - na chybił trafił - rolę sojuszu sił demokratycznych w budowaniu fundamentów Polski Ludowej; współdziałanie ludzi o różnych orientacjach w szeregach republikkańskich, w hiszpańskiej wojnie domowej; bliskość współpracy z komunistami socjaldemokratów liberałów, katolików i in. we francuskim i włoskim ruchu oporu; udział komunistów w powojennym koalicyjnym rzą-

dzie francuskim i poparcie komunistów dla prezydentury Salvadora Allende, itd. To rozsądne i światłe odmienny opinii publicznej nie pożytywały nikomu współdziałania z komunistami za wyzywaniem się od rebelnego oblicza ideowego. Oczywiście, odmienna pod niejednym względem jest sytuacja w kraju budującym socjalizm. Ale przecież nasz program stabilizacji życia i pokoju społecznego, realizacja reformy gospodarczej i rozwijania socjalistycznej demokracji, umacnianie pozycji kraju wśród państw i narodów świata jest programem wytyczającym cele ogólnonarodowe. Zależy go poprzec z czystym sumieniem wcale nie trzeba być komunistą. Wystarczy, że dostrzeżecie się we współdziałaniu demokratycznych sił polską rację stanu. Innymi słowy, wystarczającą pobudką do udziału w wyborach i głosowania na kandydatów z listy wyborczej jest najwzajemniejszy patriotyzm.

**JERZY KWIECIŃSKI**

# Konstanty Mackiewicz

(1894—1985)

Nie pamiętam dokładnie, kiedy to było. Jechał samochodem. Dzień był słoneczny. Było to na skrzyżowaniu ulicy Piotrkowskiej i Juliana Tuwima. Tu niedaleko miał pracownię. Siedział obok kierowcy. Twarz miał smutną. Zle wyglądał. Wtedy właśnie ostatni raz widziałem Konstantego Mackiewicza.

Spotykaliśmy się przypadkowo. A to przy bufecie w Klubie Dziennikarza, gdy brał kawę, ciastko i rzadziej koniak. Ale to było dawno. Czasem na postoju taksówek, kiedy na planu Komuny Paryskiej czekaliśmy, aby pojechać do domu. Przy takim jednym spotkaniu opowiadał mi, jak to kręcił o nim film i czego to nie wymagała od niego. Opowiadał z humorem, ale opowiadał. To spotkanie też było dawno. Lubilem bardzo być na zebraniach, gdy był na nich Konstanty Mackiewicz. Umiał patrzeć na świat realnie, z dystansem, a przecież świat nie był mu obojętny. Kilkomu zdaniem potrafił obnażyć bezbrzoza zawilgoczonego wielu dyskutantów. Ciągłe go coś oburzało.

Kochał sztukę, gołębie, koty i ludzi. Jego cykl malarski „Tu byli ludzie” pokazuje okrutną przyszłość, jaką mogą sobie zgotować ludzie, gdy się nawzajem wymordują w nuklearnym konflikcie. Ten cykl powstał z jego umiłowania pokój. Ale myślę, że i katędy przez niego malowane miały pokazać współczesnym, jakie to piękno stworzył nasz przodekowie i my lub nasi potomni możemy je uczynić bezużytecznym, nikomu niepotrzebnym lub zamienić je w gruzy. Po co? Czyż nie lepiej w spokoju podziwiać to, czego dokonał ludzki geniusz?

Urodził się pod koniec 1894 roku w Malorycie koło Brześ-



Foto: Włodzimierz Parys

cia nad Bugiem i ciągle sprzeczał się, że mu niesłusznie dopisano rok życia, bo te dwa miesiące, to przecież nie rok cały. Studia malarskie odbywał w Odessie, Penzie i Moskwie. Był świadkiem i uczestnikiem wielu wydarzeń z tamtego okresu. Znal wybitnych artystów. Holdował ówczesnym prądom artystycznym. Chętnie uczył się od innych, ale do końca życia pozostał indywidualistą. Jeszcze za życia stał się legendą. Był bohaterem pociesznych anegdotek i autorami doczytnych a złotych powieści.

Do Polski wrócił w 1923 roku. Najpierw zamieszkał we Lwowie, a później w Łodzi. Do wojny był znanym i cenionym scenografem. Autorem wielu scenograficznych eksperymentów. Jego scenografią zainteresował się Stanisław I. Witkiewicz - Witkacy, który list do niego zaadresował: „Konstanty Mackiewicz - rzadki okaz malarza”. Jednocześnie zajmował się malarstwem sztalugowym, a po wojnie już tylko temu się poświęcił. I chyba właśnie w tym okresie odniósł największe sukcesy.

Zmarł w ostatnim dniu września. Jesienią częściej niż w innych porach śmierć przyrywa łódzkie życie. Przżył 91 lat. Niemal do końca swoich dni pracował. Wiosną marzył - jak wspomina Mieczysław Jagoszewski - że namaluje las inaczej, pełen kolorowej burzliwości. Kochał las, bo z dzieciństwa wyniósł obraz zieleniących się brzoź. Rzekę Niemen uważał za jedną z najpiękniejszych rzek świata, bo była rzeką jego dzieciństwa. Osiadł w mieście, gdzie w pobliżu nie ma lasów i gdzie nie płyną rzeki. Ukochał to miasto pracy, bo nie mógł żyć bez pracy. Sztuka była treścią jego życia. Musimy teraz mieć świadomość, że już nie namaluje. Odszedł od nas wielki artysta. Ale pamięć o nim, jego sztuka pozostanie na zawsze. I oby nigdy nie sprawdziła się wizja jego obrazów z cyklu: „Tu byli ludzie”.

**LUCJUSZ WŁÓDKOWSKI**

# Nie obiecywać zbyt wiele

W ostatnią sobotę przy telefonach wszystkich gazet popołudniowych w kraju zasiadli kandydaci na posłów z listy krajowej, odpowiadając na pytania i notując uwagi i postulaty wyborców. Wśród gości „Expressu Ilustrowanego” znalazła się znana dziennikarka Krystyna Zielińska. W czasie trzygodzinnego dyktura odebrała telefony od blisko pięćdziesięciu osób. Korzystając z okazji poprosiliśmy o krótką wypowiedź także i dla „Ogłosów”.

— Czy w sprawach poruszanych w czasie rozmów telefonicznych widzi pani jakąś specyfikę Łodzi, czy problemy różnią się od tych, z jakimi zwracano się do pani w czasie innych spotkań?

— Są to wciąż te same sprawy i bolączki. Może - ze spraw, o których nie mówiono gdzieś indziej lub mówiono mniej - do łódzkich zaliczyć można kłopoty związane z brakiem wody na wysokich piętrach bloków, z problemami ludzi starych, zamieszkujących duże, stare mieszkania, w których sami nie mogą już nawet zamknąć okna, z budową kolejnej, piątej elektrociepłowni, choć w mieście są już cztery.

Nieco zaskoczyła mnie mała ilość skarg na funkcjonowanie handlu, zaopatrzenie, usługi - co chyba dobrze świadczy o działalności łódzkich władz handlowych.

Jadąc do Łodzi wiedziałam, że jest to województwo kobiece - a tymczasem wśród dzwoniących przeważali mężczyźni, nie były poruszane sprawy zaliczane do typowo kobiecych ani też związane z łódzkim przemysłem lekkim.

Ponad połowa dzwoniących to przedstawiciele inteligencji - lekarze, ekonomiści, nauczyciele - poruszający istotne problemy, np. podniesienie kwalifikacji nauczycieli i pe-

dagogów, wprowadzenie większej dyferencjacji wynagrodzeń w służbie zdrowia. Mało natomiast dzwoniło robotników, co być może wiąże się z faktem, że jest wolna od pracy sobota, a w domach telefony posiadają częściej przedstawiciele inteligencji.

Odebrałam również kilka uwag krytycznych. Niektórzy rozmowy uważali, że ograniczam się do egzemplifikacji, nie docieram natomiast do źródła, oczekiwali ode mnie głębszej analizy i syntezy zjawisk. Nie usprawiedliwiam się, ale jest to fakt, że częściej mówię o sprawach życia codziennego. Nie dlatego, abym nie była zdolna do analizy szerszych zjawisk. Uprawiam po prostu mały pozytywizm - wierzę w politykę małych, ale konkretnych kroków i uważam, że lepiej mówić o tym, co boli niż co dzień, niż dawać dobre rady natury ogólnej.

— Czy w sprawach, z którymi ludzie zwracają się do pani zmieniło się coś od chwili, gdy została pani kandydatką na posła?

— W pewnym sensie tak. Nigdy nie mówiłam o sobie tyle, co teraz, straciłam po prostu prywatność. Nawet dzieci z IV klasy szkoły podstawowej przeprowadzały ze mną wywiady.

A mówiąc poważnie - obawiam się nieco tego zaufania i wiary, z jakimi zwracają się do mnie ludzie, przekonani, że wszystko potrafię i mogę, że jako poseł zatłumię już wszystkie ich sprawy. To nie jest możliwe. Kandydat na posła i dziennikarz ze spora praktyką nie może obiecywać zbyt wiele. Byłaby to kłębna wyborcza - a przecież mamy kartki...

(tj)

# Wydarzenie polityczne

„Czytelnik” wydał książkę, która stała się wydarzeniem politycznym. Książka ta jest „KTO JEST KTO W POLSCE INACZEJ” Andrzeja Kepińskiego i Zbigniewa Kilara. Dwa dziennikarze z Jeleniej Góry podjęli śmiało przedsięwzięcie pokazania polityków i działaczy społecznych czy gospodarczych inaczej. Politycy często udzielają wywiadów, pokazują się w telewizji, ale wówczas mówią o polityce, gospodarce, o tym, co głównie zajmuje i interesuje w danej chwili czytelników lub słuchaczy. Dwa dziennikarze z Jeleniej Góry postanowili pokazać tych samych ludzi inaczej, posłuchać, co oni myślą o różnych problemach, jak widzą własne życie i własne dokonania.

Wydawnictwo we wstępie stwierdza, że jest książka bez precedensu „w Polsce i w naszym regionie, a być może w ogóle w świecie”. „Czytelnik” zapowiada jej część drugą, bo nie wszyscy zgodzili się na rozmowę o samym sobie, a niektórzy odłożyli ją na później. Autorzy pracują więc dalej.

W książce znalazły się rozmowy z 24 osobami ze świata polityki, gospodarki i kultury. Jest więc m. in. rozmowa z Kazimierzem Barcikowskim, Stanisławem Guzewą, Hieronimem Kubiakiem, Januszem Obodowskim, Mieczysławem F. Rakowskim, Albinem Siwakiem, Jerzym Urbanem i Kazimierzem Zygalskim. A każda jest ciekawa, pokazująca znanego człowieka od nieznanej strony. Wstrząsająca jest wręcz rozmowa z Albinem Siwakiem.

Książkę wydano w nakładzie 50 tysięcy egzemplarzy. Myślę, że „Czytelnik” będzie musiał szybko zrobić dodruk. Po raz pierwszy bowiem politycy ukazali się ludziom od mało znanej strony, a to zdarza się rzadko. Jest to niewątpliwie wyniki przemian, jakie dokonały się w naszym kraju i dlatego książka ta jest wydarzeniem politycznym.

L. B.

# Konkurs literacki

## „Opisanie rodziny”

Budowa w Łodzi Szpitala-Pomnika Centrum Zdrowia Matki oraz chęć zasugerowania pisarzom określonej tematyki natchnęła organizatorów (Rada Łódzka PRON, Zarząd Główny ZLP, Urząd Miasta Łódź, Wydawnictwo Łódzkie i łódzki oddział KAW) ideą wielkiego konkursu literackiego pod nazwą „Opisanie rodziny”. Idzie więc o powieści, których tematem będzie rodzina, jej społeczne i historyczne losy, ze szczególnym uwzględnieniem - jak głosi komunikat - postaci matki!

Zapowia any konkurs przewidziano w dwóch kategoriach: zamkniętej (tu organizatorzy zaprosili do udziału czołowych pisarzy polskiej literatury) oraz otwartej, nie limitowanej żadnymi warunkami. Prace konkursowe o objętości nie mniejszej niż 8 arkuszy autorskich (o-

koło 185 stron znormalizowanego maszynopisu), w trzech egzemplarzach, należy nadsyłać pod adresem Wydawnictwa Łódzkiego (ul. Piotrkowska 171, 90-447 Łódź) do dnia 15 stycznia 1987 roku, z dopiskiem na kopercie „Opisanie rodziny”. Mogą to być jedynie teksty dotychczas nie publikowane, opatrzone godem. Do maszynopisu należy dołączyć zamkniętą kopertę z tym samym godłem zawierającą imię i nazwisko autora oraz jego dokładny adres.

Jury konkursu zostanie powołane przez organizatorów w terminie późniejszym wtedy też ogłosi się jego skład. Jury zastrzegając sobie prawo innego podziału nagród przynajmniej:

- I nagrodę - 200 000 zł,
- II nagrodę - 150 000 zł,
- III nagrodę - 100 000 zł,
- oraz trzy wyróżnienia po 50 000 zł.

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w okresie poprzedzającym otwarcie Szpitala-Pomnika Centrum Zdrowia Matki. Organizatorzy zastrzegają sobie pierwszeństwo publikacji prac nagrodzonych.

(GRZ.)



# Życie demokratycznie — to znaczy jak?

ALFRED LUTRYKOWSKI

**R**ealizacja ludowładztwa, wyścielonej zasady demokracji socjalistycznej, jest najważniejszą bodajże przesłanką determinującą charakter i zasady działania mechanizmu politycznego społeczeństwa. Jedną z podstawowych form udziału społeczeństwa w sterowaniu sprawami kraju jest autentyczny, rozstrzygający udział w wyznaczeniu przedstawicieli organów władzy państwowej, które w socjalistycznym ustroju zajmują czołową pozycję. Rola organów przedstawicielskich wynika z racji ich charakteru, masowości, sposobu powoływania, jak też z tytułu kompetencji, w jakie są wyposażone. Stanowią one bezpośrednią reprezentację społeczeństwa i jako takie w najwyższym stopniu upoważnione są do pełnienia najważniejszej roli wśród mechanizmów sterujących życiem społecznym. Są więc one formą udziału obywateli w rządzeniu krajem, będąc główną instytucjonalną podstawą ludowładztwa.

Art. 2 „Konstytucji PRL” głosi:

„Lud pracujący sprawuje władzę państwową przez swych przedstawicieli, wybieranych do Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i do rad narodowych, w wyborach powszechnych, równych, bezpośrednich, w głosowaniu tajnym”.

Idea ta przewija się w wielu jeszcze innych przepisach ustawy zasadniczej w bardziej rozwiniętej, konkretyzującej formie. Między innymi w art. 8 jest taki oto zapis: „wszystkie organy władzy i administracji państwowej opierają się w swej działalności na świadomym, czynnym współdziałaniu najszerszych mas ludowych”.

Powodzenie w rozwoju i umacnianiu demokracji socjalistycznej bądź zahamowanie i regres w tym zakresie są funkcją rzeczywistej roli organów przedstawicielskich. Przekonuje o tym także najnowsza polityczna historia Polski Ludowej. Faktyczna rola Sejmu PRL i rad narodowych w terenie są stałymi wyznacznikami stopnia

realizacji założeń ustrojowo-politycznych. Organy te bowiem stanowią niezwykle czułe i precyzyjne instrumenty reagujące natychmiast na rozwój sytuacji politycznej. Ich funkcje można by porównać do roli barometru wykazującego stan atmosfery politycznej i sejsmografu rejestrującego wstrząsy i napięcia społeczne.

Zestawienie praktyki, rzeczywistych funkcji Sejmu i rad narodowych z postanowieniami „Konstytucji PRL” określałymi parlament jako najwyższy organ władzy państwowej (art. 20), a rady narodowe jako organy władzy państwowej i podstawowe ogniw samorządu społecznego ludu pracującego miast i wsi (art. 43), daje zawsze obraz stanu stosunków politycznych, stopnia realizacji głównych zasad demokracji socjalistycznej. Słuszny jest więc pogląd, że podstawowym i najskuteczniejszym sposobem umacniania i rozszerzania roli ludu jest wzrost pozycji i rangi organów przedstawicielskich i instytucji samorządowych.

Dlatego PZPR przywiązuje tak ogromną uwagę do właściwego funkcjonowania Sejmu i rad narodowych. Znaczący jest też w tym zakresie dorobek teoretyczny i praktyczny wkład, jaki wnoszą ZSL i SD oraz PRON i wiele organizacji społeczno-politycznych. Przedstawiciele nauki polskiej zgłosili obfite zestaw propozycji i koncepcji zmian i konkretnych regulacji politycznych i prawnych.

Na IX Nadzwyczajnym Zjeździe PZPR uznano, że wypełnianie przez organy przedstawicielskie ich konstytucyjnej roli, zapewnienie im w praktyce odpowiadającego ich randze statusu politycznego i autorytetu stanowi podstawowy wyznacznik i kierunek umacniania demokracji socjalistycznej. Konieczność zmian w tym zakresie potraktowano jako pierwszoplanowe postąpienie w ramach programu modyfikacji systemu politycznego naszego kraju.

Jak wiadomo, ustalono, iż najpierw powinny być przeprowadzone zmiany w odniesie-

niu do rad narodowych. Efektem tych przedsięwzięć były: ustawa o systemie rad narodowych i samorządu terytorialnego z 20 lipca 1983 r. oraz ustawa z 13 lutego 1984 r. „Ordynacja wyborcza do rad narodowych”. 17 czerwca 1984 z. odbyły się wybory lokalnych parlamentów, w toku których wyłoniono 7040 radnych wojewódzkich rad narodowych i 103 388 radnych stopnia podstawowego (gminnych, miejskich, miejsko-gminnych i dzielnicowych).

Modyfikacja systemu rad narodowych, traktowana jako zadanie pierwszoplanowe, warunkowała skuteczność szeregu innych zmian, jakich przeprowadzenie przewidywał program socjalistycznej odnowy. Rady narodowe, właściwie usytuowane w ogólnopaństwowym mechanizmie władzy państwowej, są czynnikiem skutecznie wpływającym na realizację ogólnokrajowych programów społecznych, politycznych i ekonomicznych. One bowiem, jeśli faktycznie kierują życiem społeczności lokalnych, są w stanie — jak żadna inna instytucja — stworzyć bardzo szerokie platformy umocnienia władzy państwowej, sięgając bardzo głęboko do podstawowych jednostek terytorialnych i osiedlowych. Ten aspekt ich działania zmniejsza rozwiązania konstytucyjne i ustawowe regulujące rolę samorządu społecznego, zwłaszcza samorządu mieszkańców miast i wsi.

Rady narodowe i samorząd mieszkańców, w myśl obowiązujących przepisów, stanowią dziś zintegrowaną całość — system samorządu terytorialnego. Same rady narodowe stały się już nie tylko terenowymi organami władzy państwowej, lecz również ogniwem samorządu terytorialnego w poszczególnych jednostkach podziału kraju. Takie rozwiązanie, polegające na scaleniu rad narodowych i samorządu mieszkańców w jeden system samorządu terytorialnego, stwarza nowe warunki organizacyjne i strukturalne kierowania życiem społeczności lokalnych. Koncepcja ta nie wszystkich od prawda przekonala, niemniej wskazuje ona na obiektywną potrze-

bę integrowania organów państwowych z różnymi formami społecznej aktywności, szczególnie zaś z samorządem społecznym.

Rady narodowe — tak przede wszystkim — nie mogą ograniczać się do spraw „natury państwowej”. Nikt bowiem nie jest w stanie określić dokładnie, gdzie zaczyna się i gdzie kończą granice „państwowego” charakteru problemów życia społecznego lokalnych. Zresztą i państwo socjalistyczne nie ma celów innych niż kierowanie życiem zbiorowym dla dobra społeczeństwa, w jego interesie, co oczywiście nie wyklucza automatycznie nieporozumień, a nawet konfliktów interesów ogólnospołecznych i lokalnych, partykularnych.

Aktualne rozstrzygnięcia, jeśli tylko będą konsekwentnie i prawidłowo realizowane, jeśli partnerzy stanowiący dziś jednolitą, nową system samorządu terytorialnego właściwie odzyskają swoje role, przyczynić się mogą do znacznego postępu w zakresie socjalizacji władzy, uspołecznienia jej aparatu tak niezbędnego zwłaszcza w terenie. Na tym bowiem poziomie organizacji życia społecznego i państwowego władza ma najszerszy i bezpośredni styk z obywatelami.

Zgodnie z rozwiązaniami ustawowymi funkcjonowanie samorządu terytorialnego, obu jego elementów, przyczynić się może nie tylko do dalszego uspołecznienia władzy, a więc i uspołecznienia całej organizacji państwowej. Może to przynieść także wyższe efekty materialno-organizacyjne, lepszą ich pracę, a także efekty moralno-polityczne — integrację społeczności lokalnej oraz silniejszą jej skupienie wokół własnej władzy. To zaś jest warunkiem przetrwania pokutującego jeszcze w świadomości społecznej stereotypu przeciwstawiającego państwo i władzę społeczeństwu.

Przygotowania do wyborów najwyższego organu władzy państwowej zawsze wywołują dyskusje i refleksje dotyczące jego rzeczywistej pozycji wśród mechanizmów politycznych oraz zasad i trybu jego wyłaniania. Rodzą się wtedy nowe pomysły i postulaty, jaki powinien być parlament. Nie więc dziwnego, że obecna kampania wyborcza do Sejmu PRL wzbudza tak znaczny rezonans społeczny, choć są oczywiście w naszym kraju ugrupowania usiłujące bagatelizować znaczenie wyborów, podważać rolę Sejmu czy wręcz nawołujące społeczeństwo do odwrócenia się od kampanii i aktu wyborczego.

Przy okazji warto przypomnieć, iż w toku kampanii wy-

borczej do rad narodowych w ubiegłym roku wyniki badań sycylijskich wskazywały, że przeważająca większość respondentów na pewno lub prawdopodobnie będzie głosować. Następnie, w kwietniu i maju odsetek gotowych głosować malał, przybywało niezdecydowanych w swej niechęci do głosowania, ale i zwiększyła się liczba zdecydowanych na powstrzymanie się od udziału w wyborach. Tych ostatnich było prawie 10 proc. Wynik wyborów z 17 czerwca 1984 r. przesądził ci, którzy byli za udziałem w głosowaniu i tzw. środek, który w dużej części zdecydował się pójść do urn.

Dziś trudno przesądzać o postawie polskiego elektoratu w obliczu wyborów do Sejmu. Wstępne hipotezy wskazują znaczną aktywność obywateli. Dowodzi tego między innymi przebieg wielu przedwyborczych obojczych zebrań konsultacyjnych z udziałem kandydatów na posłów. W naszej obecnej sytuacji potrzebny jest spokój, rytmiczna praca przynosząca tak potrzebne dobra materialne i inne oraz rzeczowy dialog na temat wspólnych spraw, w tym kierowania życiem całego kraju. W dialogu tym trzeba przedstawiać konkretne argumenty, jak choćby te o dokonującej się odnowie polskiego parlamentarizmu w ostatnich latach i bogatym przecież dorobku Sejmu VIII kadencji. Oczywiście to, iż mamy rację w wszystkim automatycznie nie przesądza. Rację trzeba nieustannie przedstawiać, uzasadniać, potwierdzać, najlepiej w praktyce. A to również praktyka, gdy chodzi o Sejm minionej kadencji dowodzi, jak ważne przemiany już zaszły w centralnym ośrodku dyspozycyjnym. Parlament nasz wszedł na niełatwą oczywiście drogę realizacji i ugruntowywania swej konstytucyjnej i ustrojowej pozycji.

Przywrócenie właściwej rangi Sejmu w społeczeństwie i w systemie politycznym stało się jednym z najważniejszych zadań politycznych sformułowanych przez PZPR na IX Nadzwyczajnym Zjeździe oraz przez ZSL i SD. Sprawa ta wielokrotnie była przedmiotem rozważań i decyzji kierownictw partii politycznych, PRON i organizacji społecznych aktywnie uczestniczących w życiu politycznym. Zgodnie z formułą IX Nadzwyczajnego Zjazdu partii głoszącej, iż „obecnie proces demokracji musi przechodzić z fazy krytycznej i postulatywnej w fazę konsekwentnych regulacji prawnych i odpowiadającej im praktyki”, Sejm zintegrowany i postulatowy sformułował swą działalność. Parlament nasz podjął ogromne dzieło porządkowania różnych dziedzin życia państwowego oraz usuwania słabości i wad w działaniach mechanizmu państwowego. Prze-

ważającą część z 203 ustaw przyjętych przez Sejm VIII kadencji powstała jednak jako wynik realizacji przez polski parlament programu socjalistycznej odnowy.

Sejm minionej kadencji poszedł zdecydowanym kursem na demokrację, poszerzenie społecznej bazy władzy w Polsce, drogą wprowadzania nowych rozwiązań ustawowych oraz zmian w „Konstytucji PRL”. Wiele uwagi poświęcono rozwojowi samorządności społecznej podniesionej do rangi zasady konstytucyjnej. Ustawy o systemie rad narodowych i samorządu terytorialnego, o samorządzie załogi, o związkach zawodowych, o organizacjach społeczno-zawodowych rolników i inne są poważnym krokiem w kierunku konkretyzacji i u-rzeczywistnienia w praktyce zasadniczych cech ludowładztwa.

Przed Sejmem IX kadencji stoją nie łatwiejsze zadanie. Program przetrwania skutków kryzysu wymagać będzie kontynuacji dorobku już zgromadzonych doświadczeń oraz poszukiwania nowych sposobów i środków tworzenia i wzbogacania materialnych i kulturowych podstaw bytu społecznego. Naczelnym zadaniem politycznym pozostaje rozwijanie i doskonalenie demokracji socjalistycznej. Oznacza to — po pierwsze — konieczność nieustannego podejmowania działań zmierzających do umacniania suwerenności ludzi pracy, ich podmiotowości politycznej. Po drugie — należy nadal rozwijać samorządność społeczną. Po trzecie — trzeba przedsięwziąć zdecydowane kroki w kierunku dezalienacji pracy i uczynienia jej rzeczywistym, głównym kryterium oceny społecznej człowieka oraz udziału jednostek i grup w dystrybucji dóbr. Po czwarte, wreszcie — ważnym zadaniem jest uporządkowanie stosunków ekonomicznych, co doprowadziłoby do rozwiązania poruszanych często w toku obecnej kampanii wyborczej spraw drażniących i bolesnych, np. rent i emerytur tzw. starego portfela.

To na przedstawicielskich organach władzy państwowej spoczywa w dużym stopniu ciężar realizacji idei demokracji socjalistycznej. One bowiem stanowią prawo, kierują organami wykonawczymi, kontrolują cały państwowy mechanizm władzy. Nie bez powodu więc i partia i całe społeczeństwo przywiązują taką wagę do ich prawidłowego działania i rzeczywistej reprezentatywności wobec świata pracy. Kompleksowość ich funkcji powoduje, iż są one zasadniczymi czynnikami sterowania sprawami kraju i demokracji życia społecznego.

## Tu zawsze coś się dzieje

Rozmowa z WIESŁAWĄ MAKOWSKĄ — dyrektorką Szkoły Podstawowej w Białej koło Zgierza, członkinią ZSL, kandydatką na posła do Sejmu PRL w okręgu wyborczym nr 42.

- Chciała pani być nauczycielką, czy też tak się po prostu zdarzyło?
- Chciałam. I to nawet wbrew rodzinie. W Łodzi akurat otwarto Technikum Przemysłu Spożywczego i uznano, że tam powinnam się uczyć. Po dwóch tygodniach oświadczyłam, że to nie ma sensu i jeśli mi nie pozwolą iść do liceum, to będę wagarowała. Poszłam więc do liceum ogólnokształcącego w Zgierzu, później chorowałam i miałam opóźnienie w nauce, tak że studia ukończyłam zaocznie. Zostałam jednak nauczycielką, a w 1978 roku — dyrektorką szkoły.
- I cały czas na wsi?
- Tak. Muszę się przyznać, że nawet nie bardzo wiem, jak wygląda praca w miejskiej szkole.
- Sądzi pani, że są duże różnice?
- Mogę mówić tylko o tym, jak wygląda praca w szkole na wsi.
- Czym więc jest szkoła wiejska?
- To zależy.
- Od czego?
- Od tego, jaka to jest szkoła, czym dysponuje, jak jest wyposażona i w jakim środowisku pracuje.
- A szkoła w Białej?
- U nas stale coś się dzieje. Przede wszystkim nasza szkoła jest mała, jest nam tu bardzo ciasno. U nas korytarz pełni rolę świetlicy i sali gimnastycznej. Nie mamy harcówki, ale za to dobrą drużynę harcerską. W szkole odbywają się zebrania tych organizacji, które w Białej mają siedzibę, a nie mają własnych lokali. W szkole działa teatrzyk kukielkowy, który jako jedyny ze szkół wiejskich wziął udział w międzynarodowej imprezie w Karl-Marx-Stadt. W naszej szkole organizuje się konkursy Ośrodka Nowoczesnej Gospodyni, np. robienia pajaków i bukietów oraz różne inne. Nasza szkoła jest zawsze dla wszystkich otwarta.
- I nie ma żadnych trudności?
- O, nie. Trudności mamy ogromne. Nasze dzieci muszą dojeżdżać z odległości o promieniu 17 km i niekiedy jeszcze do dwóch kilometrów — do przystanku do domu. Dlatego nie wszystkie mogą brać udział w zajęciach organizowanych po południu w szkole. Mamy mało paliwa dla autobusu, żeby można

było dowozić dzieci na takie zajęcia. Ogranicza to możliwości właściwego rozwoju organizacji młodzieżowych, pracy wychowawczej.

- To wszystko?
- Skądże. To tylko skromna część. Dzieci często już o 7 rano wyjeżdżają do szkoły. Niektóre nie jedzą w domu śniadania. Chcemy im dać w szkole szklankę mleka i bułkę.
- Na wsi chyba o to nie tak trudno?
- Myli się pani. Jest mleczarnia w Ozorkowie, ale jej się nie opłaci dowozić mleka do Białej. Jest mleczarnia w Białej, ale tak usytuowana, że nie może się przy niej zatrzymać nasz autobus, a przynieść w ręku dwie banki po 20 litrów — to znów nie takie łatwe i nasze woźne nie są w stanie robić tego codziennie. Do sklepu w Białej dowozi się pieczywo o różnych porach dnia, a śniadanie w szkole musi być o określonej porze. Piekarnia w Dąbrowce może nam dostarczać tylko słodkie bułeczki lub pączki. A wydawałoby się, że gdzie jak gdzie, ale na wsi z makiem i jęczmieciem nie powinno być kłopotów.
- Z czym jeszcze pani ma kłopoty?
- Z opalem. Dostaliśmy już węgiel i okazało się, że na następną dostawę trzeba czekać aż do kwietnia. A tu u nas trzeba palić na okrago cały czas, aby woda w rurach nie pozamarzała. Boję się, że nie wystarczy na to węgla.
- Czy ktoś wam pomaga w przewidywaniu tych trudności?
- Sami nie dalibyśmy sobie rady. Szkoły na ogół mają patronów. My nie.
- To chyba niedobre.



Foto: Grzegorz Galasiński

- Przysnam się pani, że ja na to nie narzekam. Bo w tej sytuacji wszyscy czują się opiekunami i pomagają jak tylko mogą. Do kogo się nie zwrócę, to otrzymam pomoc. Pomaga wojsko, straż pożarna, różne instytucje.
- Jaka jest tu młodzież?
- Nie narzekamy. Pewnie, że nie wszyscy się jednakowo uczą, że są z nimi też różne kłopoty. Ale to są inne kłopoty niż w mieście. Młodzi sobie nawzajem pomagają. Starsi opiekują się młodszymi. Są chętni do różnych zajęć. Zresztą nauczyciele też pracują bez oglądania się na zakres obowiązków, podobnie personel techniczny czy administracyjny. W takiej szkole, jak nasza, powinien być taki specjalista od wszystkiego. I mamy takiego.
- A rodzice, środowisko, jak się układa współpraca z rodzicami?
- Różnie. Jak to na wsi. Jestem właściwie przeciwna na przykład rozmowom nauczycieli z rodzicami na przystanku autobusowym czy w sklepie. Nauczyciele jednak tłumaczą, że wolą taką rozmowę o uczniu od żadnej, bo i tak bywa. Staramy się wciągać rodziców do życia szkolnego, zainteresować ich naszymi sprawami. I to się udaje.
- Nie miała pani kłopotów związanych z zadaniami, aby w szkole wiały krzyże?
- Miałam. Powiedziałam rodzicom otwarcie, że skoro traktujemy ich jako współgospodarzy szkoły, to mogą wysunąć takie żądania, ale wtedy ja będę musiała odejść ze szkoły. Dala im 10 minut na naradzenie się i podjęcie decyzji. Po 10 minutach przyszedł przewodniczący Komitetu Rodzicielskiego i powiedział, że nie będą się tego domagali.
- Kandyduje pani na posła. Jak młodzież to przyjęła?
- Pewnie są z tego zadowoleni. I oczekują, że jeśli zostanie wybrana, to wiele złatwią dla nich.
- A co przede wszystkim?
- Zostałam zaproszona do 8 klasy na lekcję poświęconą właśnie wyborom do Sejmu. Myślałam, że uczniowie będą chcieli usłyszeć coś o wyborach, roli Sejmu w życiu państwa, o roli i zadaniach posłów. Ale okazało się, że mieli wiele konkretnych pytań. Jedno z nich dotyczyło szkoły. Uczennica zapytała, czy jak zostanie posłem, to pomoże to w rozbudowie szkoły i jej ogrodnictu.
- I co pani odpowiedziała?
- Ze pomoże. Budowa szkoły wchodzi do planu na rok 1987, więc sprawa jakby już załatwiona, ale przecież zdaje sobie sprawę, że rola posła nie sprowadza się tylko do interweniowania w sprawach własnej społeczności i terenu, że musi on ogarnąć sprawy całego kraju. Próbowałam to im też tłumaczyć, ale nie mogłam odmówić im pomocy w tym, na czym im najbardziej zależy. Bo właśnie od tego, od troski o sprawy najbliższe zaczyna się przecież troska o nasz kraj.

Rozmawiała: BOGDA MADEJ



żona. Przede wszystkim poseł musi się znać na tym, co robi, czym się zajmuje. Musi zatem umieć wiązać swoją działalność zawodową ze społeczną i polityczną. Nie czas uczyć się polityki w Sejmie.

**T. SAS:** — Mnie interesuje na przykład stosunek indywidualnego programu posła do programu jego partii czy stronnictwa. Program indywidualny nie może być w sprzeczności z programem ogólnym, musi się raczej w nim mieścić. Z drugiej strony poseł musi być lokalnym autorytetem. Mnie swoich zwolenników, a więc mieć swój indywidualny program. Jak rozwiązać ten dyalemat?

**H. RAFALSKI:** — Poseł musi mieć stały kontakt ze swoimi wyborcami. Jeśli chce coś osiągnąć, to musi znać społeczne inicjatywy, dążenia, zamierzenia i stanąć niekiedy na ich czele. Wtedy może osiągnąć za-

zdrowia. Są już na wsi dobrze przygotowane i wyposażone ośrodki zdrowia. Cóż z tego, kiedy często brakuje lekarzy. W rezultacie ochrona zdrowia na wsi ustępuje ochronie zdrowia w mieście. Trzeba i tu dążyć do wyrównania poziomu. Wiąże się z tym bardzo trudny i bolesny problem — rehabilitacja. Nie będą się rozwodziła nad tym, ale los niepełnosprawnych ludzi na wsi, a szczególnie dzieci, jest trudny a czasem wręcz tragiczny. O ogromne pole do działania. Niezbędne jest tu przezwyciężenie nawyków, obyczajów, uprzedzeń. Trzeba to jednak przezwyciężyć.

I kolejna sprawa. Los ludzi, jak to się w mieście pięknie mówi — złotego wieku, spokojnej jesieni. Na wsi nie jest często to ani złoty wiek, ani spokojna jesień. Jest to niekiedy ogromna tragedia starych ludzi.

**A. LUTRZYKOWSKI:** — To jest interesujące co pani przedstawiła jako swój program. Nie będzie on łatwy w realizacji.

Po pierwsze — musi być chęć zdobycia takich danych. Do dyspozycji jest Komisja Planowania, GUS, ministerstwa, instytucje. Trzeba jednak pamiętać, że wszelkie urzędy lubią się asekurować. Po co im kłopoty?

Po drugie — musi być u posła świadomość tego, że uzyskane dane trzeba zobiektywizować. Każdy broni swego interesu i do czegoś woli się nie przyznać, a poseł musi być obiektywny i rzetelny. Musi więc uzyskane informacje skonfrontować z danymi uzyskanymi z innego źródła, zweryfikować. To jego bardzo istotny obowiązek.

**T. SAS:** — Poseł to nie tylko polityk, działacz społeczny, to również jednoosobowe biuro interwencyjne. Wyborcy często szukają u posła pomocy, traktują go, jak ostatnią deskę ratunku. I oceniają poprzez skuteczność interwencji. Są to niekiedy sprawy, które bez załatwienia przez urzędy, ale z urzędami różnie bywa. Jak

**A. LUTRZYKOWSKI:** — Już za kilka dni wybierzemy posłów IX kadencji Sejmu PRL. Co by pan, jako poseł trzech kadencji, uważał za wskazane im przekazać?

**H. RAFALSKI:** — Przede wszystkim nowo wybrani posłowie muszą sobie uświadomić, że razem stanowią najwyższą władzę w PRL. Razem, a nie każdy z osobna. To jest bardzo ważne.

**A. LUTRZYKOWSKI:** — To jest ważne, zgadzam się z tym. Ale to jest wskazanie zbyt ogólne. Czy nie mieliby pan konkretnych, szczegółowych uwag, wskazań, wynikających z pana długoletnich doświadczeń?

**H. RAFALSKI:** — Owszem. Z moich doświadczeń wynika, że bardzo ważny jest stały kontakt z komisjami wojewódzkich rad narodowych. Raz lub dwa razy do roku sejmowe komisje powinny się z nimi spotykać. Mogą to być też kontakty z wybranymi komisjami

# Spotkanie Mieczysława F. Rakowskiego z ludźmi kultury i sztuki w Łodzi

Przedwyborcze spotkania z kandydatami na posłów stały się rzeczywistym miejscem ogólnonarodowej debaty nad teraźniejszością i przyszłością naszego państwa. A spotkania kandydatów z listy krajowej, którzy w chwili obecnej pełnią ważne funkcje partyjne i rządowe, dodatkowo przybierają rolę bezpośredniej rozmowy władzy i obywateli. Tak więc Mieczysław F. Rakowski występował na spotkaniu z łódzkim środowiskiem artystycznym nie tylko jako kandydat do przyszłego Sejmu, ale także jako wicepremier i przedstawiciel rządu. To zadecydowało o znacznej frekwencji na tym spotkaniu, które zgromadziło bogatą reprezentację aktorów, pisarzy, dziennikarzy, działaczy kultury i jej administratorów. Świadomość owej podwójnej roli — kandydata i urzędującego wicepremiera — sprawiła, że Mieczysław F. Rakowski rozpoczął spotkanie od poszerzonej informacji, a w zasadzie od osobistych ocen i refleksji, na temat obecnej sytuacji politycznej i ekonomicznej państwa. Mówił więc o stanie polskiej gospodarki, o jej postępującej stabilizacji mimo znacznych trudności. Jak zwykle w wystąpieniach wicepremiera, tak i tym razem na plan pierwszy wysunęły się oprócz determinantów czysto ekonomicznych sprawy natury społecznej, wynikające z naszej narodowej mentalności, zakorzenionych sposobów myślenia, stosunku do pracy, państwa i władzy. Mówił także o zbliżających się wyborach i o ich randze wewnętrznej i zewnętrznej, międzynarodowej. Wyniki i frekwencja w wyborach będą oznaką stopnia stabilizacji w kraju, staną się też miernikiem zewnętrznych ocen naszego państwa. Omówił również pozytywne skutki wizyty i przemówienia premiera Wojciecha Jaruzelskiego na forum Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Spotkaniu z Mieczysławem F. Rakowskim towarzyszyła atmosfera wzajemnego porozumienia, co uwidoczniało się wyraźnie w reakcjach słuchaczy na wystąpienie wicepremiera, w pytaniach, w których przebiła troska o sprawy kultury naszego miasta, a także w wypowiedziach o charakterze interwencyjnym, świadomych ogromu istniejących potrzeb z jednej strony, a obecnych możliwości ekonomicznych państwa, z drugiej.

Mówiono więc o opóźnieniach w formułowaniu przepisów wykonawczych do ważnych dla kultury ustaw, o kurczących się możliwościach Narodowego Funduszu Rozwoju Kultury, który pomniejszany bywa zwolnieniami niektórych przedsiębiorstw od odpisów, o sytuacji materialnej emerytów — ludzi sztuki, o obecnych trudnościach w pracy bibliotek publicznych. W dyskusji pojawiły się także problemy socjalistycznego wychowania młodzieży i ruchu związkowego. Choć padły także pytania o przyszłość zapowiadanych dla naszego miasta inwestycji — budowy Filharmonii, rozwiązania trudnej sytuacji Muzeum Sztuki (tu odpowiadał towarzyszący Mieczysławowi F. Rakowskiemu, wiceprezydent Łodzi, Jan Nosko) — to przecież całe spotkanie, trzeba uznać za ważny element ogólnonarodowej rozmowy o sprawach istotnych dla całego kraju. Rozmowy, która ani na przedwyborczych spotkaniach się nie zaczęła, ani na nich nie powinna się skończyć.

(GRZ.)

# Przede wszystkim sprawy gospodarcze

W pytaniach, skierowanych do mnie powtarzało się często jedno: jakie problemy są najważniejsze dla rozwoju kraju, jakim Sejm IX kadencji powinien zająć się w pierwszej kolejności. Jest to pytanie bardzo trudne — ponieważ ważnych problemów jest ogrom. W pierwszym etapie pracy Sejmu najważniejsze będzie właśnie dokonanie spośród nich właściwego wyboru. Moim zdaniem na pierwszym miejscu znaleźć się powinny sprawy gospodarcze, działania takie, których efektem będzie pomnożenie dochodu, zwiększenie dochodu narodowego. Tylko w ten sposób bowiem będzie można stworzyć warunki do rozwiązywania innych problemów — podniesienia emerytur, poprawy jakości pracy służby zdrowia, rozwoju kultury itd. — jeśli zostaną wypracowane środki na pokrycie związanych z tym wydatków.

Uważam, że sama reforma, choć jej zasady są słuszne, i pierwsze efekty już widoczne, to jednak za mało. W gospodarce występują problemy, które powinien rozstrzygnąć Sejm. Choćby restrukturyzacja przemysłu — wiadomo, że jest to rozwiązanie konieczne, nie da się go uniknąć. Trzeba więc — i to jak najszybciej — odpowiedzieć na pytanie, które gałęzie przemysłu preferujemy, aby później rozsądnie i korzystnie planować inwestycje.

Na spotkaniach przedwyborczych powtarza się często wniosek, aby pójść wreszcie do pracy nierobów, bo przecież ręk do pracy, zwłaszcza w przemyśle lekkim, brakuje. Zastanawiam się jednak, czy faktycznie rozwiąże to problemy kadrowe? Czy ludzie przyznuszeni do pracy będą pracować rzetelnie, tak jak byśmy sobie wszyscy życzyli? Moim zdaniem potrzebne są inne formy zainteresowania ludzi pracą. Ważne decyzje powinno przede wszystkim podjąć centrum gospodarce — niektóre zakłady zamknąć i w ten sposób doprowadzić do pełnego zatrudnienia w innych, tak, aby nie tylko formalnie pracowała tam potrzebna ilość ludzi, ale aby byli to ludzie pracujący dobrze, aby była możliwość zwalniania nierobów, pjaków, obiboków, tych, którzy nie tylko nie wytwarzają zysku, ale niepotrzebnie obciążają fundusz socjalny.

W związku z inną problematyką, także często poruszana na spotkaniach, chciałabym powiedzieć, że nie ma — moim zdaniem — problemów młodzieży, problemów kobiet, problemów ludzi starych. Takie podziały są niepotrzebne. Są tylko problemy ogólnospołeczne, do załatwienia przez nas wszystkich, i wszyscy powinniśmy się starać rozwiązywać je na tym odcinku, jaki każdemu z nas przypada w udziale.

Powyższy tekst jest fragmentem wypowiedzi ELŻBIETY ZAKROCKIEJ, kandydatki na posła, wygłoszonej na spotkaniu przedwyborczym w LZPB im. Obronców Pokoju.

(tj.)

# Jak być posłem?

mierzony cel. Na przykład program inwestycyjny jest dość szeroki, potrzebny są ogromne, a możliwości raczej skromne. Istnieje szereg różnych grup nacisku. Lekarze, także inne grupy społeczne są za budową szpitali. Poseł może poprzeć te inicjatywy, a wtedy one uzyskują szansę realizacji. Jest to kwestia umiejętności dokonywania wyboru. Ten wybór musi być oparty na rzetelnym rozeznaniu społecznych potrzeb.

**A. PIETRZAK:** — Czy nie byłoby dobrze zapytać panią Elżbietę Prusinowską, jaki ona ma swój indywidualny program, albo inaczej, jak ona widzi najpilniejsze społeczne potrzeby wsi?

**E. PRUSINOWSKA:** — Mogę chyba powiedzieć, że mam swój program. Jest on pewnie skromny, ale wynika z tego, co spotykam codziennie w moich kontaktach na wsi. Pochodzę ze wsi i chciałabym dużo zrobić dla wsi. Dużo — to znaczy tyle, ile leży w moich możliwościach, choć zdaje sobie sprawę, że potrzeby wsi są ogromne. Pracuję na wsi, rozmawiam z ludźmi, znam ich życie i myślę, że wiem, co jest wsi najbardziej potrzebne, a przede wszystkim co jest potrzebne kobietom wiejskim.

Ogólnie rzecz biorąc, wsi musi skrócić dystans, jaki ją dzieli od miast. Potrzebne są takie przedsięwzięcia, które prowadziłby do ułatwienia życia na wsi. Żeby ludzie na wsi lepiej pracowali, a osiągnęli mimo to lepsze rezultaty. Potrzeba określenia nowoczesnego modelu rodziny wiejskiej. Jeśli chodzi o konkrety, to po pierwsze — gospodyniom wiejskim potrzeba małej mechanizacji. W szkole wiejskiej powinno się uczyć korzystania z tej małej mechanizacji, nie bacząc na to, czy ona już jest, czy też dopiero będzie. Bo, jak będzie, a ludzie nie będą z niej umieli korzystać, to wyniki tego będą nijakie.

Wiąże się z tym umiejętność żywienia rodziny. Żywność się nieracjonalnie i racjonalnie żywienia trzeba się uczyć. I tu znów rola szkoły, choć nie tylko, bo problem dotyczy szeroko rozumianej oświaty i polityki społecznej. Trzeba zatem dążyć do wyrównywania poziomu życia na wsi z poziomem życia w mieście. Następną sprawą to służba

choćby dlatego, że zbyt rzadko się o tym mówi publicznie. Mieści się to zresztą w tych ogólnych założeniach naszego ustroju, które określamy ogólnym mianem sprawiedliwości społecznej.

**H. RAFALSKI:** — Jeśli mogę coś podpowieścić, to proponowałbym spojrzeć na te istotne przeciwieństwa z pozytywnym idealizmem. Wyrównywanie poziomów w oświacie dotyczy też spraw wychowania. A na sprawy wychowania trzeba patrzeć z punktu widzenia różnych odniesień ideologicznych. Trzeba się do tych odniesień ideologicznych ustosunkować. Od ideologii nie ma ucieczki. Na wsi na przykład duże wpływy ma Kościół katolicki. Co byśmy nie mówili, Kościół katolicki jest siłą konserwatywną. Nie sądzę, aby udało się wychować młode pokolenie rolników, którzy chcieliby przyjąć model nowoczesnej rodziny, bez przerywania linii konserwatywnego wpływu Kościoła.

**E. PRUSINOWSKA:** — Zastanawiam się, że to wyborcy decydują, czy będą posłem, czy nie. Ale, gdy tak sobie myślę, że może mnie jednak wybiorą, to mam ogromny dyalemat: jak przedstawić w Sejmie te wszystkie problemy, z którymi staram się w codziennej praktyce, w zetknięciu z wielką polityką, w skali ogólnopanstwowej?

**H. RAFALSKI:** — Trzeba odwołać się do pomocy publicystów. Nie ma w tym nic wstydliwego. Ja też tak robiłem. Wiele się od nich nauczyłem.

**A. PIETRZAK:** — Nim się poseł odwoła do pomocy publicysty, który mu zbuduje konstrukcję przemówienia, musi wcześniej mieć informacje, niezbędne dane. Skąd je poseł bierze? I jak je weryfikuje?

**H. RAFALSKI:** — Nasi następcy mają już znacznie ułatwioną sprawę. Zostały stworzone prawne formy działania posłów. Teraz poseł może żądać danych. A niegdyś bywało i tak, że poseł przychodził do dyrektora jakiejś instytucji czy departamentu w ministerstwie i sekretarka zastanawiała się, czy dyrektor zechce w ogóle rozmawiać z posłem i przyjąć go.

wiec pogodził poselską działalność interwencyjną z obowiązkiem politycznej reprezentacji przed posia interesów grupowych czy środowiskowych? Poseł potrzebuje poparcia swoich wyborców, a ci oceniają go poprzez skuteczność interwencji, czyli — jak to się mówi — siłę prebicia.

**H. RAFALSKI:** — Nie widzę tu żadnej sprzeczności. Poseł musi mieć takie kontakty z wyborcami, bo inaczej przegra. Są to wprawdzie często sprawy jednostkowe, drobne, ale dla ludzi — z ich punktu widzenia — bardzo istotne. Są to często konflikty ludzi z instytucjami polegające nie na tym, że jakaś sprawa trudno załatwić, ale na tym, że nikt nie chce człowieka wysłuchać. Są to też spory między instytucjami, no, i wreszcie są to sprawy wynikające z polityki społecznej, w której nie zawsze przestrzega się reguł podziału, ile, komu i za co dać.

I druga strona działalności interwencyjnej: poprzez nią poseł poznaje, jakie skutki rodzi prawna działalność Sejmu, jak działają ustawy. To bardzo ważne.

**A. LUTRZYKOWSKI:** — Czy skłoto posiom dżekuje się za skuteczność interwencji?

**H. RAFALSKI:** — Dość rzadko. To raczej wyjątek. Ale przecież posiom nie chodzi o podziękowania. Oni spełniają swój obowiązek wobec wyborców, chociaż przyjęliby podziękowanie z przyjemnością.

**E. PRUSINOWSKA:** — Z mojej dotychczasowej praktyki wiem, że są sprawy tak proste, a ich załatwienie trwa niekiedy dwa lata i nikt nie potrafi powiedzieć, dlaczego tak długo. Co w takim przypadku poseł ma zrobić?

**H. RAFALSKI:** — Trzeba znać konkretny przykład. Mogę służyć jedynie ogólną radą. Głęboka mądrość polega na umiejętności równoważenia interesów poszczególnych ludzi i instytucji. Każdy ma przecież jakieś swoje racje. Trzeba je poznać, zrozumieć i zająć właściwe stanowisko. Wiem, że to jest często bardzo trudne. Ale poseł musi być obiektywny. Nie może być stronniczy.

rad narodowych, gdzie dany problem występuje akurat ostrej. Powinien to być stały element pracy sejmowych komisji. Tworzy się przez to zwartość władzy ustawodawczej, powstaje łączność Sejmu z organami władzy terenowej. Sejm powinien też stać na straży umów społecznych, opowiadać się po stronie społeczeństwa, reprezentować jego interesy. Ale też doskonalić politykę państwa. Nie wolno zapominać, że politykę państwa reprezentuje Sejm jako całość i rząd jako całość, a nie poszczególne ministerstwa, że polityka wymaga ciągłości, a nie zacyznania wszystkiego od nowa.

Ważnym czynnikiem w pracy Sejmu jest umacnianie dyscypliny społecznej, umacnianie nadrzędnej roli pracy, doskonalenie i porządkowanie systemu plac, opierającego się na zasadzie, że od każdego wymagamy wedle jego możliwości i każdemu płacimy wedle jego pracy.

No i wreszcie Sejm powinien doskonalić kontrolę skuteczności realizowania ustaw. Tu ogromne zadania stoją przed NIK i innymi kontrolnymi instytucjami. Mogę tylko dodać, że najlepszym i najsukcesywniejszym weryfikatorem wszelkich informacji jest NIK. Każda instytucja ma coś do ukrycia, NIK natomiast dąży do ujawnienia całej prawdy, do jej zobiektywizowania i skonfrontowania z obowiązującymi przepisami.

A poza tym Sejm PRL powinien stać na straży krytyki, nie pozwalając na jej tłumienie. Podzieliłem się swoimi doświadczeniami i uwagami z tą nadzieją, że pani Elżbieta Prusinowska, gdy już zostanie wybrana, skorzysta z nich i wiączy je do swojego programu.

**E. PRUSINOWSKA:** — Jeśli tak się stanie, to czy będzie mogła skorzystać jeszcze kiedykolwiek z pana pomocy i rady?

**H. RAFALSKI:** — Zawsze, kiedy tylko będzie pani odczuwała taką potrzebę.

Opracowała: BOGDA MADEJ



Alfred Lutrzykowski



Andrzej Pietrzak



Elżbieta Prusinowska



Henryk Rafalski  
Foto: Grzegorz Galasiński



# Bibliotekarz z ulicy Gdańskiej

W gmachu przy ulicy Gdańskiej 102 od szeregu lat codziennie niemal odbywał wędrowny po wszystkich dzielnicach Biblioteki Publicznej imienia Ludwika Waryńskiego starszy pan z laską. Czujnym okiem spoglądał wokół, zadawał pytania obsługującym czytelnikom młodym bibliotekarkom. Niektórzy, zwłaszcza młodzi czytelnicy, traktowali go jako jednego z korzystających ze zbiorów biblioteki naukowej. Dla wielu jednak pokoleń łódzkich czytelników starszy pan znany był jako organizator i twórca pierwszej łódzkiej biblioteki publicznej, założonej w 1917 r., zwanej później — po zakończeniu II wojny światowej — Biblioteką Publiczną im. L. Waryńskiego. Nazywał się Jan Augustyniak.

garń w kraju, prosząc o oddanie łódzkiej biblioteki pewną ilość książek. Zabiegi te przyniosły oczekiwany skutek. Liczne instytucje, jak Towarzystwo Naukowe Warszawskie, Kasa im. Mianowskiego, Księgarnia Gebethnera i Wolffa, a w późniejszych latach od 1918 do 1921 Magistrat miasta Łodzi, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Polska Akademia Umiejętności ofiarowały łódzkiej bibliotece łącznie około trzech tysięcy książek. Ponadto w ciągu trzech lat 1918—1921 z funduszy biblioteki zakupił ponad 1.100 dzieł przeważnie o treści społecznej, zarówno w języku polskim, jak i w językach obcych.

III

W 1921 r., po zawarciu pokoju ryskiego ze Związkiem Radzieckim, dotarła do Augustyniaka wiadomość, iż Warszawa ma otrzymać w drodze rewindykacji część wywiezionej po trzecim rozbiore Polski do Petersburga, największej polskiej biblioteki imienia Załuskich. W chwili wywieżenia księgozbiór ten liczył ponad 400 tysięcy książek i rekwizytów. Nie namyślając się wiele, pojechał do Warszawy. Udał się wprost do ministerstwa. Musiał długo rozmawiać i przekonywać dyrektorów i poddyrektorów ministerstwa, zanim umożliwiono mu wizytę u samego ministra. Gdy zakomunikował cel swojej wizyty, dyktar zaniemówił. Wstał nagle i przez chwilę wpatrywał się w gościa zdziwionymi oczyma.

— Czy pan oszalał — krzyknął podniesionym głosem — domagać się biblioteki Załuskich dla Łodzi? Pan chyba nie zdaje sobie sprawy z tego, co mówi!

— Zdać sobie sprawę, panie ministrze!

— Biblioteka ta zostanie w Warszawie! Jako stolica Polski, ma do tego pełne prawo! Rozumie pan?

— Ale Warszawa ma już kilka dużych bibliotek, a Łódź na kilkaset tysięcy mieszkańców, ma jedną jedyną bibliotekę. Licząc zaledwie kilka tysięcy książek.

— Czy pan motywuje, że właśnie Łódź powinna dostać zbiory Załuskich?

— Łódź jest największym ośrodkiem przemysłowym naszego kraju. Odgrywa i odgrywać będzie w przyszłości wielką rolę w naszej gospodarce. Wielu zdolnym robotnikom należy umożliwić zdobycie wykształcenia, uzupelnienie ich wiedzy.

— Tak! Zastanowił się minister. — To co pan mówi o Łodzi, jest słuszne i godne uwagi. Ale sprawa biblioteki Załuskich jest już przesądzona. Została włączona do zbiorów organizującej się obecnie Biblioteki Narodowej. Ale Łódź dostanie książki! Cały wagon z prywatnego zbioru Kasy Mianowskiego. Czy jest pan z tego zadowolony?

IV

W 1918 r. jako jeden z pierwszych otrzymał nominację na korespondenta warszawskiego Związku Bibliotekarzy Polskich, a w rok później założył w Łodzi pierwsze w Polsce terenowe koło tegoż związku.

W 1921 r. Jan Augustyniak założył przy Bibliotece Publicznej „Poradnię dla czytelników i samouków” i przedstawił Komisji Kulturalno-Oświatowej Magistratu m. Łodzi koncepcję utworzenia wzorowej sieci bibliotek rejonowych. Od października tegoż roku objął nadzór nad utworzoną pierwszą w Polsce Wypożyczalnią Książek dla Dzieci i Młodzieży i zainicjował organizację sieci rejonowych bibliotek publicznych w Łodzi.

Cały ciężar utrzymania bibliotek do 1922 r. spoczywał głównie na inteligencji łódzkiej, zrzeszonej w Towarzystwie Biblioteki Publicznej. Drobnymi składkami zasilala ona kasę Towarzystwa. Dorywczo spieszyły z pomocą materialną Magistrat m. Łodzi i Wydział Bibliotek Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Subsydia te i składki starczyły zaledwie na opędzenie najważniejszych potrzeb bibliotek. W takiej sytuacji Jan Augustyniak postanowił przekazać wszystkie biblioteki Magistratowi m. Łodzi. Ojcowie miasta odmawia-



li opieki nad bibliotekami, wyznaczając się brakiem odpowiednich na ten cel funduszy.

„Na kilka dni przed posiedzeniem — czytamy we wspomnieniach J. Augustyniaka, zamieszczonych w „Głosie Polskim” 5 października 1921 r. — napisałem artykuł (...), gdzie omówiłem wszystkie dotychczasowe osiągnięcia w organizacji bibliotecznej oraz stronę upowszechnienia książek — zestawiając te korzyści z trudnymi warunkami bytu tejże biblioteki (...). W umówionym dniu artykuł ukazał się w gazecie. Wykupilem tyle egzemplarzy pisma, ile było rądrych. Zdał je 75 sztuk, i rozstałem wszystkim rądrym w kopertach. Przepuszczałem, że na pewno 90 proc. rądrych nawet nie spojrzył na tytułek i rzucił go do kosza. Może kilku przeczyta, lecz nie przejmie się, a może jeden weźmie sprawę do serca i przemówi za wnioskiem. Istotnie tak się stało, jak przewidziałem. Rądry (...), Leon Holenderski zabrał głos i w imieniu całej Rady poparł wniosek przejęcia biblioteki”.

W styczniu 1922 r. Wydział Oświaty i Kultury Magistratu m. Łodzi przejął opiekę nad bibliotekami i nadał jednej z nich — głównej nazwę Miejskiej Biblioteki Publicznej.

V

Jan Augustyniak kształcił coraz to nowe kadry bibliotekarzy, równocześnie sam uzupełniał swoje ogólne wykształcenie. W 1928 r. ukończył Wyższą Szkołę Nauk Społeczno-Ekonomicznych, a w 1935 r. uzyskał tytuł magistra na Wydziale Nauk Politycznych i Społecznych w Wolnej Wszechnicy Polskiej w Łodzi. Po wojnie w 1952 r. ukończył Wydział Prawa na Uniwersytecie Łódzkim, a w dwa lata później Centralna Komisja Kwalifikacyjna dla Pracowników Nauki nadała mu tytuł profesora nadzwyczajnego.

Jan Augustyniak prowadził dokładną statystykę, dotyczącą zawodu czytelników biblioteki. W pierwszym okresie 1917—1927 r. 40 proc. czytelników stanowiła młodzież w wieku 6-17 lat, z których 6 proc. stanowiły robotnicy i rzemieślnicy, 4 proc. zawody inne, przeważnie bezrobotni. Liczyli też świadczą najwspanialszy, jak w pierwszym okresie niepodległości państwa polskiego robotnik łódzki odczuwał wielki głód książek, jak po półtorawekowej niewoli dążył do oświaty, samokształcenia i uzupełniania swojej wiedzy. Niektórzy ze zdobywających w ten sposób wiedzę, stawali się w późniejszych latach znanymi działaczami robotniczymi.

W 1929 r. poznał dwóch takich wybitnych działaczy robotniczych naszego miasta: Leona Koczarskiego i Mariana Kulińskiego. W cisy i skupieniu wertowali oni dzieła Karola Marksa, filozofię i ekonomię. Takich jak oni było więcej.

Janowi Augustyniakowi udało się już w pierwszym 10-leciu istnienia biblioteki zakupić głównie w antykwariatach i od osób prywatnych kilkaset cennych pozycji. Wśród nich była cała twórczość Karola Marksa, Fryderyka Engelsa i innych teoretyków socjalizmu, jak Plechanowa, Vanderveelde'a i Jaurésa, monografie biograficzne o Lassalle'u, Saint-Simonie, o bolszewizmie Lenina, o kapitalizmie Hobsona, Werniekiego,

Sombarta. Były również publikacje, mówiące o historii PPS i rozprawa Grabca o socjalistycznej Warszawie. W latach późniejszych, od 1928 r., w okresie przed- i powojennym, zbiór książek o tej tematyce znacznie się powiększył. Ale w pierwszym okresie istnienia naszego państwa, książki te, nie duko wane oficjalnie, były jedynymi, na których znani łódzcy działacze robotniczy kształcili swój pogląd o ustroju socjalistycznym i nabyta o nim wiedzę upowszechniali wśród szerokich kręgów społeczeństwa.

VI

W listopadzie 1939 r. J. Augustyniak został aresztowany i osadzony w obozie w Radogoszczu. W grudniu tegoż roku otransportowano go do fortów krakowskich. Z Radogoszcza do Dworca Kaliskiego jechał tramwajem w asyście eskortujących go gestapowców. Kiedy tramwaj skręcił w ulicę Gdańską, na widok nie wykończonych gmachów biblioteki, ogarnął Augustyniak żal, że w chwili realizacji jego planu zmuszony był opuścić to miejsce.

— Czy pozwoli mi pan — zapytał strzegącego go gestapowca — wyjść na platformę tramwaju i spojrzeć jeszcze raz na bibliotekę, w której ty e lat pracowałem?

— Możesz po raz już ostatni! — odparł gestapowiec.

Po uwolnieniu z fortów, J. Augustyniak pracował początkowo jako inkasent w Powszechnym Zakładzie Ubezpieczeń Wzajemnych w Krakowie, a później — dzięki poparciu Heleny Redlińskiej — dostał się do „Społem”, gdzie spędził niemal cały okres okupacji jako sekretarz Rady Okręgowej „Społem” w Częstochowie i księgowy centrali w Krakowie. Wykladał dorywczo w zespołach konspiracyjnych w Służby Kobiet Armii Krajowej pod nazwą „Pomoc żołnierzy”.

W lutym 1945 r. J. Augustyniak powrócił do Łodzi. Tu dowiedział się, iż po wkroczeniu Niemców do Łodzi, księgozbiory Wypożyczalni Książek dla Dzieci i Młodzieży oraz bibliotek dzielnicowych zostały spalone, zaś książki Miejskiej Biblioteki Publicznej przewieziono do nie wykończonego gmachu przy ulicy Gdańskiej i zmagazynowane bezładnie.

Sam gmach przedstawiał fatalny widok. Czytelnie i pomieszczenia biurowe na piętrze były zastawione zwieszonymi z całego miasta dekoracjami i rekwizytami teatralnymi. Hall załogał materiał budowlany. Magazyny były przepełnione stertami książek pochodzących z dawnej biblioteki publicznej, tak i z innych likwidowanych przez Niemców bibliotek. W mniejszym magazynie na trzecim piętrze znalazł się około 30 skrzyń z zalegającym najcenniejszymi dziełami księżnic publicznej, przeznaczonymi do wywieżenia w głąb Rzeszy.

Dzięki inicjatywie Jana Augustyniaka budowa gmachu nowej biblioteki przy ulicy Gdańskiej 102 została ukończona w listopadzie 1949 r., a w roku następnym — 1950 — otwarte i oddano ją do użytku czytelników.

**FRANCISZEK LEWANDOWSKI**

# Ostatnia bitwa

Rozkazy na odprawach i nawet w terenie wydawano regulaminowo i starzy, garnizonowi żołnierze mieli zapewne złudzenie, że jednak jeszcze prowadzimy wojnę według jakichś zasad i jakiegoś planu. Ale w wykonaniu było inaczej. Jak się dochodziło do „nieprzejrzystego terenu”, do krzaków czy zabudowań, oficer krzychał tak jak go nauczyli:

— Bagnet na broń!  
A przecież bagnatów nie było.  
— Patrol nawiązać łączność z prawym plutonem...

A prawny pluton ani w ogóle żadnego innego nie było, bo kompania cała nie miała stu ludzi, nikt nie wiedział ilu ich jest naprawdę, przy czym byli to sami „szarżowani”: oficerowie, podchorążowie, podoficerowie. Wyglądaliśmy już raczej na konfederatów barskich, każdy musiał myśleć o sobie, nie czuło się już organizacji, a tak się w nią chciało wierzyć!

No cóż, Berlin już od trzech tygodni obwieścił światu koniec wyprawy na Polskę, flagi już trzepotały w aorfach i burgach, szływały się uroczystości i powitania dla wracających zwycięzców. A myśmy szli i szli, ta szara piechota, nocami, lasami, Bóg wie jak — tyle tysięcy ludzi, koni, wozów, zmęczonych do ostatnich granic, obojętnych, zmiażdżonych ciągłym odrotem i kłębą nieustającą i pożarami wszystkich wsi, o jakiejś zawiadzieli. Nikt z moich kolegów nie miał mapy. Nie miałem pojęcia, gdzie jesteśmy, raz przechodziliśmy Bug — to była Włodawa, potem Parczew — gdzież tu jest ten Parczew? Potem pał się Kock, podchorąży Szczepański przebiegł tylko jednym skokiem ulicę w poprzek i z drugiej strony krzychał:

— Cześć, koniec, już jestem ranny, a niech cię jasna!...

Przywarliśmy do ściany, moździerze granatami z góry prażyły po dachach niskich domów i ogień rósł. I nikt z nas nie wiedział, że te moździerze są jedynymi moździerzami strzelającymi jeszcze na naszych ziemiach — a może i na świecie, tak, pewnie na świecie całym. I że my w tej chwili jesteśmy ostatnim już celem, jedynym celem dla strzelających moździerzy.

Cały Kock się palił, a dym tuż na skraj miasteczka — nie. Tam spaliśmy całą noc pokotem, bo już było wszystko jedno. Bośmy nie spali parę tygodni — nie wiem już dziś, jak to było możliwe. O świcie następnego dnia poszliśmy do natarcia na pozycje Niemców pod miastem. W malutkiej wiosce elegancko ubrana dziewczyna wybiegła nie wiadomo skąd i dała mi jabłko. Jakaś uciekiniarka, ewakuantka, igła w stogu płonącego siana. Plakała przy tym, a mnie to nic nie obchodziło, jabłko rzuciłem, bo ledwie i tak można było dech złapać, biegnąc ciągle. Wzdłuż ołszyn syczały po liściach serie ich maszynek. Józek dostał, tarzając się w wściekłości, że nie może iść, ani w przód, ani w tył. Jak oberwana chmura runęła nawala artyleryjska. Zostaliśmy gdzie kto był, wżarami w ziemi, rozplaszczeni jak to tylko było możliwe — żeby zniknąć całkiem, żeby się w ziemię jak pędrak wgrzyźć, żeby zostać jedynymi, malutkim, od nas nie odzywał się nikt!

Potem odezwali się: ranni. Gdzieś blisko jeden leżał i ciągnął strasznie długo jedną nóżką — uaaa. Tak przez parę godzin. Poem artyleria uciucha a Niemcy ruszyli. Nareszcie zobaczyliśmy ludzi. Józek został pod krzakami, ja poderwałem się skurczem jakimś — żeby nie tak gupio — iś do niewoli i już. Podbiegłem do cekaemu. Leżał przy nim jakiś porucznik, wymierzyl, usta otworzył z pasji, przeciągnął serią. Podawałem mu taśmy, ale krótko potem huknęło tuż obok nas, słup ziemi, cekaem zapisał, zaciął się — ani rusz. Naszych nie widąc, Niemcy coraz bliżej, droga odwrotna jedna: łożyskiem wyschniętego strumyka, ledwie widocznym, na brzuchu, w tył. Wysiłkiem takim, że już nie widzieć nie było można, a w tyle głowy fala gorąca szumiała jakby tuż przed omdleniem.

Dwie doby — kto by to pomyślał! — dwie doby spędziliśmy na wysuniętym przedpolu niemieckim. Kock się już dopalał, kościół tylko jarzył się góra niby rozżarzona do czerwoności bryła. Świnie wściekle i przerażone podzły na oślep uliczkami, wrony poderwały się z połowy konia pod murem. Gdzie się podziala druga połowa? Spotkałem paru kolegów, nie mówimy nic, miałem taką chwilę, że mi się broda trzęsła i na jedno słowo bym się nie zdobył.

Natkaniliśmy się na dowódcę batalionu. Był sam, nie ogolony, za skronie się trzymał i oczy mu łzawiły. Kazał nam zająć placówkę i zwinąć ją jak się wszystko wojsko wycofa. Więc siedzieliśmy do późna w noc, przemokli od chłoganis, milczący. Jeden sierżant tylko kłął:

— Wytkuli naszych tyłu, to jeszcze a nas... Żeby już nikt nie został! Cholera, na co tu czekamy?

Ale siedział i wytrzeszczał oczy w mrok. Potem jeden z chłopaków zaczął się wic z boleści od jakiegoś ataku, nie mogliśmy tego słuchać, nie uspokoił się nawet jak mu sierżant dał spirytusu cuchnącego benzyną i musieliśmy go odprowadzić do tyłu. Po ciemku wszedłem z nim do jakiejś szopy, ktoś mi się poderwał przestraszony spod stóp. Znow nas dowódca. Nie miał już wojska, ani naramienników, ani siły stania na własnych nogach. Został tam z moim chorym, ja wróciłem na placówkę i nie zastałem nikogo.

Przeszedłem przez zgłiszczą na naszą jeszcze stronę. Jedyna nasza strona, ostatnich kilka kilometrów wojny polski. Wojska tu było moc wszelkiego rodzaju, kilka dział (nie strzelały, bo nie było zapalników...), setki koni, marynarze, lotnicy, rusznikarze z warszawskich fabryk, biura jakieś ewakuowane, żony oficerów na biedkach białoruskich, w futrach i boso, z nogami odparzonymi, ściche fakie, zgaszone, nieporadne — żal mi było. Szukałem znajomych, swoich. Szukałem potem już tylko piechoty. A potem już tylko kogokolwiek, kto by mnie zechciał przegrzać. Nie znalazłem. Miałem karabin, amunicję, granaty i pół kilo kiełbasy i wrzód w gardle. Jakis oficer z konia huknął na mnie, dlaczego się tak wleczę i oom za jeden? Więc przestałem się wlezc, usiadłem w rowie — co dalej?

Jeszcze słychać było strzały z Woli Gułowskiej, ale indagowani żołnierze odpowiadałi rozpaczliwym machnięciem ręki. Ktoś się zastrzelił, ktoś szukał cywilnego ubrania. Wreszcie nawiał się kolega z kursu podchorążych, ucieszyliśmy się, ucałowali, we dwóch razniej. Tam musi być batalion! — powiada i pokazuje palcem widoczna w dali wieś. Nie pamiętam, jak się nazywała. Może i Krzywda.

O zmroku tam przyszliśmy, batalionu nie było, spotykani żołnierze wiedzieli już że generał Kleeberg zgłosił właśnie Niemcom gotowość kapitulowania. Rozbijali cekaemy, paliłi karabiny, rabowali resztki taboru. W nocy zabiłysta nad nami biała rakietka i posypały się niemieckie granaty. Wiedzieli, że się nie będziemy bronić, a strzelali. Znowu panika, my dwaj zostajemy jednak w chacie. Jej właściciel, obyty w świecie chłop, gazetę trzymał, kalendarz na ścianie wieszal, pyta:

— Co to była wam za racja teraz wojować? Wzoraż? Toś Niemiec już jest wszędzie i na cóż to tak ludzi marnować?

Siedzieliśmy na skrzyni i nie chcieli mi się odpowiadać. Ale czuliem, że jakaś racja była, taka sama na pewno jak pierwszego września pod Rławą, dwudziestego siódmego w Warszawie, drugiego października na Helu. Ze jeśli podważa we mnie tę rację, to w ogóle wszystko straci sens i że takie pytanie jak jego pogłębia jeszcze bardziej naszą niebywałą katastrofę.

A następnego dnia, szóstego października rano, strzałów już nie było słychać znikąd. Tłumy żołnierzy przewalowały się we wszystkie strony. Nikt nie przemawiał, że żegnał sztandarów, nie salutował. Jechał łazik droga, przyczepiłem się do niego z jednej strony, kolega z drugiej — jechaliśmy aby dalej. Nikt nie myślał dokąd. I stanęliśmy dopiero, gdy z rowu krzyknęto: **Ha!** — i podszedł młody feldwebel z pistoletem i odprowadził nas na bok.

I zostaliśmy na boku pięć i pół roku.

**WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI**



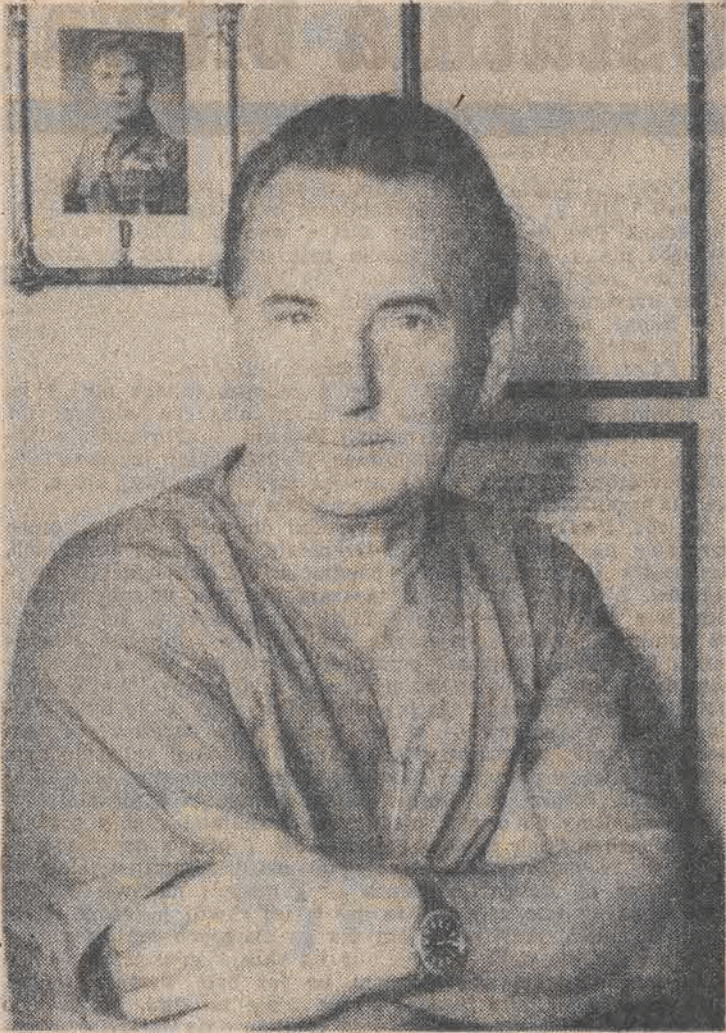


Foto: Grzegorz Galasiński

## Uwierzyć w lekarza

Rozmowa z dr med. ROMUALDEM PIETRASZUNEM, ordynatorem Oddziału Urologii w szpitalu im. dr Pirogowa

— Zawsze mam tremę, gdy rozmawiam z panem. Ta trema wynika z faktu iż jest pan ulubionym polskim i wielu zagranicznych środków przekazu.

— No, bez przesady.

— No, a audycja telewizyjna emitowana niedawno i pewien duży artykuł agencyjny w kilku gazetach brytyjskich? Wynikato z tego jasno, że gdyby pan nie był obokrajowcem to za wspaniałą operację na męzku otrzymałby pan Member of British Empire. Z tym jednym, że królowa nie ma orawa przyznawać tego odznaczenia obokrajowcom.

— Ależ Kochany panie, ja wcale nie chce orzeź całej życie być tylko bohaterem tej jednej morskiej operacji.

— Totali wszyscy uważamy pana nie tylko za człowieka

piekielnie odważnego i znakomitego żeglarską ale przede wszystkim za jednego z najwybitniejszych polskich chirurgów praktyków, którego również cechuje odwaga i wielki dorobek.

— No tak, było tego trochę przez kilkadziesiąt lat, ale pan znów tutaj stosuje tak wiele przesady.

— Jest pan jednak takim lekarzem, którego pasja i praktyka powodują, iż nie zaskiepiła się pan w jednej specjalności. Przecież można uznać pana również za chirurga ogólnego, za traumatologa.

— We współczesnej dobie mamy do czynienia z nieprawdopodobną ilością wąskich specjalizacji. Nie obrażając nikogo, niech mi pan pokaże lekarza którego pan nazwie po prostu internistą. Przecież jeden jest gastrologiem, inny pulmonolo-

giem, jeszcze inny... No, dajmy spokój Momm zdaniem to nie jest taka prosta sprawa. Wszelkie medycyna tej ogromny rozwój teoretyczny i praktyczny, zmuszają do tak licnych wąskich specjalizacji. Ale sprawa ma i drugą stronę. W warunkach niektórych wielkich szpitali, które zwiadałem za granicą, widziałem ogromne kombinaty zdrowia gdzie droga pacjenta do wszystkich możliwych specjalistów była na tyle szybka i skuteczna, że to dawało ogromne efekty. Niestety, w naszych warunkach nadmierna specjalizacja często prowadzi do zamienia się w coś w rodzaju drogi krzyżowej pacjenta, a efekty terapeutyczne daleko odbiegają od oczekiwań.

— Chciałbym namówić pana na rozmowę o współdziałaniu farmakologii i chirurgii.

— No, to poruszamy problem trochę jak rzeka. Oczywiście, zdajemy sobie sprawę z tego, że w ogóle burzliwie rozwijająca się farmakologia jest współtowarzyszem w drodze postępu wszystkich dziedzin medycyny. Ale jeśli pan sobie życzy, to naturalnie ograniczymy się do chirurgii. Na początku chirurgii była właściwie pozostawiona sama sobie. Nikogo znów nie urażając, była ona pierwszą z dziedzin medycyny, o której już wykopaliska i wiadczą bardzo pozytywnie. Przecież w czasach starożytnego Egiptu dokonywano udanych trepanacji czaszki. A jakie były wtedy narzędzia? Jakie zabezpieczenie przeciwinfekcyjne? No, smieszne, prawda? Przerzucmy się o kilka stuleci do przodu, kiedy zagadnienie anestezjologii było kompletnie w powłokach. Kiedy pan sobie teraz wyobrazi amputację kończyny, gdy nie byłoby nawet eteru, żeby uspić pacjenta. Wtedy chirurg musiał podwiązać dajmy na to nogę, aż uzyskał jej zdemolowanie i operując nieprawdopodobnie szybko dochodził do pożądanego wyniku, nie zaskując przy okazji na miso kata.

— Szybkę dziewiętnastego wieku i początek dwudziestego, a także czasy współczesne, to już jednak lawinowy rozwój farmakologii wspomagającej prace chirurga.

— Oczywiście. Szczególnie te lata, w których powstały pierwsze antybiotyki, nasz największy sojusznik, stały się prawdziwą rewolucją. Muszę jednak zaznaczyć, że już do końca będziemy mówili, chyba o dwóch aspektach każdej z poruszanych spraw. Niech pan uświadomi sobie, że kilkadziesiąt lat temu, jako początkujący lekarz aplikowałem całkiem niewinną dawkę penicyliny przy obustronnym zapaleniu płuc. To było ogólnie rzędu 20.000—30.000 jednostek. Teraz jedna dozę muszę aplikować w granicach milionów jednostek. Drobnoustroje, ich szczepki, mają to do siebie, że stają się odporne, a z drugiej strony jest przynależność, że sam mechanizm obronny człowieka wymaga stale zwiększanych i różnicujących się dawek. Stąd przecież posiadamy już całą harmonię antybiotyków syntetycznych z grupy tetracyklin i innych. Naturalnie wszystkie one są nam bardzo pomocne i chyba tylko infekcja gronkowca jest naszym czarnym demonem.

— Sam przeżyłem dwie takie infekcje u pacjentów w ciągu czterdziestu lat pracy i ogrom wysiłków jednak się opłacił. Obaj ci ludzie żyją do tej pory.

— Mówi pan o lawinowej rewolucji w rozwoju farmakologii i nadmieniał, że sprawa posiada jednak dwa aspekty.

— Tak. Zaczęć od anegdoty. Przed wojną internista — specjalista od gruźlicy zalecał dożylne zastrzyki calcium gluconicum, rozumując dość naiwnie, że uzyskają zapewnienie kawerni. Ponadto polecił tłuc na puder skorupki od jajek i spożywać je w pokarmie. Naturalnie trudno nazwać to szalenstwem, ale przecież nie odkryto jeszcze żadnego radykalnego środka przeciwgruźliczego. A potem wybuchła bomba, odkryto kwas paraamino-salicylowy, tak zwany PAS oraz rifinofon, czyli hydrazid kwasu izonikotynowego. Cały świat oszalał. Wszyscy orzekli: mamy nareszcie to, co nam zlikwiduje gruźlicę na całym świecie i wcale się tak nie stało. Naturalnie, oba leki stosowane są w cięższych przypadkach, ale już bez tej wielkiej euforii. No, a gruźlica wraca falami. Oczywiście istnieje jeszcze streptomycyna. Powiedzmy jednak szczerze, że w wymaganych przy terapii dawkach uszkadza ona nerw słuchowy. Streptomycyna jest po prostu dobrym antybiotykiem osłonowym przygotowującym pacjenta do interwencji chirurgicznej. Bo właśnie ta interwencja okazuje się być najskuteczniejsza. Podobnie zresztą może przypomnieć o czasowym szale wokół japońskiego antybiotyku wiotamicyny, która jednak również okazała się li tylko osłoną do zabiegu chirurgicznego w leczeniu gruźlicy. No, a teraz, przechodząc od popularnej anegdoty do aforyzmu, powiem, że z preparatami farmakologicznymi jest obecnie tak, jak z modą damską. Raz Dior powie, że ma być mini, a za sezon, że maxi. I tak to właśnie wygląda. Jest wiele niedokończonych badań, przedwczesnych informacji, ogólny pęd do stosowania właśnie takiego, a nie innego leku i są to wszystko sprawy niejednokrotnie irracjonalne.

— Niedawno AFP i agencja Reutersa podały równocześnie o odkryciu rewelacyjnego środka antyrakowego CNS. Oczywiście podawano nieprawdopodobne hasła reklamowe, czyniące przy okazji wielką krzywdę pacjentom, bo przecież w takie agencyjne doniesienia wierzą miliony ludzi. A to nie jest poparte żadnym komunikatem poważnej instytucji naukowej.

— I tu właśnie aż prosi się drugi aforyzm. Jako lekarz obserwuję ogólny spadek moralności związany z postępującą rewolucją technologiczną. Otóż ogromne firmy o światowej sławie wypuszczają rocznie dziesiątki setek preparatów, które w pełni przebadanych, czasami wręcz szkodliwych przebijają swoje produkty na rynkach gigantycznej reklamy. I na tym polega właśnie ten zanik moralności i towarzyszący mu szum informacyjny.

— Ja chciałem z kolei podać przykład minimalnej informacji na terenie naszego kraju. Przygotowując się do rozmowy z panem szukałem bezskutecznie hasła „interferon”. Siegnąłem do wszystkich dostępnych wydawnictw encyklopedycznych: Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN, skróconej encyklopedii czterotomowej PWN, wreszcie do encyklopedii medycznej tego samego wydawnictwa. Dopiero u Larousse'a znalazłem króciutkie omówienie.

— Tak, ma pan rację. W Polsce cierpiemy na niedostatek informacji fachowej. Tylko u nas wśród lekarzy praktyków, którzy mają dobre stosunki w przodujących krajach otrzymują niekiedy potrzebne czasopisma. Nie mówię tu o instytucjach, których braki w tej dziedzinie są ogólnie znane. Tak, prawdę powiedziawszy, nas nie stać na wybieranie specyfików, pan nie uwierzy, ale nawet tych produkowanych w Polsce.

— Nie mógłbym spokojnie przejść do następnych pytań gdybym nie dowiedział się czegoś o dwóch potężnych sprzymierzeńcach chirurgów. Pierwszy to solcoseryl, a drugi znacznie ważniejszy, interferon.

— Solcoseryl powszechnie stosowany na świecie od 1911 roku jest po prostu odbiającym wyłogiem z krwi ciał, zawierającym aminokwasy i inne związki chemiczne oraz podobno nowy, nieznanym enzymem ułatwiający oddychanie komórkowe, a charakteryzujący się minimalną wagą cząsteczkową. Znamy solcoseryl pod postacią żelu, maści i zastrzyków. Te ostatnie z powodzeniem stosują internisci przy chorobach wrzodowej żołądka i dwunastnicy. Tu oczywiście dodam, uprzedzając pytanie, że tak na dobrą sprawę etiologia choroby wrzodowej nie jest znana, a najbardziej popularna teoria twierdzi, że przyczyną są neurogenne. Tak więc do tej choroby w pewnych stadiach my się nie wtrącamy jako chirurdzy. Dopiero przy poważnych powikłaniach musimy interweniować. Natomiast solcoseryl w postaci żelu i maści oddaje chirurgom duże usługi, gdyż znakomicie ułatwia leczenie rozległych ran.

— No i teraz ten tajemniczy interferon.

— Niech pan sobie wyobrazi, że właśnie interferon jest jednym z potwierdzonych mojej krótkiej hipotezy terapeutycznej. O sobiście bowiem uważam, że podstawowym czynnikiem prawidłowego leczenia po zabiegu, minimalizacji szoków pooperalnych itp. jest odporność osobnicza pacjenta. To jest taki układ: pacjent powinien wierzyć lekarzowi, że ten go wyprowadzi, powinien unieść wie-

— Niech pan sobie wyobrazi, że właśnie interferon jest jednym z potwierdzonych mojej krótkiej hipotezy terapeutycznej. O sobiście bowiem uważam, że podstawowym czynnikiem prawidłowego leczenia po zabiegu, minimalizacji szoków pooperalnych itp. jest odporność osobnicza pacjenta. To jest taki układ: pacjent powinien wierzyć lekarzowi, że ten go wyprowadzi, powinien unieść wie-

żyć w powodzenie i powinien mieć tyle własnych sił odpornościowych, aby móc zwalczyć każdą niepożądaną infekcją. Interferon jest po prostu wytwarzany przez organizm ludzki. Jest to ważny czynnik immunologiczny chroniący komórki przed replikacją wirusa, jest związkiem białkowym ograniczającym rozszerzenie infekcji. Jego działanie w największym skrócie będzie polegało na wewnątrzkomórkowym hamowaniu rozwoju podstawowych kwasów życia wirusów. Rzecz jasna chodzi tu o kwasy w skrócie znane popularnie jako RNA i DNA. Otóż w roku 1914 uzyskano interferon jako specyfik farmakologiczny — specyfik pochodzący z organizmu człowieka i z organizmu małpy. Tylko te dwa interferony podane ludzkość o niedoborze immunologicznym przyjmują się w organizmie i spełniają populatris opisaną tu rolę. Inne specyfiki tego typu, osiągnięte dajmy na to z organizmu świni są nieskuteczne, jako że organizm ludzki je bardzo szybko rozkłada. I teraz wróćmy do mojej hipotezy. Podanie interferonu człowiekowi o zanizonym stopniu własnej odporności jest jakby rzuceniem topielcowi mocnej nitki. On tę nitkę ciągnie do siebie, do niej uwiązana jest linika, do niej wreszcie gruby sznur i facet spokojnie łąduje się na szalupę.

— Chciałbym pana odprężyć na zakończenie zapytać co nowego przybyło w oddziale, którym pan kieruje?

— No, to muszę się pana pochwalić. Przez wiele lat naszym opanowaniem było sprzeciwie diagnostycznym, który potrafił zaostrzać wielu cierpień przy badaniach pacjentów, ale przede wszystkim nie pępła błędów, które są niezawodnie do uniknięcia przy tradycyjnych metodach diagnostycznych. Chodzi o ultra-sonograf USG Siemens, O, właśnie widzi, pan przez sobą to moje ukończone urządzenie. Nie będę się tutaj bawił w szczegóły, ale powiem, że na przykład w diagnostyce kamicy dróg żółciowych to jest prawdziwa rewolucja. Ponadto zdobyliśmy sprzęt endoskopowy, ale taki wreszcie, którym posługują się najbardziej rozwinięte kraje świata. One po prostu przeszły na tak modne w chwili obecnej światłowody. Oczywiście o światłowodach pan slyszal. W tej chwili przecież telekomunikacja, diagnostyka technologiczna, wszystko na to przechodzi. Tylko my byliśmy o te kilkadziesiąt lat do tyłu. Tu musimy nadmienić, że jeżeli chodzi o zdobycie sprzętu endoskopowego, to bardzo pomogli mi nasi kombatanci oraz konsultant ministra zdrowia.

— Dziękuję za rozmowę

Rozmawiał: ROBERT GLUTH

## Wozilem ich trzynastu

Rozmowa z JÓZEFEM WLAZŁOWSKIM, kierowcą rektorów Uniwersytetu Łódzkiego.

— Kiedy zdobył pan prawo jazdy?

— Zaraz po wojnie, w czterdziestym piątym roku. Jako młody chłopak pracowałem w fabryce, gdzie produkowano części do maszyn włókienniczych, przy rogu Głównej i Piotrkowskiej, tu, gdzie teraz są te wieżowce. Razem z kolegą, Kazimierzem Dróznym zapisaliśmy się wtedy na pierwszy kurs prawa jazdy, jaki zorganizowano w Łodzi po wyzwoleniu, a po jego ukończeniu...

— ... przeniósł się pan na Uniwersytet.

— Nie tak od razu. Wcześniej ode mnie trafił tam ten mój kolega, gdyż potrzeba było właśnie kierowcy dla rektora. No, i jak mnie później odwiedzał, mówił: „Chodź do nas, będziemy razem pracować”. Poszedłem. Tylko, że długo razem nie popracowaliśmy, bo ja zacząłem pierwszego grudnia czterdziestego szóstego, a on jako kierowca przydzielony został do obsługi referendum i siedemnastego stycznia miał wypadek — zderzył się z tramwajem. Zginął. Więc ja po nim zostałem kierowcą rektora.

— Profesora Tadeusza Kotarbińskiego.

— Tak. To był bardzo szlachetny, a przy tym skromny człowiek. Taki ludzki był. Nieraz jak podjechałem po niego, a nie wszedłem na górę, to przynosił mi śniadanie. „Teściowa dała mi dla pana kanapkę — mówił — bo pan na pe-

wno głodny.” I tak czasem rzeczywiście było, że człowiek nie zdążył...

— Jakim samochodem jeździł pierwszy rektor Uniwersytetu Łódzkiego?

— Po tym wypadku kolegi wóz rektora został doszczętnie rozbity, jeździłszy więc czym się dało, przeważnie — ciężarówką albo sanitarką. Dopiero we wrześniu uczelnia dostała „citroena”. Potem był „chevrolet” i „warszawa” — jeszcze na radzieckich częściach. Pamiętam, że miała bardzo niski numer fabryczny. Bodajże — tysiąc dwieście.

— To ile w sumie już pan tych samochodów zajeździł?

— Musiałbym policzyć: „citroen”, „chevrolet”, dwie „warszawy”, trzy „garbate wozy” i teraz już mam czwartą nową. Wychodzi, że dziesięć.

— A którego z kolei rektora pan wozil?

— Trzynastego.

— I s którym się panu najlepiej jeździło?

— To trudno tak powiedzieć. Wszyscy byli dla mnie mili, serdeczni. Nie mogę narzekać. Pomagali mi nawet materialnie, bo zaraz po wojnie czasy były ciężkie, a zarobki... Na przykład od rektora Józefa Chałasińskiego dostałem dziecienny wózek, kiedy urodziła się moja córka.

Dostałem też służbowe mieszkanie przy rektoracie, gdyż miałem bardzo trudne warunki, no i dlatego, żeby — jak to się mówi — stałe być pod ręką. Z kolei dzięki rektorowi Romualdowi Skowrońskiemu mam działeczkę...

— Gdyby przyszło panu każdego z nich jako scharakteryzować... Jest pan przecież jedynym chyba człowiekiem, który obserwował ich wszystkich z tak bliska, na co dzień. Ma pan skalę porównawczą...

— Na pewno złego słowa powiedzieć nie mogę. Ale tak... Pierwszą dwaj: Kotarbiński i Chałasiński, to wielka powaga. Jak wsiadali do samochodu, to albo coś czytali, czy przeglądali, albo byli zamysłeni. Tak, że za wiele nie rozmawialiśmy w czasie jazdy. Za to na przykład rektor Janusz Górski nieraz opowiadał mi o sobie, o swojej rodzinie. Podobnie — Skowroński. Z kolei rektor Jan Szczepański zawsze był pogodny, uśmiechnięty, ekory do żartów. Był zresztą najmłodszy ze wszystkich i to się od czuwało.

— A inni?

— Pamiętam na przykład, jak dowiedziałem się, że został na rektorem profesor Adam Szpunar. Strasznie się tego bałem, bo slyszalo się, że on taki surowy, wymagający... Proszę pana, cóż to był za wspaniały człowiek! Jaki grzeczny, uprzejmy, a przede wszystkim — niezwykle punktualny. Nieraz jak byliśmy w Warszawie, w ministerstwie i powiedział, że, powiedzmy, skończy o drugiej, a musiał jeszcze dłużej zostać, to wychodził, mówił: jest jeszcze pół godziny... I profesor Jerzy Wróblewski tak samo. Zawsze słowny, punktualny...

— ... Jak szwajcarski zegarek.

— I to elektroniczny.

— A który z rektorów najwięcej jeździł?

— Chyba profesor Stefan Hrabec. No, ale on

miał tych różnych społecznych funkcji... Poza tym przyjmował wszystkie zaproszenia. Bardzo je sobie brał do serca i wszędzie musiał być. Za to rektor Zdzisław Skwarczyński podróżował bardzo mało. Więcej siedział na miejscu. Z kolei rektor Andrzej Nadolski zapowiadał, że tu pojedziemy, tam pojedziemy... Prawie nigdy nie z tego nie wychodziło, bo ciągle coś go zatrzymywało w Łodzi. Tak, że na przykład na wykopaliskach byliśmy tylko jeden jedyny raz — za Uniejowem. Inna sprawa, że on był rektorem tylko przez rok. Zle się czuł za biurkiem. Taki charakter.

— Czy zdarzył się panu jakiś wypadek?

— Nie. Szczęśliwie udało mi się przejechać te trzydzieści dziewięć lat bez wypadku. Może dlatego, że jestem bardzo spokojny. Rektor Górski zawsze dziwił się, że ja zupełnie nie mam nerwów.

— Ale mandat na pewno nie raz już pan zapłacił?

— O, tak. To jest nie do uniknięcia, jak się dużo jeździ.

— Pańscy pasażerowie też byli zawsze tego zdania?

— Ci, którzy mieli własne samochody, mówili, że oni też placą mandaty, więc zabym się nie przejmował. Przecież rektor — też człowiek. Ale przyznam się, że lepiej mi się jeździło z tymi, którzy sami nie prowadzili. Jakoś pewniej się wtedy czułem. Nie miałem wrażenia, że patrzą mi na ręce.

— Dziękuję panu za rozmowę i życzę równie szczęśliwych jazd do samej emerytury.

Rozmawiał: PAWEŁ TOMASZEWSKI



## SENSACJĄ TEGO LATA

w Nadwarciańskim Grodzie była Emilia Krakowska i „Świetliki” Kirya Karamanowa z Jambolu z Bułgarii. Latem bowiem Nadwarciański Gród rozlega wielojęzyczny gwarem. Przyjeżdżają tu pionierzy z Morwińskiej Autonomicznej SRR, młodzież z okręgu Jambol w Bułgarii i Erfurt w NRD. Można tu spotkać wybitnych aktorów, pisarzy, naukowców. Byli na przykład kierownicy Planetarium w Olsztynie i Chorzowie. Często gościem bywa tu prof. Romuald Olaczek z UL. Wychodząc z biblioteki spotkałem na korytarzu dyrektora WFO w Łodzi Macieja Łukowskiego.

— O, widzę, że tu łatwiej się spotkać niż na miejscu w Łodzi — powiedział na mój widok.

Niewiele brakowało, abym spotkał się z rektorem „szkoły filmowej” Henrykiem Klubą, do którego mam zresztą dość pilny interes i którego usiłuję złapać telefonicznie już od dłuższego czasu. Ale Henryk Klubę miał jakies ważne spotkanie w Warszawie i musiał odłożyć przyjazd do Nadwarciańskiego Grodu. Dzwonił w tej sprawie z Łodzi Kazimierz Lewkowski, który już dwukrotnie był w Nadwarciańskim Grodzie. Spodziewana jest tu też wizyta prof. Stanisława Kaszyńskiego.

Emilia Krakowska budziła sensację swoimi strojami i tym, że młodzież mogła ją z bliska obejrzeć, porozmawiać. „Świetliki” Kirya Karamanowa — to dziecięcy zespół Państwowego Teatru Lalki i Maski w Jambolu. Na stadionie w Załęczu Wielkim—Kępowiznie — szli w Nadwarciańskim Grodzie — wystawili „Buffo-syndrom”. Były tu miniatury teatralne, nie mogli bowiem przywieźć z sobą pełnego zestawu rekwizytów, aby pokazać pełne widowisko. Ale i tak podobali się...

— Obozy harcerskie organizowane tu już od 1976 roku — mówi Jerzy Kowalski. — Mieszkańcy pod namiotami. Zresztą i dziś wiele obozów kwatruje pod namiotami. Latem nie pomieszczylibyśmy wszystkich w pawilonach. Wtedy też, a było to w 1977 roku postawiliśmy tutaj pawilon tymczasowy...

— ...a ponieważ prowizorki są najtrwalsze... — wtrącam.

— Ta stolówka stoi do dziś i grozi wszelkimi nieszczęściami. Kosztowała wówczas niecałe 300 tysięcy złotych i mogliśmy ją postawić dzięki uprzejmości i życzliwości dyrektora z Namysłowa.

— To chyba w ogóle jest metoda budowania takiego ośrodka?

— W 1975 roku powołał się Wojewódzka Rada Przyjaciół Harcerstwa z ówczesnym i sekretarzem KW PZPR Tadeuszem Stasiakiem na czele. W dwa lata później zorientowaliśmy się, że w Komendzie Chorągwi ZHP w Sieradzu mamy przede wszystkim humanistów, nauczycieli z zawodu, którzy na budownictwie i technice zupełnie się nie znają. Powołaliśmy wówczas Społeczny Komitet Budowy, który z powodzeniem działa do dziś i pełni rolę inspektora nadzoru budowlanego. Składa się zresztą ze znakomitych fachowców, przede wszystkim z byłego powiatu wieluńskiego. Pieniądze zdobywaliśmy poprzez Wojewódzka Radę Przyjaciół Harcerstwa od wojewódzkich przedsiębiorstw, spółdzielni, instytucji. Ale około 1980 roku okazało się, że źródło to gwałtownie wysycha...

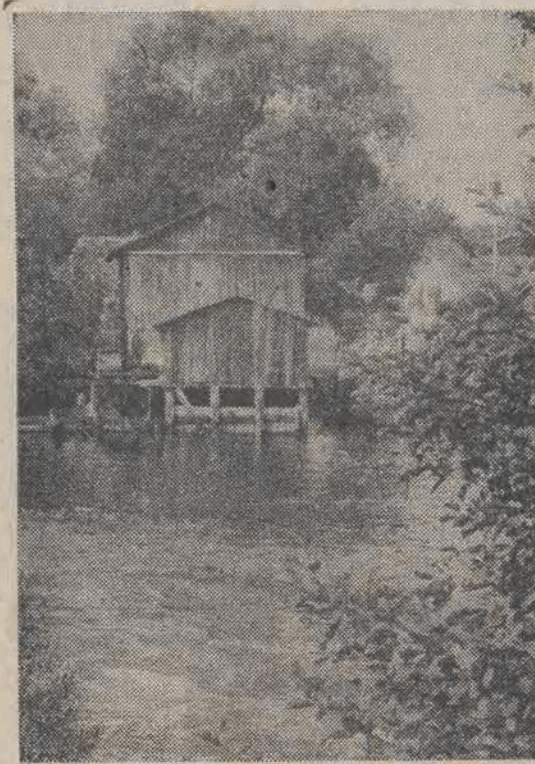
Po roku 1980 nastąpił gwałtowny spadek liczby harcerzy w Sieradzkiej Chorągwi, z 43 tysięcy do 27 tysięcy. Wzrosły w tym czasie ceny, a więc i koszty eksploatacji, konserwacji, materiałów budowlanych, placu. W niedalekim Krzeczowie szereg harcerski z Wielunia wybudował sobie ośrodek wypoczynkowy. Kiedy trwała budowa, było fajnie. Robiono to społecznie. Nikt nie pomyślał jednak o kosztach eksploatacji, konserwacji, o etatach dla niezbędnych specjalistów czy choćby stróża. Wtedy trzeba było oddać, to co już wybudowano. Dziś jest tam ośrodek wypoczynkowy, harcerze mogą z niego korzystać, ale niektórzy się śmieją, że harcerze budowali, a teraz w tym, co wybudowali wódkę i piwo się sprzedają. Trzeba było więc uratować Nadwarciański Gród, aby nie spotkał go podobny los. Zwrócono się o pomoc do Kwatery Głównej ZHP. Akurat VII Zjazd ZHP uznał za konieczne powołanie do życia trzech szkół instruktorów: dla zuchów, młodszych harcerzy i starszych harcerzy. Nadwarciański Gród w Załęczu Wielkim—Kępowiznie jak ulał pasował do tej idei. Nawet programy okazały się zbieżne.

## WE WRZEŚNIU 1939 ROKU

przeprawy przez Wartę w Załęczu Wielkim i Bobrownikach bronił żołnierz 30 Dywizji Piechoty Armii „Łódź”. Pod Załęczem Wielkim zginęło ich jedenastu. Pochowani zostali na wzgórku nad Wartą. Po 1945 roku przeniesiono ich prochy do kwatery Wojska Polskiego na cmentarzu w Wieluniu. Ale symboliczny grób nad Wartą pozostał.

2 września 1985 roku harcerze z Załęcza Wielkiego zaciągnęli honorowe warty przy symbolicznym grobie. Przyszła młodzież szkolna, kadra i pracownicy Nadwarciańskiego Grodu, władze z gminy Patnów. Złożono kwiaty, odpiewano „Jeszcze Polska nie zginęła”, ogłoszono okolicznościowe przemówienie. Wśród składających kwiaty były Agnieszka i Joanna Kowalskie. Było coś wzruszającego w tym, jak małutka Joasia starannie układała kwiaty na grobie w wielkim skupieniu i namaszczeniu jako czynność najważniejszą w świecie.

Kilka dni przedtem grupa młodzieży szkolnej interesująca się teatrem przygotowała i



Drzewiany młyn z 1919 roku w Kępowiznie na lewym brzegu Warty.



Komendant CSiH w Załęczu—Kępowiznie, Jerzy Kowalski z córkami Agnieszką i Joanną. Foto: autor

## Chleb na wodzie

pokazała przy ognisku widowisko historyczne o zwycięstwie Polaków pod Grunwaldem. Przygotowane je pod kierunkiem Kazimierza Lewkowskiego z łódzkiej „szkoły filmowej”. Było to widowisko z cyklu „światło i dźwięk”, chociaż światło było nikłe, a mokre drzewo na ognisku raczej tłilo się niż paliło. Dźwięk częściej charczał niż docierał do uszu słuchaczy. Można jeszcze powiedzieć, że młodzi aktorzy zbyt rozwlekłe podawali tekst. Ale to wszystkie niedociągnięcia czy braki nikną i tracą swoje znaczenie wobec zapału młodych aktorów, ich przejęcia i wkładu pracy. Kostiumy wypożyczone z Wytówni Filmów Fabularnych w Łodzi. A widowisku przyglądali się nie tylko uczestnicy obozów harcerskich, ale i przedstawiciele władz województwa sieradzkiego z I sekretarzem KW PZPR w Sieradzu, Januszem Urbanakiem. Sześć sieradzkiej organizacji partyjnej jest częstym gościem w Nadwarciańskim Grodzie, spotyka się tu z młodzieżą, interesuje się postępem prac nad rozbudową harcerskiego ośrodka.

Koncepcję harcerskiego ośrodka w Załęczu Wielkim—Kępowiznie można określić w najdalszym skrócie jako przygotowanie do spotkania

## Z KULTURĄ, SZUKAJĄ I NAUKĄ W LESIE

— Jeszcze w czasie, gdy Nadwarciański Gród budowała Chorągiew Sieradzka — mówi Jerzy Kowalski — założono, że młodzież z matek miasteczek, ze wsi, która nie ma możliwości takich kontaktów z kulturą, sztuką i nauką, jakie ma młodzież z dużych miast, będzie je miała właśnie w czasie pobytu w naszym ośrodku. Budując więc ten ośrodek kierowaliśmy się potrzebą stworzenia takich właśnie możliwości.

— Stąd tu wspaniała biblioteka, jaką drugą trudno znaleźć skurat w... lesie.

— Tak. Stwarza ona możliwość przeczytania tych książek, z którymi często instruktor, harcerz nielatowo może zetknąć się u siebie, a jednocześnie gromadzi zbiory specjalistyczne, które znajdują się w niedalekiej już przyszłości w pracowniach.

Drugim naszym założeniem było stworzenie takich warunków rozwoju fizycznego przybyszów z miasteczek i wsi, jakich nie ma ona w swoich szkołach i środowiskach. Wiadomo, że w wiejskich szkołach brakuje boisk, sal gimnastycznych, sprzętu sportowego. Dlatego wybudowaliśmy boisko z pełnymi urządzeniami do uprawiania lekkiej atletyki.

— W zamierzeniu macie wybudowanie basenu i czego jeszcze?

— Kort tenisowy będzie czynny już lada moment. Są trudności z jego odebraniem od wykonawcy. Jest już wykop pod basen pływakki. Powstanie jeszcze strzelnica i hangar szkuner-ski.

— Ale na tym nie kończymy.

— To znaczy, że macie jeszcze jakieś inne zamierzenia związane z wychowaniem fizycznym?

— Nie. Jest po prostu trzecie założenie naszego programu. Dotyczy ono zdrowia młodzieży wiejskiej. Jeśli stwarzamy młodym warunki do uprawiania sportu, to czynimy starania o rozwój jednej z ważnych dziedzin życia młodzieży. A co z drugą? Ta druga — to zdrowie. Wiemy przecież, że w wielu szkołach nie ma lekarzy, że dzieci nie były badane po kilka lat. Zaprogramowaliśmy więc powstanie przychodni z prawdziwego zdarzenia, w której przebywająca tu młodzież będzie dokładnie badana. Wyniki tych badań będą przekazywane do macie-

— Kiedy powinny zakończyć się prace?

— Jak wszystko dobrze pójdzie — mówi Jerzy Kowalski — to powinniśmy wszystkie te zamierzenia zakończyć do 1990 roku.

## JAK TO ZROBIĆ?

Można już założyć, że to co zrobiono stanowi trzy trzecie zamierzeń. Zbudowano przede wszystkim podziemne instalacje kanalizacyjne, wodociągowe i elektryczne. Zamierza się odremontować zrujnowaną tamę w Warcie, aby wykorzystywać ją dla napędzania lokalnej... elektrowni. W ten sposób Nadwarciański Gród będzie miał własną energię elektryczną i będzie niezależny od ciągłych wylądzeń. A te przecięt się zdarzają. Szczególnie jesienią i zimą.

Nie zapominajmy jednak, że Nadwarciański Gród powstaje w czynnie społecznym, poza wszelkim planem inwestycyjnym. A to oznacza nie tylko konieczność szukania pieniędzy, ale też materiałów budowlanych i wykonawców.

— Największa trudność — mówi Jerzy Kowalski — polega na zdobywaniu wykonawców. Nasze zamierzenia możemy realizować poza wszelkimi planami. Przedsiębiorstwo może jedynie z dobrego serca zrobić coś dla harcerzy. Trzeba przede wszystkim przekonać samorząd w przedsiębiorstwie, że warto zrobić coś dla harcerzy, bo robi się to dla dzieci. Własnych i cudzych. Jeśli już się zgodzi na wykonawcę, to on stawia najczęściej warunki, że to my musimy zdobyć przynajmniej część materiałów. To kolejna trudność. Ale jakoś damy sobie z nią radę. Pieniądze też musimy zdobywać i również nie bez trudności, a jak już się zgodzimy, to ustalamy kolejność wydatków według naszych potrzeb.

Wszystko jest pilne. Stolówka grozi niebezpieczeństwem, jest więc pilna jej budowa, ale i mieszkania dla kadry są pilne. Trzeba dokończyć drogę do mostu na Warcie. Potrzebna jest pracownia małej poligrafii i komputery.

— Powoli komputery wchodzi do szkół — mówi Jerzy Kowalski — drużynowi nie mogą być gorsi od nauczycieli. Muszą też umieć z nich korzystać.

— Ale szkołom komputery przydziela ministerstwo, a Nadwarciański Gród musi je zdobyć własnym sumptem. Zaopatrzenie ośrodka jest poza wszelkimi rozdzielnikami.

— Prześcieradła nam się kończą — mówi Jerzy Górnik. — Potrzebne są żelazka do prasowania i nie ma gdzie ich kupić.

— Ale te poszukiwania — przede wszystkim wykonawców — przynoszą nieoczekiwane korzyści. Potrzeba było wybudować w Nadwarciańskim Grodzie oczyszczalnię ścieków. Z trudnym, bo z trudem znaleziono dwóch wykonawców. Oba przedsiębiorstwa nie miały w tej dziedzinie prac potrzebnych doświadczeń. Zdobyl je i już budują dalsze oczyszczalnie. Nadwarciański Gród był dla nich poligonem doświadczalnym. Podobnie było z drogą przez las. Wybudował ją przedsiębiorstwo, które do tej pory drogi nie budowało. Zdobyl potrzebne doświadczenia, teraz buduje drogi.

— Jesteśmy w Załęczańskim Parku Krajobrazowym — mówi Jerzy Kowalski — i chcemy działać na rzecz tego parku. Wystąpiliśmy z pomysłem nakręcenia filmu o parku.

— Czy to był efekt wizyty Macieja Łukowskiego w Nadwarciańskim Grodzie?

— Nie tylko. Film to jedna rzecz. Zdają sobie sprawę, że filmy oświatowe są mało wykorzystywane. My możemy tu pokazywać je sporej liczbie instruktorów harcerskich, harcerzom. Chcemy, aby tu powstał klub filmowy, w którym będziemy mogli pokazywać nie tylko nowości WFO, ale też organizować spotkania twórców, reżyserów, operatorów, scenarzystów z odbiorcami. Auditorium jest duże.

— Widzę, że wasze zainteresowania idą głównie w kierunku Łodzi.

— Nie tylko. Ale Łódź jest najbliższą. Mamy kontakt z AM w Łodzi, ale i z Instytutem Maki i Dziecka w Warszawie. To tak dla przykładu. Szukamy różnych kontaktów. Profesor Stanisław Kaszyński będzie patronował wszelkim odczynkom do sztuki i kultury, profesor Romuald Olaczek — wiedzy o przyrodzie, kierownictwo „szkoły filmowej” w Łodzi — wiedzy o filmie. Różne są możliwości i chcemy z nich korzystać.

Gdy na Warcie tego lata była wielka woda i zabrała dwoje ludzi, to dla ich odszukania

## ZRUCANO CHLEB NA WODĘ

Nic to nie dało.

— Jestem fizykiem z wykształcenia — mówi Maria Kowalska — i nie bardzo rozumiem, dlaczego chleb ma wskazać, gdzie znajduje się topielec. Bo jest poświęcony — mówią. Ale, jak jest tu związek. A przecież musi istnieć jakiś związek przyczynowy. Jurek, który interesował się etnografią, utrzymuje, że kapliczki przydrożne stawiano na ogół w tych miejscach, gdzie było niebezpieczeństwo. Zabytkowa studnia przy szosie z Wielunia do Częstochowy powstała dlatego, że pątnicy idący z pielgrzymkami musieli gasić pragnienie. A tu?

Dla mnie jest w tym jakaś metafora. Dookoła las. Warta szumi na zrujnowanej zaporze. Ludzie, którzy przyjechali tu z różnych zakątków Polski. I wiedzą którą chce się im tu dać. I ten chleb rzucany na wodę. Bardziej dawny obyczaj niż skuteczny sposób.

## LUCJUSZ WŁODKOWSKI







**P**od wpływem wydarzeń politycznych lat 80-81 wzrosło w szerokich kręgach społeczeństwa kult narodowej przeszłości i umocniło się jak najlepsze mniemanie o naszych cnotach teraźniejszych. Zresztą nad apokryfami wielce pochlebnego wizerunku naszych przodków i nad dobrym samopoczuciem moralnym nowych generacji pracowali kolejno i skutecznie — choć w odmiennych celach — zarówno przedsierniowa propaganda oficjalna, jak i posierpiowa opozycja polityczna, wskutek czego wzbrała, i tak już wysoka przedtem, fala tradycjonalistycznego, zaściankowego patriotyzmu.

Odwoływał się on zwłaszcza do rzekomej idylli społecznej i do gospodarczej pomyślności międzywojennego dwudziestolecia, którego apologety żerują na faktach, że wśród żyjących coraz mniej jest świadków tamtej epoki. Wypisywano o niej i wygadano nieprzytomne pochwały, co przyczyniło się do dość znacznego rozpowszechnienia mity o demokratycznych formach życia społecznego, nawet po przewrocie majowym, i o dżentelmeńskich regułach rozrywki politycznych, przestrzeganych przez sily rządzące (wbrew Brześciowi, Berezie i krwawym pacyfikacjom masowych wystąpień).

Tak więc ugruntowywano bez skrępowań, na doręczny użytek walki politycznej, zgrabne w skutkach uczucie chętnego zadowolonego, wyzbytego całkowicie intelektualnej refleksji. Wytworzyły się jeszcze mniej sprzyjające, niż bodaj kiedykolwiek, warunki dla rozwoju patriotyzmu zdrowego, czyli krytycznego, wypływającego z gorzkiej miłości ojczyzny i dążącego do jej naprawy. Za największy paradoks ostatnich lat można uznać, iż dopiero stan wojenny, wydarzenie z natury rzeczy bolesne, świadczące bowiem o niemożności pokojowych regulacji, nubiło stosunkowo liczne kolo społeczne do krytycznej rewizji poglądów na narodowe dziedzictwo.

Ten krytyczny nurt obrachunkowy reprezentuje w sposób powściągliwy — modelowy książka znanego historyka literatury i krytyki, zajmującego się głównie zagadnieniami teatru, Jerzego Adamskiego pt. „Dno oka”. Stanowi ona zarówno — tak nam dziś potrzebną — rekapitulację gorzkich prawd historycznych, jak i próbę usystematyzowania oceny lat najnowszych — po dramatyczne miesiące pomiędzy Sierpniem 80 i Grudniem 81, a ponadto półtoraroczny okres od wprowadzenia stanu wojennego, czyli czas do połowy roku 1983.

Autor odwarza swój stan ducha i tok politycznego rozumowania późnym latem roku 80 na pustoszającej helkiej plaży, z dala od niedalekim Gdańsku odbywały się pamiętne strajki, zakończone rokowaniami. Ten sztafaż przydaje obserwacji i rozmyślaniom autora, relacjonowanym w pierwszej osobie, waloru bardzo osobistych zwierzeń i reportażowego autentyczności. Wprawdzie w dalszych partiach publikacji zatracza się niejednokrotnie owa osobista tonacja, przytłumiona przez historyzoficzne i sociopolityczne roztrząsania, ale kto się na początku dał wciągnąć w główną materię spraw, ten najpewniej wytrwa w lekturze do końca.

Ala cóż jest tym tytułowym dnem oka, z którego diagnosta zdolny jest rozpoznać stan organizmu pacjenta? Na jakiej problematyce ogniskuje się uwaga autora i co uważa on za kluczowe dla wyjaśnienia chorobowego procesu? Otóż — i to stanowi rzadki ewenement tej ściśle politycznej książki — Jerzy Adamski koncentruje się na najszerzej pojętej problematyce kultury, obejmującej obszary wykraczające daleko poza sferę zjawisk czysto artystycznych, mianowicie na tym, co nazywamy mentalnością społeczeństwa i wyznawanym przez nie systemem wartości, np. Jacy jesteśmy, dlaczego tak a nie inaczej reagujemy, czy w innych warunkach nie byłibyśmy rzetelniejsi, pracowitsi, rozwazniejsi politycznie? A więc kultura, będąca sferą ideologii, czyli „nadbudową”, staje się w książce Jerzego Adamskiego pryzmatem, w którym w sposób najdoskonalszy „odbija się” właściwe lub błędne funkcjonowanie społeczeństwa i państwa. Zresztą państwo — jak pisze autor

— jest głównym wytworem kultury, przede wszystkim u Polaków

Jerzy Adamski nie uchyla się od głoszenia prawdy niepopularnych, które ich głosicielowi nie mogą przysporzyć sympatii w społeczeństwie niezwykle silnie przywiązanych do upiększających stereotypów, a więc skłonnych też do niechęci wobec każdego, kto poważy się „szargać świętości”. I tak wbrew temu, co dla wielu rodaków jest tytułem do dumy z kultury narodowej, autor z całą bezwzględnością wykazuje, że nie jest ona kulturą Zachodu. Równie ciężkim kamieniem obrazy bywa teza, że Europa, w pojęciu nie tylko geograficznym, lecz również kulturowym, nie kończy się bynajmniej na Bugu, lecz sięga znacznie dalej na wschód.

Ważną uwagę poświęca Jerzy Adamski tematowi: **narod a państwo**. Wskazuje też na historyczne przyczyny, z powodu których stosunek znacznej części Polaków do własnego państwa jest słabiej nacechowany powagą i poczuciem odpowiedzialności niż w społeczeństwach zachodnioeuropejskich. Można by dodać, iż narod uważany jest u nas za wartość bezsporna, natomiast

zupełnie odmiennie pojmowanej przez sztukę i kulturę polską niż przez wielkie kultury zachodnie, w których miłość erytyczna stanowiła zawsze doniosłą inspirację artystyczną i moralną, na co też swego czasu zwracał uwagę Tadeusz Boy-Zeleński. I gdyby szukać dla Jerzego Adamskiego publicystycznych parateł, to właśnie u Boga, racjonalistycznego humanisty, z tym wszakże, iż istotny rysunek badawczy Jerzego Adamskiego stanowi, w moim przekonaniu, metodyka marksistowska. Myślę, że nie zarzuci mi sprzeczności Czytelnicy, dla których marksizm jest przede wszystkim rozwinięciem myśli racjonalistycznej i oświeceniowej, nie zaś — Boże uchwa! — empirycznej.

Obiema rekami podpisałbym się pod stwierdzeniem Jerzego Adamskiego, że na **dzisiejszy kształt kultury w Polsce** wywiera przemożny wpływ, rozrosnięte w czterdziestolecie, drobno-mieszczanstwo, sypchające stale na dalszy plan inteligencję. To bardzo ważna konstatacja, tym ważniejsza dziś, że przez szereg przedsierniowych lat nie wolno było nawet wzmiankować o tym wyraźnym regresie społeczno-ekonomiczno-

przez się rozumiało wydaje się, że jako naukowiec i humanista Jerzy Adamski przeciwstawia się wszelkim intencjom instrumentalnego traktowania kultury i sztuki, będących ze swej istoty wartościami samymi dla siebie, autotelicznymi, co — dodajmy — pozostaje też w najlepszej zgodzie z marksistowskim ideałem wszechstronnego rozwoju osobowości jednostki, jako celu najwyższego w społeczeństwie bezklasowym.

Nie sposób też było, autorowi przejść obok **kwestii polskiej religijności**. Może jego konstatacje nie są w tej materii szczególnie odkrywcze, teatralna bowiem dewocyjność i brak głębokiego zainteresowania doktrynami filozoficznymi katolicyzmu (a także innych wyznań i religii) oraz skłonność do kompromisów moralnych za cenę spokoju i wygody były cechami dominującymi w środowisku polskich katolików, dostrzeżanymi przez wielu polskich i obcych obserwatorów (często drwił obecnie z polskiej dewocji prasa zachodnia). Dodajmy tylko, że „utilitarystyczny” (jak określa autor) stosunek Polaków do różnych ideologii dał o sobie silnie znać w dobie reformacji, kiedy to większą część szlachty opowiedziało się dlatego za kalwinizmem, że połączyła ją hasło „taniego kościoła”. Słowem, religijność wyższa, czyli praktykowanie miłości bliźniego, była u nas zawsze sprawą mniej popularną niż udział w ceremoniach.

Wśród wielce interesujących i pełnych publicystycznej swady uwag Jerzego Adamskiego o częściowo autonomicznej roli kulturowej środków masowego przekazu (poniekąd w duchu też Mac Luhana), wyjątkowo celne wydaje mi się scharakteryzowanie kultury szerzonej przez TV, a może raczej sposobu uczestnictwa w niej, jako „kibicowania i podglądactwa”, które stają się dominującymi, choć niestety biernymi, formami życia społecznego.

Książka Jerzego Adamskiego ze względu na ciężar gatunkowy poruszanych problemów i wnikliwość autorskich osądów, ze względu także na mnogość wątków, niekiedy ledwo tkniętych, nie poddaje się łatwo próbie omówienia. Poszerza ona jednak bardzo znacznie krąg zagadnień i tematów, z którymi zwykliśmy obcować na co dzień, odpowiadając przy tym nowe tematy do samodzielnego przemyślenia. Mimo swoich zaledwie 140 stronik niewielkiego formatu jest się nad czym zastanowić i umysłowo potrudzić.

I dlatego też niełatwo byłoby, moim zdaniem, wyłowić z książki główną myśl przewodnią. Być może wbrew intencjom autora należałoby zwrócić uwagę na dwa przesłania. Obecny główny polski dylemat w opinii autora: „**Jak pogodzić dążenia społeczeństwa do samorządności z bezwzględną koniecznością funkcjonowania silnej władzy?**”

I przesłanie następnego: „**Wypracowywanie ideałów jest obecnie w Polsce ważniejsze i pilniejsze od czegokolwiek innego. A skupiać się one winny wokół trzech pojęć: pracy, nowoczesności i mowy polskiej.**” Wyrzylbym przypuszczenie, że owo trzecie pojęcie: mowa — wyda się niektórym czytelnikom czymś stosunkowo mało ważnym, jako recepta na uzdrawianie chorego kraju. Przytoczmy więc jeszcze rozwinięcie cytowanej myśli.

„W mowie przejawia się zarówno poziom umysłowy, jak i poziom moralny: Co i jak kto myśli, to widać dopiero, gdy mówi, kiedy używa języka jako niezbędnego narzędzia myślenia. W sposobie posługiwania się językiem jako narzędziem porozumienia widać postawę wobec innych: czy ich szanuje, czy nie, czy się z nimi liczy, czy nie?”

Interesowała by mnie najbardziej pewna niedopowiedziana myśl autora „**Dno oka**”. Czy — jego zdaniem — da się uzdrowić kulturę i odrzucić kulturotwórczą rolę inteligencji bez ograniczenia roli potężniejszego ekonomicznie drobnomieszczanstwa? Praktyczne rozstrzygnięcie nie leży w mocy ludzi kultury ani nawet całego środowiska inteligencji...

Jerzy Adamski „Dno oka”, PIW, Warszawa 1984, Wydanie pierwsze, cena 80 zł.

JERZY KWIECIŃSKI

## Jak się odbić od dna?

państwo odbiera się tak, jakby narod mógł bez niego świetnie prosperować.

Czemu służy jednak jakimś politycznemu celowi, te szerokie ugodnienia? Właśnie na ich tle, analizując m.in. treści porozumień gdańskich, przeprowadza Jerzy Adamski przekonujący wywód, że już w pierwotnych 21 postulatach strajkowych można odnaleźć tendencje podważające funkcjonowanie państwa, zwłaszcza w jego ówczesnej — mocno osłabionej kondycji ekonomicznej i politycznej. Znamienne wydaje mi się, że od podobnych stwierdzeń wola raczej uchylać się działacze piastujący odpowiedzialne stanowiska, Jerzy Adamski natomiast łatwiej może sobie pozwolić na to, żeby ścigać na swą głowę gromy oburzenia — liczących przecież — ludzi o odmiennych poglądach politycznych. Autor zauważa przy tym, że w rok później, w 14 tezach „Solidarności” o „samorządnej Rzeczypospolitej”, głoszących „konieczność całkowitego uniezależnienia społeczeństwa od państwa” kryły się podobne niebezpieczeństwa dla ogólnonarodowego dobra, którym jest państwo, jakie stwarzał zanarchizowany żywioł szlachecki w epoce saskiej.

Są to bez wątpienia porównania śmiałe, dla wielu zapewne szokujące, a przy tym na miarę obfiteści niewielkiej publikacji gruntownie uargumentowane, w co Czytelnik może zechce uwierzyć mój na słowo, zanim sam zapozna się z tą godną uwagi lekturą. Żeby jednak zamknąć już omawiany tu wątek państwa, zresztą, jak wykazuje autor, stały wątek dziejów Polski, przytoczę cytat, który jakby podsumowuje rozważania Jerzego Adamskiego na ten ważki temat:

„Utrata państwa, walka o nie, odbudowa, jest dramatem i treścią życia pokoleń od prawie dwu stuleci. A więc jest to dramat i treść życia kultury polskiej” (w której) „kwestia państwa zawsze odgrywała rolę szczególną”.

Przytoczmy jeszcze — w skrócie i uproszczeniu — ważniejsze czy też oryginalniejsze z poruszanych w książce tematów. Wśród nich rozważana jest m.in. specyfika kultury polskiej, zarówno artystycznej, jak i odnoszącej się do sposobu pojmowania wartości życiowych przez szerokie kręgi społeczne. Cenne są również, rzadkie u nas, rozważania o roli tematyki erotycznej,

—kulturowym. Krytyka tego stanu rzeczy wprowadzałaby zbyt wielki dysonans ideologiczny do propagowanej oficjalnie ideologii sukcesu jednostkowego, rozumianego, coraz częściej jako materialne wybiecie się, określane w dodatku z aprobatą, jako „kariera”. Nasuwa się też refleksja: a co z tym zjawiskiem dzisiaj...

Na tle arcywzrostnych, moim zdaniem, wnikliwych rozważań o sytuacji inteligencji i jej samowiedomości nie wydaje mi się jednak przekonująca teza autora, że inteligencja w ostatnich latach „żywiła się tradycją swojego autokrytycyzmu” (co oczywiście osłabiało jej przebojowość społeczną). Uważam, że sąd ten można by odnieść głównie do postaw postępowej inteligencji, zwłaszcza twórczej, w pierwszych latach, kiedy to wspomniane środowiska zaczęły się godzić z faktem, iż rola hegemonu przypada (nie tylko wtedy w Polsce, lecz w procesie ogólnosiwiatowym) klasie robotniczej. Właśnie wobec tej klasy (nie zaś wobec burżuazji) szanujący się postępowy inteligent gotów był spełnić funkcję służebną, w przeświadczeniu zresztą, iż tą drogą będzie służył interesom całego narodu.

W kilkanaście lat po wojnie ta postawa zaczęła się dość wyraźnie cofać i dopiero w latach 80-81 wystąpiło egzaltowane upajanie się znaczną częścią inteligentów podziwem i uznaniem dla klasy robotniczej. Ale tym razem nie oznaczało to przesuwania się inteligentów „na lewo”, przeciwnie, po masie robotniczej, jako sile fizycznej obcyganemu sobie tu i ówdzie podważenie struktur państwa socjalistycznego. Na miejsce powojennej skrupy i eksplozji, inteligencja w latach 80-81 przeżywała przynajmniej wzmoczone samopoczucie, wielu zwłaszcza ludzi z kręgów twórczych zaczęło dostrzegać dla siebie przywódczą szansę — duchowych przewodników prostujących ścieżki młulczkim (choćby przez rewizję historii w duchu konserwatywno-dewocyjnym). „Tradycja autokrytycyzmu” inteligencji należała w latach 80-81 do dalekiej przeszłości.

Trudno byłoby, w niniejszej czytelniczej imprezie, dokładniej relacjonować tok rozumowania autora, toteż ograniczę się jeszcze do kilku jego spostrzeżeń i wniosków. Poniekąd samo

## Kino zagląda w przyszłość

Zachód ogarnięty szaleem komputerowym zaczyna powoli mieć coraz więcej z nimi kłopotów. Na coraz szerszą skalę rozwijają się oszustwa komputerowe, polegające na złamaniu danego kodu i przekazywaniu sum pieniężnych na konto osoby, która dokonała, a właściwie rozkazała komputerowi dokonać takiej operacji finansowej. Zjawisko to zatacza coraz szersze kręgi, stając się na tyle groźne, że powołano nawet do życia specjalne „brygady” do zwalczania tego typu oszustw.

Nie tak dawno przeczytałem w gazecie notatkę, o tym, jak to pewien młodzieniec włączył się do systemu komputerowego Pentagonu, budząc tym faktem przerażenie w kółach wojskowych. Tak więc nie tylko oszustwa podatkowo-finansowe dokonywane za pomocą komputera stały się rzeczywistością.

Kino zawsze miało to do siebie, że wyobraźnia twórców wyprzedzała często rzeczywistość, było niczym sejmograf czule reagujący na problemy, które dopiero miały się pojawić w bliższej, bądź też dalszej przyszłości. Już pierwsze nieme filmy czolowego maga kina okresu jarmarcznych — G. Meliesa, pokazywały, w jaki sposób polećmy na księżyc. Nie jest ważne, że na księżyc leciały tabuny roześmianych dziesięć, liczy się sam fakt wyprzedzenia rzeczywistości o prawie sześćdziesiąt lat.

Parę lat temu na polskich ekranach gościł film pt. „Chiński syndrom” cieszący się zresztą dużym i zasłużonym powodzeniem u publiczności, a pokazujący możliwość zaistnienia katastrofy w elektrowni atomowej, która spowodowałaby wprost nieobliczalnie skutki. W parę miesięcy później o mało nie doszło do podobnej katastrofy w jednej z amerykańskich elektrowni jądrowych. Jeszcze raz kino niczym prorok „przewidziało” co ewentualnie mogłoby się stać, gdyby nie ludzka inteligencja, która potrafi wyjść obronną ręką z najgorszych nawet przesł.

aktualnie na ekranach kin znajdują się dwa filmy, które są interesujące z paru powodów. Mianowicie mam na myśli „Supermana III” R. Lestera oraz „Gry w wojnę” J. Badhama. Oba są przykładem kina, które umownie nazwałbym kinem komputerowym. Nie chodzi tu tylko o możliwość wykorzystania komputera do specjalnych efektów elektronicznych, jak miało to miejsce w gwiazdnej trylogii Lukasa, w której komputer służył do realizacji całych sekwencji, chociażby podczas ataków lotniczych. W przypadku tych dwóch filmów komputer urasta niemal do rangi samodzielnego bohatera filmowego. To on dyktuje ludziom sposoby zachowań, determinując ich postępowanie.

W filmie Badhama mamy do czynienia z wręcz maszyną doskonałą, która staje się samodzielnie myślącym tworem, dającym do zwycięstwa za wszelką cenę. Komputer o nazwie WOPR prowadzi grę rozpoczętą przez kilkunastoletniego chłopca, który włączył się przypadkowo w system komputerowy Pentagonu (tak więc jeszcze raz kino okazało się być proroczym wieszczem). W momencie, gdy film Badhama powstawał, a miało to miejsce w roku 1983, uważano go za interesujący przykład filmowej fikcji i tak między innymi został przyjęty na festiwalu filmowym w Cannes. Sądzono, że system zabezpieczeń komputerowych jest na tyle w armii amerykańskiej rozwinięty, że podobne przypadki nie będą miały miejsca. Tymczasem rzeczywistość potwierdziła fikcję i tak jak podawała prasa przypadek taki miał miejsce. Film Badhama uzmysławia nam, mimo oczywistych naiwności, niebezpieczeństwa wynikające z nadmiernej wiary człowieka w maszyny, w elektroniki, która w momencie, gdy wymyka się ludziom z rąk, staje się niebezpiecznym „partnerem”, w prowadzonej pomiędzy człowiekiem a maszyną grze.

„Gry w wojnę” są interesujące jeszcze z innych przyczyn. Pokazują przelotnemu śmiertelnikowi znaną Wisły, jakie możliwości tkwią w posługiwaniu się komputerami w życiu codziennym. Przez komputer można zarezerwować bilet na samolot, umówić się z lekarzem, dokonać operacji bankowej czy otrzymać komputerowe świadectwo z wynikami nauczania poeci. Uzmysławia nam jak daleko odbiegamy od stopnia komputeryzacji w krajach Europy Zachodniej, USA czy Japonii. Właśnie w Japonii powstała „komputerowa wioska”, w której życie codzienne zostało całkowicie podporządkowane komputerom, co wyznacza zupełnie nowe relacje pomiędzy ludźmi, w znacznym stopniu ograniczy kontakt bezpośrednie na rze z technokratyzowanych kontaktów komputerowych. Miejmy tylko nadzieję, że komputer nie przeniknie w tradycyjną sferę kontaktów męsko-damskich!

O ile „Gry w wojnę” prezentowały realne możliwości wykorzystania komputera, to „Superman” przedstawia wizję, (jak na film wyrosły z tradycji komiksów przystało) stworzenia komputera ołbrzymia, skupiającego w sobie nadprzyrodzone moce. Nawet Su-

perman musi wspiąć się na szczyty swoich możliwości, aby w toczonych walce z komputerowym gigantem zostać zwycięzcą. A więc elektronika, choć baśniowa i komiksowa staje się rywalem przeciwnikiem dla człowieka. Jest to jeszcze jeden przyczynek do analizowania wzajemnych relacji na linii człowiek — maszyna.

Obserwowałem poczynania Supermana, ale absolutnie nie interesował mnie odwieczny konflikt pomiędzy dobrem i złem, pomiędzy tymi dwoma tkwiącymi w człowieku pierwiastkami. O wiele ciekawszy był wątek czarnoskórego Guesa. Jeszcze raz scenarzyści nie omieszkali zaprezentować nam odwiecznego mity kopciuszka w wydaniu isle amerykańskim. Bezrobotny Gues, który nie potrafi poradzić sobie w garkuchni przy zmywaniu naczyń, zostaje geniuszem w programowaniu komputerów. Właśnie — geniuszem!

„Superman” wykorzystuje w materii scenariuszowej aktualne problemy wynikające z oszustw komputerowych. Przecież Gues dzięki komputerom zostaje właścicielem osiemdziesięciu tysięcy dolarów. Potrafi tak zaprogramować komputer, aby ten poprzez satelitę wpływał na pogodę. Jeszcze na razie być może jest to utopia, ale kto wie, czy w niedalekiej przyszłości nie stanie się to faktem.

Ponieważ komputery będą miały coraz większy wpływ na nasze życie, należy przypuszczać, że jeszcze nie raz będziemy w kinie świadkami ich wykorzystania. Po prostu wkraczają w nasze otoczenie, stając się jego trwałym elementem.

W tym miejscu należy zrobić pewną uwagę. Otóż napisałem: na nasze życie. Podczas oglądania tych dwóch filmów nieodparcie towarzyszyła mi jedna myśl, aby i u nas komputery znalazły tak szerokie zastosowanie jak na Zachodzie, abym i ja mógł podpisywać komputerowe świadectwo mojej córce, gdy dorosnie, aby dla niej świat, w którym przyjdzie jej żyć był rzeczywistością światem komputerowym, a nie zaściankowym. Moje pokolenie jest przecież pierwszym, które niemal od kolęski wychowało się na kulturze telewizyjnego obrazu. Byłoby bardzo dobrze, jeśli chcemy liczyć się w świecie, aby nasze dzieci dorastały już w otoczeniu komputera, który dla nich powinien być taką samą rzeczywistością, jak dla nas telewizja.

Należy tylko przyklasnąć inicjatywie TV, która w czasie dziesięciu tegorocznych wakacji zorganizowała „Wakacje z komputerem”, w czasie których dzieci w studio uczyły się prostych operacji komputerowych w języku logo. Dobrze i to!

WALDEMAR BĘDZIŃSKI



Ignacy Bernard omylił się. Bronisława Latowicka-Bernard nie zginęła ani w 1939 roku w Warszawie, ani w Oświęcimiu. Wzięto ją w łapanie na ulicy i rzeczywiście znalazła się w obozie koncentracyjnym, lecz nie w Oświęcimiu.

W 20 lat po wojnie Jan odnalazł swoją matkę. Pomogli dawni sąsiedzi z Warszawy, z którymi Bronisława Bernard nawiązała listowny kontakt. Mieszkała w Marsylii, była obywatelką Francji. Również, jak jej mąż, założyła drugą rodzinę, miała męża Francuza. Była przekonana, że Ignacy Bernard zginął wraz z dziećmi w czasie obrony Warszawy. W 1942 roku znalazł się w obozie świadkowie-znajomi, którzy widzieli to na własne oczy.

A w 1942 roku Ignacy Bernard wraz z dziećmi był pod Stalingradem w inżynierskim batalionie Armii Czerwonej i ciągle jeszcze rozpytywał uchodźców z Polski o swoją żonę. Pewną nadzieję usłyszał w opowieści jakiegoś rosyjskiego żołnierza, który zbiegł z niemieckiej niewoli i przedarł się przez linię frontu do swoich. Opowiadał on, że w pewnej wsi spotkał dziwną Polkę, dość jeszcze młodą, lecz zupełnie już siwą. W odpowiedzi na jego niepokój o bliskich Polka ta, mieszając polskie i rosyjskie wyrazy, powiedziała niskim, matowym głosem, jakby ochrypłym od płaczu, że w 1939 roku w Warszawie zginęła cała jej rodzina — mąż i dwóch synów — i że powinien się cieszyć, jeśli jego dzieci jeszcze żyją.

Po ucieczce z okupowanej Polski Bernardowie zatrzymali się w małej wiosce ukraińskiej niedaleko granicy. Życie mogłoby płynąć spokojnie, gdyby nie myśli o klęsce, o żonie, których nie udawało się niczym zagłuszyć.

— Z początku nie mogliśmy przyzwyczaić się do otaczającej nas ciszy — opowiada Jan. — Bałiliśmy się, że to tylko sen, że obudzą nas znów samoloty i huk bomb, że znów będziemy uciekali przez bezdroża i lasy. Jesienna zora ziemia miała kolor spalenizny i płaki nad nią zdawały się płatać popiołu. Ojciec miał przeżycie, że ta cisza nie potrwa długo.

Uciekinierów otoczono opieką, każdy ze współczuciem przyjmował pod swój dach ludzi, którzy utracili własny dom. Bernardów przyjęła w swe białe ściany skromna chata na końcu wsi, należąca do wiejskiego pastucha. Wszyscy razem z miejscowymi pracowali w kołchozie. Świt 22 czerwca 1941 roku znów wybuchł wojna. Przelatującym nisko samolotom towarzyszył krzyk i płacz dzieci. Wojna dogoniła ich na Ukrainie. Znowu Ignacy Bernard ruszył z synami na wschód. Wkrótce znalazł się w batalionie inżynierskim, a dzieci...

— Tu jest wojsko, a nie przedszkole! — krzyczał dowódca. Rozkazał, by Janka i 10-letniego Stanisława odesłać do domu dziecka, lecz dzieci kryły się, gdzie mogły, zresztą nikt się specjalnie nie starał wykonać tego rozkazu, tak więc wbrew regulaminowi służby wojskowej chłopcy zostali w batalionie przy ojcu, gdzie niebezpieczeństwo było największe. Batalion pracował w strefie frontowej, doprowadzał do stanu używalności tory kolejowe, systematycznie rozwalane bombami przez Niemców. Oczy chłopców widziały tyle okrutnych śmierci, że zdawać się mogło, iż na zawsze utracą zdolność wyrażać ciepło i radość, a serca ich okamienięją. Lecz wojna uczyła również wiary w ludzi i ufności w ich dobroć. Gdy powstało Wojsko Polskie Stasiak uciekł od ojca. Namówił go do tego taki sam chłopak, jak on, który był w Wojsku Polskim jako syn pułku. Jednak wkrótce Stasia wrócił do ojca. Zostawiając, pozabawieni kontaktu z własnymi dziećmi, każdy po swojemu, starali się okazywać serce biednym dzieciom. Ich troska była wręczająca, lecz nie mogła osłonić chłopaków przed tragedią wojny, przed niewygodami i okropnościami frontu. Janek i Stasiak budzili się w nocy od huku zenitówek, ostrzeliwujących niemieckie bombowce, wychodzili z wagonu i wpełzali pod niego (w stepie nie było innego ukrycia), a o świcie stali nad otwartą bratnią mogiłą i żegnali poległych. Nasładować dorosłych wstydzili się płakać i choć czasem łzy płynęły po policzkach — milczeli surowo, stojąc na baczność w ostatnim holdzie. Groby towarzyszyły im na całym stepie, wszędzie, gdzie zatrzymywał się skład remontowy. Jan mówił że step kojarzy mu się z ogromnym emantarem bez krzyży i pomników, w którym leżą bezimienni, nieznanzi żołnierze.

— Mroź jest Rosjaninem? — pytał Janek żołnierza. — Dlatego Niemcy się go boją? Szkoda, że nie jest Polakiem...

Dziś to frontowe dzieciństwo wydaje się koszmarnym snem. Obydwaj bracia mają własne rodziny, własne dzieci. Jan ma żonę Rosjankę o imieniu Alla — jest bohaterką jego opowiadań. Córka ma na imię Marina. Stanisław zrobił doktorat z historii, wkrótce zostanie dziadkiem. Ignacy Bernard jest już na emeryturze, mieszka w kurorcie Mineralne Wody, niedaleko Piątgorska. Osiedlił się tam zaraz po wojnie, tam założył drugą rodzinę. Bronisława przyjeżdża czasami z Marsylii zobaczyć się ze swymi dorosłymi synami. Spotykają się w Moskwie, dokąd zjeżdżają wszyscy członkowie starej rodziny, a raz nawet odbyło się takie spotkanie w Warszawie, gdzie Bronisława gościła u starych przyjaciół — byłych sąsiadów. Jan był w Polsce już trzy razy i za każdym razem, jak mówi, przeżywa ogromne wzruszenie.

— Czy serce dziecka może się zahartować na wojnie, stać się odporne na wzruszenia? — pytają nieraz uczestnicy spotkań autorskich.

— Proszę zaputać o to dzieci z obozu oświęcimskiego, tych świętych męczenników XX stulecia — odpowiada poeta.

Jan lubi opowiadać o stepie.

— Gdy pociąg zatrzymał się w nocy, zagłębiliśmy się w step, posłuchaliśmy ciszy i pomarzyć o mamie, ale dorodził zaraz nas przywoływał z powrotem.

— Niestety, to jak step, zbyt daleko zagłębisz się — zginięsz. Nie wolno się zagłębiać, — burczał dowódca. — Chciecie, żołnierzyki, posłuchać bajki?...

Cała rodzina dowódcy utonąła podczas przeprawy przez rzekę, w tym dwaj synowie, lubił więc przebywać z Jankiem i Stasiem, lubił im „ojcować”. A Janek nie bał się ciemnego stepu w nocy nie było w nim dokuczliwych komarów, bał się za to pełni księżyc. Zdawało mu się, że na twarzą księżycą siedzą olbrzymie komary i spijają jego żółta krew, a i gwiazdy błędne od ukaszeń. Do końca życia Jan i Stanisław będą pamiętać jedną taką noc w ste-

pie, gdy trzeba było do świtu naprawić rozwalone tory, by mógł po nich przejechać jakiś ważny pociąg z bronią. Ta noc stała się dla nich symbolem trzęsienia ziemi. Raz z razem szły dywanowe naloty niemieckich bombowców. Właśnie na ich batalion, jakby stali się celem gigantycznego polowania. Dotąd mieli szczęście. Ich obrona przeciwlotnicza mogła się pochwalic kilkoma zestrzelonymi „frycami”, lecz wówczas...

Dzieci wyprowadzono w step, daleko od pociągu, lecz one tam nie zostały i przypieły z powrotem, w sam środek piekła. Wśród żywych i martwych ktoś ich wreszcie dostrzegł i wciągnął pod wagon. A im wydało się nagłe, że ojca raniło i że wzywa pomocy. Trzeba go znaleźć, ratować... Nie mogli sobie wyobrazić ojca martwego. Reno Ignacy Bernard sam odnalazł synów — ledwie go poznali, okopconego, zakrwawionego, ale żywego i całego. Tej nocy poległa połowa batalionu, lecz tory naprawiono i broni dotarła na czas.

## OD CZEGO ZACZYNA SIĘ PRZYJAŹŃ

Przyjaźń z Janem Bernardem zaczęła się zaoferować w redakcji łódzkiej „Osnowy” u Tadeusza Chrościelewskiego. Spotykaliśmy przedtem nazwisko Jana Bernarda w radzieckich periody-

WASYL KOCZNOW

# O sobie, Janie i wojnie

kach literackich, lecz nie przypuszczałem, że wkrótce zaprzyjaźnimy się znajdując wiele wspólnych przemyśleń, przeżyć, doświadczeń, wiele wspólnego w naszych losach. Jan również słyszał o mnie w Stawropolu.

W czasie mojej wizyty w Wydawnictwie Łódzkim Tadeusz Chrościelewski poprosił, by przysłać mu ze Związku Radzieckiego nowe wiersze Jana Bernarda o Polsce i o Warszawie dla „Osnowy” i ewentualnie do wykorzystania w redagowanej przez prof. Bazylego Białokozowicza antologii poetyckiej „Warsawiana”. Zgodziłem się, choć miałem wątpliwości, czy Jan Bernard dostatecznie szybko zareaguje na mój list. Omyliłem się. Nasza korespondencja stała się dość obfita i regularna. Jan ciągle ponawiał zaproszenie do siebie, na południe, w góry Kaukazu. Miałem na to wielką ochotę, szczególnie zimą, ale jak na złość złamałem sobie nogę na oblodzonych chodnikach.

Musieliśmy napisać Janowi, że na jego „koniec świata”, do Stawropola, nieprędko przyjadę. Jan trochę się obraził za ten „koniec świata”, więc w odpowiedzi zasypał mnie folderami, mapkami, przewodnikami i widokówkami, prezentującymi Stawropol i jego okolice.

Dotąd wydawało mi się, że region Stawropola — to taka rosyjska preria, na której gdzieś niedługo widnieją chatki pod strzechą, gdzie karaluchy są jak słońce, a pchły — jak tygrysy i niewiele więcej. „Stawropol, Tauryda, Taur, centaury” — mamrotalem szukając słów o rdzeniu „taur”, a pamięć podsuwała różnych Greków, Scytów, Hunnów, a być może nawet Gogów i Magogów oraz ich współczesne potomstwo. Niewiedza skutecznie pobudza wyobraźnię, a wyobraźnia — ciekawość. Przeglądałem foldery. Żadna preria. Piękny i bogaty region. Żywność rodnia i biega. Stamtąd właśnie woża bogactwa południa do nas: winogrona, brzoskwinie, arbuzy, figi i rodzynki. Tam to wszystko rośnie.

Choć widoki były pociągające do Stawropola nie pojechałem. Trochę się bałem spotkania z Janem. „To Polak bez Polski — rozmyślałem — a ja byłem w Polsce każdego lata i patrzę na wszystko realnie, bez iluzji. Mogę mu niechęć sprawić przykrość, bo Jan — to wielki romantyk, nie piękniejszego od Polski dla niego nie istnieje. Jest chory na Polskę, która pozostała za tym okrutnym 1939 rokiem, jak sielsko-anielska kraina”. Czytając jego listy mam wrażenie, że Jan ciągle jeszcze kurczowo przyciska do piersi pustą rękaw czerwonego palta, powtarzając szeptem: „gdzie jest mama?”

Nagle otrzymuję telegram — Jan sam jedzie do mnie, do Iwanowa. Budzę się rano (pierwszy pociąg z Moskwy jest o 7,10), upra-

tam pościel, wietrze mieszkanie, stół przykrywam ładnym polskim obrusem, pośrodku stawiam butelkę jarzabiku i czekam. Dziwne, powiniem już być, a tu cisza taka, jakbym był sam w całym bloku. Nie słychać, by ktoś otwierał drzwi do klatki schodowej, nikt nie chodzi po schodach. W sobotni rano taka cisza jest zrozumiała, każdy odsypia całonocne ranne wstawanie. Wychodzę na balkon i wszystko staje się jasne. W nocy szalała zamieć, białe góry śniegu dotykają niemal pierwszego piętra. Jakże Jan dostanie się tutaj? Muszę zejść na dół, pospacerować koło bloku, może go wypatrzę. Blok jest długi, z mnóstwem klatek, po co ma mnie szukać. Tymczasem okazało się, że drzwi do klatki schodowej są zawałone śniegiem, dobrze jeszcze, że w rogu stała łopata. Odkopałem się jakoś, a na zewnątrz — ani ulic, ani drózek, wszystko w zaspach. Taką mamę tu zime...

W całym osiedlu pusto i głucho. Gdzieśgdzieś widać figurki brnące po pas w śniegu. Wróciłem na swoje III piętro, założyłem palto, czapę, rękawice — wyszedłem na balkon. Uważnie wpatruję się we wszystkich, kto zbliża się do mojego bloku. Oto brnie ktoś z plecakiem — ramionach. Jan? To nie może być on. Polak — —elegan z Kaukazu nie pojedzie w gości z takim garbem na plecach. Ten mężczyzna ma na nogach walonki i eskimoską czapkę na głowie. To ktoś z tundry przyjechał, a nie z południa. Czas płynie, a Jana nie ma. Spojrzałem na o-

kienny termometr, oho! —30! O nie, w taki mroź jarzabik dla Polaka z Kaukazu — to jak lemoniada. Muszę biec do sklepu po „Stoliczną”. Stukniemy się z Janem: „Kto tam?” — „Sto gram”. „Wchodź!” I od razu — kawałek razowca pod nos, trzeba wdychać aromat mięszu, aż nie przestanie piec w gardle. Wypijemy z Janem i żadne zasy niestraszne nam będą, przebijemy się przez nie na Elbrus, a potem wyruszymy obaj do Łodzi. Szkoda tylko, że Jan nie mówi po polsku.

Okolo 11 cała moja ulica wychodzi z łopatom odkopywać się. Przydzielono mi parę metrów przed moją klatką schodową. Po godzinie do klatki prowadził biały tunel, wysoki ponad 3 metry.

„Stoliczna” dawno już kupiona, na stole — tradycyjna rosyjska zakąska: solone grzyby, kapusta kiszona, ogórki, kielbasa. Chce mi się porządnie jeść, a Jana wciąż nie ma. Wszystkie przedpołudniowe pociągi już dawno przyszyły. Ale!... Zupełnie zapomniałem. Jan nie uznaje pociągów. Uważa je za przedpotopowy środek transportu. Nawet na bliskie odległości Jan lata, zaś 7 godzin jazdy z Moskwy — to dla niego za długo. Jest impulsywny i niecierpliwy. Nie znośi tracić czasu niepotrzebnie — musi być tam, gdzie trzeba, natychmiast, zaraz, bez względu na odległość. W taką pogodę żaden samolot nie mógł przylecieć, lotnisko jest tak samo zasypane, jak całe miasto. Wrodzona punktualność, nawet pewna pedantyczność Jana w tym względzie każały mu skorzystać z dostępnego środka lokomocji. A może pociągi też nie chodzą? Coś się musiało stać. Czekam na próżno.

W niedzielę rano dzwonek do drzwi wstrząsnął zimową ciszą mieszkania jak wiosenny grzmot. Akurat śniła mi się Łódź, rodzina. To był jakiś fragment mojego byłego życia, albo obecnego, gdybym nie wyjechał do Iwanowa. Córka ciągnęła mnie na spacer, a żona nie puszczała, zaraz miał być obiad.

Zrywam się z postania. Powtórnym dzwonek przepędza resztki snu, uświadamiam sobie, że jestem w Iwanowie i czekam na Jana Bernarda. Nie pytając „kto tam?”, otwieram szeroko drzwi i wolam do mężczyzny po polsku:

— Janek! Co się stało? Dlaczego tak długo jechałeś?

Potęże chłopisko ryknęło od progu głosem syberyjskiego niedźwiedzia:

— Jestem z administracji! Pan nie zapłacił za mieszkanie!

Jan przyjechał pociągiem w poniedziałek rano. Zadzwoił energicznie, krótko. Od progu, jak każde słowiański obyczaj, pocałowaliśmy się po bratersku trzykrotnie. Jan Bernard jest niewysoki (bardzo subiektywna ocena, gdyż sam

jestem wysoki), szczupły, sylwetką podobny do mojego najmłodszego brata. No i oczywiście nie jest tak młody, jak to prezentują zdjęcia w jego książkach. Miałem takie wrażenie, jakby był starszy ode mnie. Bo jest starszy — o jedną wojnę. Jesienią 1939 roku poszedłem do pierwszej klasy i beztrzęsio ganiałem z rówieśnikami za piłką na boisku szkolnym. Niebo nade mną było czyste i ciche. Trzyletni Janek w tym czasie uchodził na rękach ojca z Warszawy. Przeżył w dzieciństwie dwie wojny — to dużo. To przyspiesza proces starzenia się.

To, co spotkało Janka w 1939 spadło na mnie dopiero w 1941 roku. Wzrastałem, jak i on na skąpym kartoflanym chlebie, lecz na złość wojnie wyrosłem wysoki, choć nieraz gwizdały nade mną kule i nieraz się im kłaniałem, padałem na ziemię. Wraz z wojskiem opuszczaliśmy płonącą Smoleńszczyznę, nie jadłem nic po kilka dni, marzłem, błąkałem się w lasach. Zgubiłem się, zostałem synem pułku i zżyczyłem zesterzać się psychicznie zanim, zupełnie przypadkowo, nie odnalazła mnie matka.

Toasty nasze z Janem były na przemian to radosne, to smutne. Ja pijem za spotkanie, on — za pożegnanie. Nie mógł zatrzymać się w Iwanowie na dłużej, miał w Moskwie do załatwienia różne literackie sprawy, zarezerwowany w hotelu pokój. Wysłaliśmy trochę na miasto, które on widział po raz pierwszy, lecz wiał przenikliwy mroźny wiatr i nie sprzyjał zwiedzaniu. Jan opowiedział mi o swoich trzech pobytach w Polsce w latach 60 i 70. Ostatnim razem umówił się z matką na spotkanie w Warszawie. Ten wyjazd mógł się skończyć fatalnie, gdyby pogotowie się spóźniło. Jan znalazł się w szpitalu. Nikt z jego grupy turystycznej nie wiedział, że Jan ma się spotkać w Warszawie z matką, która przyjechała z Francji niezależnie od niego, na zaproszenie swoich warszawskich przyjaciół. Piotr K. kierownik grupy turystów poznał jego matkę, gdy przyszedł odwiedzić go w szpitalu po operacji. Oczywiście, zaczął podejrzewać, że Jan Bernard chce zostać na zawsze z matką, że zwrócił się do ambasady o paszport konsularny. Miałby do tego prawo. Po operacji surowe zakonnice, pełniące w tym szpitalu rolę pielęgniarek, nie pozwalały wejść do chorego nikomu, oprócz najbliższej rodziny. Piotr pisał do Jana karteczkę, życzył mu jak najszybszego powrotu do zdrowia, wyznawał braterską miłość i przekonywał, że nie wyobraża sobie powrotu do Stawropola bez niego. A Jan był naprawdę ciężko chory. Warszawa budziła wspomnienia z dzieciństwa, budziła w nim Polaka. Pisał do Stawropola długie listy do żony i córki, one śniły mu się po nocach. Wiedział, że bez nich nie będzie mógł żyć. Matka, która przychodziła do szpitala niemal codziennie, opowiedziała mu, jak szukała ich w 1939 roku, co przeżyła, gdy złapani ją Niemcy i oskarżeni o szpiegostwo...

W środę wieczorem odprowadziłem Jana na dworzec. Śnieg przestał padać, lecz mroź nadal trzymał. Gałęzie drzew otulone w grube białe pierzyny wyglądały cudownie. Jan był zadowolony, że trafił na łące syberyjską zimę, z zachwytem patrzył na pokryte śniegiem kście jarzabki — tego winogrona Północy.

Wypiliśmy wszystek mój jarzabik, więc na wypadek gości z Łodzi Jan przysłał mi z Kaukazu dwie butelki wymienionego „Strizamentu”, którego produkcja prawie w całości idzie na eksport. Jedną butelkę mam zawieszoną do Łodzi i wypić ją z jego rodakami. Jest to swoista gorzka nalewka z bukietu ziół rosnących na górze o nazwie Strizament, znajdującej się na terenie stawropolskiego rezerwatu. Jan długo się nie odzywał, w końcu napisał, że ten jego wypad na Północ kosztował go sporo: zachorował na zapalenie płuc.

W marcu dostałem następujący list:

„Wasylu, w kwietniu ma przyjechać do Moskwy moja matka z Francji. Pisze, że to już ostatni raz. Czuję się słabo, chce się ze wszystkimi pożegnać. Jedziemy wszyscy na kilka dni do Moskwy. Rozumiesz chyba, jakim niesamowitym dla niej prezentem byłaby Łódźka „Osnowa” lub „Warsawiana” z moimi wierszami po polsku. Mama zupełnie dobrze mówi i czyta po polsku. Myślę, że bardzo by się ucieszyła”.

Natychmiast napisałem do Łodzi. Wiedział, że tego typu przesyłka może iść bardzo długo i Jan nie otrzyma „Osnowy” przed odjazdem do Moskwy, przesyłem żonę by wysłała kwartalnik od razu do Marsylii na adres Bronisławy. Gdyby „Osnowa” zdążyła przed jej wyjazdem do Moskwy, rolę się odwrócić — to matka przywiezie prezent dla syna. Jeśli zaś poczta nie zdąży, otrzyma przesyłkę po powrocie do Francji. Zawiadomiłem Jana Bernarda o tym planie, poprosiłem go o adres matki. Odpowiedź przyszła natychmiast. Nerwowym, nierównym charakterem pisma Jan prosił:

„Mój drogi, ty nie znasz mojej matki. Jeśli ona otrzyma „Osnowę” nie bezpośrednio, ode mnie, lecz z Polski — wystraszy się okropnie, będzie się o mnie martwić. Pomyśli, że w tym almanachu jest coś, co mnie kompromituje. Moja matka wiele wycierpiała, nasłuchwała się o nas różnych różności i nawet — śmiechnie boi się zaszkodzić dzieciom. Stan jej zdrowia, jak i stan psychiczny każą ocenić ten jej wyjazd do nas jako bohaterstwo. Bardzo bym nie chciał denerwować jej niepotrzebnie. Matka ma tak słabe nerwy, jest tak rozrzedzona, że do tej pory nie opowiedziała mi wszystkiego, co przeżyła. Za każdym razem, gdy widzę, że zaczyna płakać, kieruję rozmowę na inny temat”.

Żona nie wysłała „Osnowy” do Marsylii... Szkoda. Nie tylko wiersze Jana, lecz w równym stopniu fragmenty jego listów ukazują niezwykłą szlachetność i wrażliwość obydwu postaci — syna i jego matki. Dlatego pozwoliłem sobie na te cytaty.

Ostatni list Jana Bernarda był bardzo smutny:

„Od 28 kwietnia spotykaliśmy się całą rodziną w hotelu „Kosmos”, gdzie przypadkowo mieszkała i matka, i my. Matka była członkiem grupy turystycznej — boi się sama podróżować, nie wolno jej dźwigać żadnych ciężarów, nawet torbki. W grupie zawsze ktoś pomoże. I maja pożegnaliśmy ją na lotnisku. Możesz wyobrazić sobie pożegnanie ludzi, którzy są świadomi, że widzą się po raz ostatni”.

Drogi Janie! Myślę, że nielotwe losy Bernardów nie będą obojętne twoim rodakom, dlatego przedstawiam je na łamach „Odgłosów”.



Rys. Janusz Szymanski-Głana



## POMAGAĆ I GANIĆ

Przebywając na urlopie w słonecznym Szczyrku, przeczytałem w wydaniu „Odgłosów” z dnia 24.08.85, kolejny list, chyba już trzeci z kolei opublikowany na łamach tego tygodnika, Przewodniczącej Samorządu Mieszkańców Osiedla Retkinia — Piaski, Marii Sobockiej.

Sam jestem długoletnim działaczem samorządów mieszkańców, bo w Komitecie Osiedlowym Retkinia — Zagrodniki działałem od 1974 r., a od 1981 r. do chwili obecnej piastuję zaszczytną funkcję przewodniczącego tego samorządu, mam 38 lat. Na ostatnim, czerwcowym walnym zgromadzeniu Robotniczej Spółdzielni Mieszkaniowej „POLESIE”, zostałem wybrany do Rady Nadzorczej spółdzielni, a na plenarnym posiedzeniu Rady, członkowie powierzyli mi funkcję (jednego z dwóch) zastępcy przewodniczącego tego ciała społecznego.

Czytałem na łamach „Odgłosów” listy publikowane przez Marię Sobocką, wcześniej wysłuchiwałem jej wystąpienia na różnych zebraniach i spotkaniach. Pani Sobocka twierdzi w swoich listach, że Zarząd RSM „POLESIE” z dyrektorem Florkiem na czele i jego „satelitami” utworzyli klikę, wciągnęli się w to członkowie Rady Nadzorczej RSM „POLESIE”, wynika więc z tego, że także i ja. Twierdzi Pani Sobocka, że działania zarządu i klikki tamują działania „nowego Komitetu Osiedlowego Retkinia — Piaski, które to działania podejmowane są na rzecz mieszkańców tego osiedla”.

Jako działacz społeczny, teraz członek Rady Nadzorczej RSM „POLESIE”, prawnik, muszę się oburzyć na wystąpienia publiczne (na łamach prasy) Marii Sobockiej. Albo Szanowna Pani Przewodnicząca publikując swoje listy na łamach prasy zaczyna pisać konkrety, zarówno dotyczące nieprawdliwej, nagannych działań poszczególnych członków zarządu i Rady Nadzorczej, ukazując konkretne osoby z nazwiskami i przedstawiając przeciwko nim konkretne dowody, przedstawia konkretne działania jej samorządu na rzecz mieszkańców osiedla Piaski, które zostały stopniowo przez „klikę”, albo zaprzestania takich publikacji. Ponieważ w innym przypadku będę zmuszony na najbliższym plenarnym posiedzeniu Rady Nadzorczej RSM „POLESIE” wystąpić z wnioskiem o skierowanie oskarżenia przeciwko Marii Sobockiej z art. 178 § 1 kk i objęcie ściganiem tego przestępstwa z oskarżenia publicznego. Środowisko moje zarówno z miejsca pracy, zamieszkania, znajomi, rodzina, wie kim jestem i jakie funkcje społeczne sprawuję. Nie chce, aby ktoś z tych osób ujmował mnie jako jednego „z tych niektórych członków Rady Nadzorczej”, których w swoich listach wytyka Pani Sobocka. Wszyscy członkowie Rady są oburzeni publikacjami tej Pani. Ja postanowiłem odpaść jej na łamach prasy.

W ostatnim swoim liście opublikowanym właśnie w „Odgłosach” z dnia 24 sierpnia 1985 r., Pani Sobocka twierdzi, że przebieg Walnego Zgromadzenia był z góry planowany, manipulowany przez „klikę”. Pani Sobocka wspomina, że w czasie trwania obrad była powołana specjalna komisja prawna, w skład której wchodził: radca prawni Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej, RSM Polesie, członkowie spółdzielni, jak np. pan sędzia sądu powszechnego, no i sama Pani Sobocka. Komisja ta rozważała w trakcie obrad wszystkie niejasności prawne.

Z listów Pani Sobockiej wynika, że są torpedowane działania podejmowane przez jej samorząd na rzecz mieszkańców osiedla Piaski, ale jakie, bo jak do tej pory nie były one w konkretnych wykazane. Śmiałem twierdzić, że takich działań ten samorząd mieszkańców nie podejmuje, skoro ma czas na walkowanie tylko jednej sprawy — klikki w RSM „POLESIE”, ale zarazem nie przedstawiając w tym zakresie konkretnych faktów i dowodów.

Nasz Komitet Osiedlowy — Komitet Osiedla Retkinia — Zagrodniki ma na swojej głowie wiele spraw, spraw, które boją mieszkańców naszego osiedla, a mianowicie:

Rozwiązanie jak najszybciej konfliktowej sprawy myjni samochodowej, przeciekające dachy bloków zarówno w części starego osiedla i jeszcze bardziej tragiczne jest to, że tak samo przeciekają dachy nowych bloków w części śródmiejskiej naszego osiedla. Samorząd nasz musi walczyć o to, aby tym mieszkańcom zapewnić spokojne życie, aby mieszkańcy nie tracili nerwów, kiedy widzą niszczenie ich dobytku. W tych przypadkach będziemy atakować zarząd RSM „POLESIE”, aby jak najszybciej podjął działania w zakresie usunięcia tych ważnych usterek i aby wystąpił na drogę postępowania cywilnego z roszczeniem w stosunku do budowniczych nowych bloków za brakorobstwo wykonania swojej pracy.

Tam, gdzie potrzeba występujemy i będziemy występować z atakami na zarząd RSM „POLESIE” i jej organy administracyjne, ale i będziemy pomagać w tych przypadkach, kiedy nasza pomoc będzie zarządowi i administracji osiedla potrzebna, w celu załatwienia problemów naszych mieszkańców. Przykładem takiego działania może być fakt wysłania przez kierownika Administracji Osiedla „Zagrodniki” szeregu pism — interwencji opatrzonej datami 15—19 sierpnia 1985 r. do różnych adresatów w celu podjęcia przez nich prac porządkowych, usunięcia usterek, które w mieszkaniach naszych wywołują niezadowolenie, oburzenie i w niektórych przypadkach niesuszone ataki na administrację osiedla np.

— LKB „Zachód” o zlikwidowanie śmietnika i uporządkowanie terenów przed blokiem nr 175.  
— do Gazowni Łódzkiej i Mazowieckich Zakładów Gazowniczych o uporządkowanie terenu po swoich i tak w pełni nie wykonanych do końca w należyty sposób robotach przed blokami nr: 4, 189, 190, 194, 195.

— Do Rejonu Oświetlenia Ulic Zakładu Energetycznego w Łodzi o włączenie oświetlenia na ulicy Hubala. Jak tłumaczy się Rejon Oświetlenia Ulic kabel zasilający w energię elektryczną na ul. Hubala został zerwany przez budowniczych bloku nr 175 i nie ma sposobu na naprawienie tej uciążliwej dla mieszkańców osiedla usterki.

— Pełnomocnik Zarządu RSM „POLESIE” Pan Jerzy Ciapczyński wystąpił z interwencją i poganieniami w ważnej sprawie do Mazowieckich Zakładów Gazowniczych i Gazowni w Łodzi o podjęcie konkretnych działań w sprawie likwidacji przecieku gazu z rurociągu w okolicach bloku nr 11.

Jak do tej pory mimo podjętych przez Administrację Osiedla i przedstawicieli Zarządu RSM „POLESIE” interwencji, wiele z tych spraw do chwili obecnej nie zostało nawet ruszonych przez adresatów. W takich przypadkach Komitet Osiedlowy Retkinia — Zagrodniki będzie szedł ramię w ramię z organami spółdzielni mieszkaniowej w celu wzajemnych działań zmierzających do likwidacji tych ważnych, negatywnych spraw. Posiadamy jeszcze jedną broń w stosunku do opieszalszych, a mianowicie naszych radnych, którym powierzymy nie załatwione problemy, aby oni postawili te sprawy na obradach Dzielnicowej Rady Narodowej Łódź — Polesie jak i Rady Narodowej Miasta Łódź.

Jesteśmy w okresie ważnych, podniosłych wydarzeń, a mianowicie wyborów do Sejmu PRL. Samorząd nasz podjął inicjatywę czynów społecznych, wspólnie z mieszkańcami naszego osiedla, młodzieżą Szkół Podstawowych nr 15 i 137, Administracją Osiedla, mającą na celu poparcie programu Rady Krajowej PRON i porozumienia narodowego. Będziemy chcieli nasadzić ponad 400 drzew na terenie śródmiejskiej części naszego osiedla i wykonać chodnik długości 80 m na osiedlu „Zagrodniki”. W tych sprawach zwróciliśmy się do władz dzielnicowej polskiej o przydział materiałów niezbędnych do wykonania tych prac.

Tam, gdzie trzeba ganić Zarząd Spółdzielni RSM „POLESIE” i jego organy, czy nawet poszczególnych działaczy, urzędników, to trzeba ganić, gdzie trzeba pomóc, to samorządy winny pomagać, ale jeżeli wytacza się zarzuty, to trzeba oskarżać konkretnych winowajców, podejrzanych i przede wszystkim przedstawić konkretne dowody.

STEFAN URBANIAK  
Przewodniczący Komitetu Osiedlowego  
Retkinia — Zagrodniki

## KONKURS NA PAMIĄTKI Z OKRESU DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ

Państwowe Muzeum na Majdanku, przejawiając troskę o przekazanie potomnym możliwie pełnego obrazu martyrologii i walki narodu polskiego, ogłasza konkurs na pamiątki świadczące o okresie drugiej wojny światowej.

Zwracamy się do wszystkich, a w szczególności do byłych więźniów Majdanka, o wzięcie udziału w konkursie i jego popularyzacji.

Na konkurs należy zgłaszać wszelkie pamiątki, które świadczą o martyrologii, walce i życiu codziennym w czasie hitlerowskiej okupacji. Interesują nas niemieckie i konspiracyjne dokumenty, prasa wydawana przez organizacje niepodległościowe i okupanta, plakaty i obwieszczenia, notatki i dzienniki z czasów wojny, korespondencja z ludźmi uwiecznionymi i wywiezionymi na przymusowe roboty, a także inne, obrazujące okres wojny i okupacji. Cenne będą też zdjęcia osób, które zginęły oraz fotografie upamiętniające różne wydarzenia okupacyjne, w tym i życie codzienne, odzież więziarska, przedmioty wykonane w obozach i więzieniach służące do codziennego użytku, jak i wyroby artystyczne. Oprócz wspomnianych tu przykładowo, interesują nas wszelkie inne pamiątki z czasów II wojny światowej.

Wszystkie nadesłane na konkurs pamiątki zostaną merytorycznie ocenione przez specjalistów, a w przypadku ich przejęcia drogą darów lub zakupów, będą one należycie konserwowane, odpowiednio zabezpieczone i po wsze czasy, pieczołowicie przechowywane w zbiorach Państwowego Muzeum na Majdanku. W przypadku udostępniania pamiątek szerszym kręgom społeczeństwa, w czasie wystaw dokumentalnych, zaznaczone zostanie źródło ich pochodzenia.

Dla biorących udział w konkursie przewiduje się następujące nagrody:

- I nagroda — 30.000 zł
- II nagroda — 20.000 zł
- III nagroda — 10.000 zł
- 8 wyróżnień po — 5.000 zł

Jury konkursu będzie miało prawo innego podziału nagród. Nagrodzone pamiątki konkursowe przechodzą na własność Państwowego Muzeum na Majdanku. Wszystkie osoby nagrodzone oraz te, które przekazały pamiątki do zbiorów Muzeum w formie darów, zostaną uhonorowane specjalnym dyplomem oraz wydawnictwami książkowymi. W przypadku pamiątek, które nie uzyskają nagród i wyróżnień, ani nie zostaną przekazane w formie darów, Państwowe Muzeum na Majdanku zastrzega sobie prawo pierwokupu. Wszystkie pozostałe pamiątki zostaną zwrócone ich właścicielom lub za ich zgodą przejęte w depozyt przez Muzeum.

Pamiątki zgłaszane na konkurs należy przesiać lub składać osobnie w Państwowym Muzeum na Majdanku, ul. Droga Męczenników Majdanka 87 20-325 Lublin w terminie do dnia 31 stycznia 1986 r.

## TWÓRCY I ODBIORCY

Koniecznością staje się potrzeba rozmowy widzów z realizatorami przedstawień. Należy przypuszczać, iż twórcom także nie jest obojętne, jak publiczność interpretuje dramaty, co mu narzuca, a co ją w nim fascynuje. W końcu tylko dialog z widzami zapewnić może żywotność teatru.

Cenna inicjatywa w tej mierze podjął niedługo Teatr 77, organizując „na gorąco”, po spektaklach spotkania reżysera i aktorów z widzami. Doprawdy, warto byłoby kontynuować podobną formę uczestnictwa w kulturze.

Wychodząc naprzeciw powyższemu postulatowi Studencki Teatr Akademii Medycznej „Cytryna” nosi się z zamiarem reaktywowania spotkań twórców spektakli z publicznością. Obywałyby się one mniej więcej raz w miesiącu, w określony dzień w siedzibie teatru „Cytryna” (ul. Zachodnia 81/83) z udziałem nie tylko reżyserów i aktorów, ale i innych ludzi teatru, nie mniej odpowiedzialnych za jego kształt, a więc: plastyków, muzyków, charakterystatorów. Na razie pozostaje nam tylko żywić głęboką nadzieję, iż nasza propozycja spotka się z zainteresowaniem ze strony dyrekcji poszczególnych łódzkich teatrów.

O szczegółach i ewentualnych terminach będziemy wcześniej informować za pośrednictwem prasy. Aranzacja spotkań zajmie się Mariola Wiktor — kierownik działu teatrologii KCM.

## JESZCZE RAZ O „KOPRZE”

W książce L. Włodkowskiego „Żyć w ciekawych czasach” (1979 r.) w rozdziale „Nie wstawać na dzwonek” przeczytałem sporo o P. Dyktyńskim, szpitalu im. Kopernika, także o sobie (co niekiedy wspomina), lecz przede wszystkim o Gimnazjum i Liceum im. Kopernika w Łodzi. Nauczyciele — Hechman, Polńska, Jodłowska, Wipiel, Siennicki, Studziński, Terlikowski, Cieślak. Wspominam kolegów — Sacluka, Kociołka, Cieśliewicza, Kosteńkę, Dzięgielewskiego, Stepnia, Wara-Wasowskiego, Wilińskiego, Trojanowskiego i wielu innych, których wyliczanie nie miałoby sensu. Lecz rzecz nie w wyliczaniu.

Ostatni zjazd wychowanków „Kopra” odbył się w 1972 r. Brałem w nim udział, ze wzruszeniem pomyślałem o najstarszym uczestniku, (matura w 1909 r.), który przyjechał na tę okazję z USA! Otrzymałem ostatnio ankietę Stowarzyszenia Wychowanków Gimnazjum i Liceum im. M. Kopernika, z której wynika między innymi, że szykuje się kolejny zjazd.

Nieproszony przeło proste o opublikowanie tego listu. Stowarzyszenie apeluje o zgłaszanie się, o podawanie nazwisk i adresów byłych kolegów i koleżanek, z którymi utrzymujemy jeszcze kontakty. Pamiętajcie? Łódź, ul. Więckowskiego nr 41.

Również nieproszony — zapowiadam relację ze zjazdu. Przecież „Kopra” (dawniej — Towarzystwo „Uczelnia”) był oprócz „bróki miejskiej” naprawdę znaczącą szkołą w Łodzi. Odrobina tradycji w naszych czasach nie zaszkodzi!

W. AFELT

## II OGÓLNOPOLSKI KONKURS PLASTYCZNY NA KSIĄŻKĘ DLA DZIECI

### REGULAMIN

#### I. Organizatorzy

1. Organizatorem konkursu jest Stowarzyszenie Twórców Kultury w Łodzi przy współdziałaniu Zarządu Wojewódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci w Łodzi oraz Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi.

2. Nad organizacją konkursu czuwa Komitet Organizacyjny, Biuro Organizacyjne oraz Komisarz konkursu. Zasady działania tych ciał objęte są odrębnym regulaminem.

#### II. Czas i miejsce

1. Konkurs zostaje ogłoszony z dniem 1 czerwca 1985 r.
2. Termin nadysiania prac konkursowych upływa 31 marca 1986 r.
3. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi najpóźniej do końca kwietnia 1986 r.
4. Uroczystość wręczenia nagród odbędzie się na otwarciu wystawy pokonkursowej 1 czerwca 1986 r.
5. Siedzibą Ogólnopolskiego Konkursu na Książkę dla Dzieci jest Stowarzyszenie Twórców Kultury w Łodzi, al. Kościuszki 33, tel. 86-75-93.

#### III. Cel

1. Celem konkursu jest pobudzenie i popularyzowanie wartości twórczości artystycznej dla dziecka.
2. Na konkurs można nadsyłać prace będące projektami książek dla dzieci w wieku od 2 do 8 lat.
3. Organizatorom zależy na pracach niekonwencjonalnych i pomysłowych, preferowane będą jednak pozytywa uwzględniające możliwości polskiej poligrafii.
4. Książka ma mieć charakter dzieła plastycznego. Nie wyklucza to użycia słowa. Tekst słowny powinien być zasadniczo tekstem oryginalnym, tzn. nigdy dotychczas nie publikowanym. Dopuszcza się możliwość wykorzystania anonimowych tekstów dziecięcych zabaw słownych czy innych przejawów językowej aktywności dzieci.

#### IV. Warunki uczestnictwa

1. W konkursie mogą wziąć udział twórcy profesjonalści, a także studenci szkół plastycznych, którzy z własnej inicjatywy nadesłali prace podlegające ocenie powołanego przez organizatorów jury.
2. Praca winna być opatrzona godłem; do pracy należy dołączyć zamkniętą kopertę opatrzoną tym samym godłem, a zawierającą imię, nazwisko i adres autora.
3. Prace należy nadsyłać pod adresem Stowarzyszenia Twórców Kultury, Łódź, al. Kościuszki 33, z adnotacją „Książka dla dziecka”.
4. Ilość prac jednego autora biorącego udział w konkursie nie jest limitowana.
5. Z konkursu wyklucza się prace uprzednio publikowane, a także projekty, których prawa autorskie nie są wyłącznie własnością autorów.
6. Praca nadesłana na konkurs powinna być makietą książki, tzn. powinna zawierać projekty wszystkich elementów składających się na całość dzieła: projekt układu typograficznego, ilustracje, układ kompozycyjny stron itp.
7. Autor może oprócz prac wyliczonych na układzie typograficznym lub wyłącznie na grafice ilustracyjnej, może łączyć te elementy lub też wykorzystywać inne techniki plastyczne. Istotne jest, aby projekt stanowił formalno-treściową całość i mieścił się w ramach przyjętej technologii powielania.
8. Projekt plastyczno-literacki traktowany jest jako całość. Nagroda przyznawana jest w każdym przypadku książce, niezależnie od ilości jej autorów i współautorów.
9. Organizatorzy proszą autorów o takie podanie projektów konkursowych, aby możliwa była pełna ich prezentacja w formie wystawy.

#### V. Nagrody

1. Powołane przez organizatorów Jury, którego skład zostanie podany przynajmniej na miesiąc przed rozstrzygnięciem konkursu, przyzna następujące nagrody:
  - I — 80.000
  - II — 60.000
  - III — 40.000oraz dwa wyróżnienia po 20.000.—
2. Z chwilą ogłoszenia konkursu pula nagród nie zostaje zamknięta, może zostać zwiększona, ale nie zmniejszona.
3. Nazwiska autorów prac nagrodzonych, wyróżnionych i zakwalifikowanych do wystawy pokonkursowej zostaną podane do wiadomości publicznej. Pozostałe prace pozostaną anonimowe.
4. Organizatorzy zastrzegają dla jury prawo innego podziału nagród, umotywowane w protokole tegoż Jury.

#### VI. Postanowienia ogólne

1. Przesłanie prac na konkurs jest równoznaczne z przyjęciem niniejszego regulaminu. Upoważnia także organizatorów do fotografowania i reprodukcji prac dla potrzeb reklamy konkursu w środkach masowego przekazu bez obowiązku wypłaty wynagrodzenia autorskiego.
2. Prace nadesłane na konkurs pozostają własnością autora.
3. Stowarzyszenie Twórców Kultury zastrzega sobie prawo pierwszeństwa publikacji prac nadesłanych na konkurs na ogólnie obowiązujących zasadach.

## ŁÓDZKIE DNI KULTURY ROBOTNICZEJ

W dniach 20—27 października 1985 r. odbędzie się impreza, organizowana po raz pierwszy w Łodzi. Dni Kultury Robotniczej. Inicjatorami Dni, nad którymi objął patronat Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łódź, są zakładowe placówki upowszechniania kultury: „Chochlik”, „Eskimo”, „Pamotex”, „Poltex”, „Teofilow”, „Uniontex”, Dom Kultury Kolejarza, Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury oraz redakcja „Głosu Robotniczego”.

Pośród licznych prezentacji i występów zapowiedziano koncerty amatorskich zespołów artystycznych działających przy zakładach domach kultury, seminaria literackie i naukowe poświęcone uczestnictwu w kulturze robotników, wystawy i wieczory teatralne. Rozstrzygnięty zostanie także Ogólnopolski Konkurs Literacki o nagrodę „Członek Tkackiego”. Szczegółowe informacje przyniesie łódzka prasa codzienna.

W ramach Dni organizatorzy ogłaszają OTWARTY KONKURS AMATORSKIEJ TWÓRCZOŚCI ARTYSTYCZNEJ nawiązującej do folkloru miejskiego.

W konkursie mogą wziąć udział amatorzy — zespoły i soliści, śpiewacy, instrumentalni, gawędziarze, recytatorzy, parodysty i tancerze uprawiający twórczość, która nawiązuje do folkloru miejskiego. Zgłoszenia do udziału w konkursie przyjmuje Zakładowy Dom Kultury EZPB im. Obrońców Pokoju „Uniontex” w Łodzi, ul. Przedzabłana 68, tel. 36-73-15 w poniedziałki, wtorki, piątki w godz. 14—20 oraz w środy i soboty w godz. 9—15 do dnia 18 października 1985 roku. Przyjmowane będą tylko zgłoszenia osobiste. Czas i repertuar prezentacji zostanie uzgodniony przy zgłoszeniu do konkursu. Impreza konkursowa (dla uczestników przewidziano liczne nagrody rzeczowe) odbędzie się 27 października 1985 roku w godz. 10—15 w Zakładowym Domu Kultury „Uniontex”.

(GRZ.)



Kiedys wbiegli na skarpe, okazało się, że namiot jest — nikt go nie ukradł, ale stracił trochę na wyglądzie. Nie stał po prostu, tylko leżał niczym sterta pościeli na skopanym łóżku; tu i ówdzie spoza kipieli brezentu wylażyły wstydliwie aluminiowe rurki stelaża.

Słońce piekło niemiłosiernie, nie było ehmur czy choćby tylko obłoków, ale od morza wiało gwałtownie, więc w pierwszej chwili można było pomyśleć, że to właśnie wiatr przewrócił masę budę, nasz przewoźny, polski dom wyprodukowany przez fabrykę w Legionowie.

Namioty z Legionowa mają jednak to do siebie, że potrafią przetrwać każdą wichurę i każdą ulewę. Podejrzewam nawet, iż wyszłyby zwycięsko z niewielkiego trzęsienia ziemi.

Owa niebezpieczna bynajmniej wiara w trwałość legionowskich produktów kazała nam bacznie przyrzeć się powalonemu namiotowi. W kwadrans później żona sięgnęła po igłę i nitkę i zaczęła zszywać przecięty nożem lub żyłką tropik i przecięty nożem lub żyłką ścianę sypialni. Główny maszt został wyrwany z ziemi ludzką ręką. Ktoś ściągnął także linki z haków i poluzował śledzie. Nic jednak nie zginęło, nie zabrakło żadnego drobiazgu. Pomyślałem, że następnym razem, kiedy podejdziesz do mnie małe Cyganiatko i zaofiaruje mi dwieście drahm za latarkę, sprzedam mu ją bez wahania i w żadnym wypadku nie podniosę głosu.

Pojedynczych Cyganów można spotkać wszędzie, ale zorganizowane tabory cygańskie nie należą w Grecji do widowisk pospolitych i codziennych. Mimo to w trakcie naszej czterotygodniowej wycieczki po drogach i szlakach tego wspaniałego kraju widzieliśmy je parokrotnie — na Peloponezie za Starym Koryntem, miasteczkiem, które leży wśród gór w odległości kilku kilometrów od kanału; pomiędzy Erytrą i Tebami w krajobrazie, który nie ma sobie równych na kontynencie europejskim oraz w okolicach Deif, gdzie popasały w bezpośrednim sąsiedztwie szosy wijącej się zakosami pod górę.

Tabor cygański na bazarze Wiśniewskiego był czwartym i ostatnim, jaki udało mi się zobaczyć i wśród którego przyszło mi spędzić noc. W czasie więc, kiedy żona reperowała powalona budę Made in Legionowo, wzięłem Łukasza za rękę i poszedłem poobserwować trochę obyczaje tego wszechobecnego, wędrownego narodu, na który utyskiują niby wszystkie kraje świata, a który wszelako przydaje wszystkim tym krajom uroku i blasku wdzierając się bez pardonu do piosenek, muzyki, literatury i marlarstwa.

Bez Cyganów jarmarki byłyby mdle jak zupa bez soli. Cygan to Cygan, i już! Ostatni Mohikanin, który oparł się zwycięsko całej tej cholerniej, zwarlowanej, zdyszaney od rana do nocy karuzeli, na którą przesiadł się cywilizowany świat zapatrzonej w cyferblat zegarka i wprawiającej sobie, że dom lśniący od niklu jest czymś więcej niż niebo, na którym świecą gwiazdy.

Cyganiatka brzechtała się w morzu, Cyganki waliły kijami bielizną w betonowym korycie obok jedynego ujęcia wody, a Cyganie leżeli na polowych łóżkach i materacach w cieniu murów, które zafundował im pan Wiśniewski. Cyganki sprzątały w namiotach i przed namiotami, Cyganiatka obrzucała się na plaży pecynami mokrego piasku, a Cyganie popalali licencyjne amerykańskie papierosy z minami panów, którym nie przystoi żadna praca.

Pewna polska dama płakała nad psem, który był bardzo mały, bardzo sympatyczny i bardzo smutny — popiskiwał, skamlał żalostnie i ocierał się o łono owej wrażliwej niewiasty, ta zaś przyciskała jego biedną, zaślinioną mordkę do piersi i głaskała go po zmaltretowanej pupinie z wielką zaiste czułością; ronila przy tym krokodyle łzy.

— Zobacz, co oni z nim zrobili! — chlpała biorąc ostrożnie w dwa palce nieprawdopodobnie długi i cienki jak wąs Salvadora Dall ogon sponiewieranego kundla. Kierowała te słowa do męża, który był gruby i ponury, i jeśli miał nawet jakąś pięć achillesową, nie stanowią jej z pewnością żadne niepotrzebne sentymenty do zwierząt.

— Puść brudasa, bo cię zapchli! — beknął i zapatrzył się ponad głowę żony w niebo nieobecny wzrokiem finansisty, który ma do przerobienia w głowie nad wyraz trudny rachunek.

— Jesteś pozbawiony serca, Tadzik! — zaparzyło się zache kobiecisko. — Nie widzisz, że ta cygańska holota wyrwała mu prawie ogon z zadka! O! to te dranie, to te dranie!

Dranie przemierzają akurat drogę z namiotów na plażę. Była to gromadka brzdąców w wieku od czterech do pięciu lat. Kobieta zatrzymała ich dygocąc z oburzenia i wykrzykując słowa, których w żadnym wypadku nie powinni rozumieć, a które mimo to zrozumieli.

— Sadyści! — ujadła. — Szakale! Jak można dręczyć tak niewinnego psika!

Zwierzątko skorzystało z okazji i opuściwszy gościnne łono niewiasty podbiegło do okrutników merdając ogonem.

Przywódca gromadki, chudy i czarny jak smoła cwaniaczek, który mimo swoich pięciu lat palił papierosa z taką wprawą, że w Polsce zostałyby z pewnością ukamienowane przez towarzystwo zwalczania tego ohydneho nalogu,

pochylił się z poważną miną nad psem, pokiwając swoim nikczemnym czołem przytakując niejako wzburzonej niewieście, po czym chwycił psika za ogon i udowodnił, że co jak co, ale prezensem Towarzystwa Przyjaciół Zwierząt to on raczej w przyszłości nie zostanie.

Pies śmigał w powietrzu jak wiatrak zgodnie z ruchem wskazówek zegara, na koniec zaś został wyrzucony w kosmos, gdzie zatonął szeroki łuk i wyrzynał grzbietem o beton.

Pani zdawała się dochodzić resztek swojego żywota, pan ciągle jeszcze patrzył w niebo dokonując skomplikowanych obliczeń ekonomicznych, psiak tymczasem wstał, otrząsnął się z kurzu i ze skutków twardego ładowania i kręcając nienaturalnie wydłużonym ogonem pobiegł nad morze — za cygańskimi dziećmiakami, był to bowiem cygański pies i kochał swoim małym, psim serduszkami cygańską hołotę.

W wodzie pośród fal odpływu starzy i młodzi Cyganie rozgrywali pełen humoru i werwy mecz w piłkę wodną, czy też raczej w jakąś bliżej nieznaną odmianę wodnej rugby. Piłkę udawał skupiony, cztero- może cztero i półroczy chłopczek, jeden z tych, za którymi po-

## Noc w gaju oliwkowym (Korespondencja z Grecji)

ANDRZEJ MAKOWIECKI

biegł pies. Tu wszelako należy powiedzieć, iż smyk udawał piłkę wbrew swojej woli, jako że nie umiał pływać, a mecz rozgrywał się daleko od brzegu, na głębokości, która kryła go z oczami. Wyrwał się, wrzeszczał jak opętany, płakał, wymierzał drobną piastką razy swoim bezlistnym oprawcom, ci jednak, rechocząc wesoło, wygrzebywali go z odmeńców i ciskali z rozmachem o fale. Krztusił się, pluł, ziorzczył, tarmosił ze wściekłością czuprynę ojca i drapeł jego rozbawioną twarz, rodzic jednak był nieublagany i podawał go szerokim łobem do wuja; wuj przekazywał go w inne, spragnione uciechy spony, chwila dopadała nieboraka cała sfera Cyganów wpychając mu głowę pod wodę i zdzierając czyste, ale diabelnie rozciągnięte majtki.

Byłbym przysiągł, że z trudem łowiące powietrze maleństwa bliźni urywanie:

— Puść, psiekłota loty, chołota!

Wyszamotał się wrzeszcząc z kapieli. Pierwsza rzecz, jaką zrobił na brzegu, to powrzucał do morza spodnie, koszule i buty swoich przeladówców. Następnie zajął się własną toaletą.

Mówiłem do Łukasza:



— Patrz i ucź się!

Rzadko bowiem można spotkać czterolatka, który tak bardzo troszczy się o higienę ciała. Stojąc na desce i zadzierając to lewą nogę to prawą, przez bity kwadrans otrzepywał je z piasku. Robił to najpierw przy pomocy nieskazitelnie białej chusteczki, a potem wyluskiwał poszczególne ziarenka spomiędzy zakamarków jednej i drugiej stopy zrecznymi, czarnymi paluszkami. Niesłychanie starowne dzieckol Zdmuchiwał jakieś pyłki, ścierał plamki, oglądał żyłki pod światło, ciągle nie do końca jeszcze przekonany, czy dokonał dzieła należyte. Wreszcie uznał chyba, że nic już więcej niepodobna zrobić, wciągnął więc na siebie zgrabne, dziecięce, świeżo zapewne wyprane przez matkę dżinsy, wbił nożyny w modne, lilipucie adidasy i ruszył z zafasowaną miną ku namiotom.

Nagle przecież, właśnie w chwili, kiedy powtarzałem Łukaszu, że powinien brać z cygańskiego pędaka przykład, ten, znużony upałem, zawrócił raptem z drogi do domu i ku mojemu osłupieniu rzucił się z rozpędu w morskie fale nie zdejmując bynajmniej butów i spodni. Cyganie tylko na to czekali — rechotali

(2)

— Więc czego chcesz?

— Do Cyganów. Chodź, chodź! — nalegał ciągnąc mnie za spodnie. — Zobaczymy, co oni tam kombinują.

Słownictwo smyk ma dość odważne. Ale sam byłem ciekaw, co kombinuje męska połowa Cyganów, którym jakiś niejasny imperatyw nakazał opuścić wygodne łoża w cieniu i utworzyć krąg wokół rozpalonego w biały dzień ogniska. Wydawało mi się, że Cyganów, podobnie jak Arabów, których obserwowałem kiedyś w obozach palestyńskich w Bejrucie, żadna siła nie jest zdolna odciągnąć od zajęć tak poważnych, jak polegiwanie, palenie papierosów i dyskusja. Kobiety zajmują się takimi głupstwami, jak pranie, gotowanie, sprzątanie, noszenie wody i piastowanie noworodków, a mężczyźni rozwiązują w pocie czoła nabrzmiałe problemy ludzkości.

Okazało się jednak, że leniwy z pozoru cygański pan i władca robi coś mimo wszystko, tyle że chyłkiem, nad wyraz dyskretnie, w sposób trudny do zarejestrowania przez niedoświadczony oko. Cygański pan i władca w trosce o brzuchy i podniebienia najbliższych, wychodzi cichaczem na łowy. Planem owego polowania padły wczoraj wieczorem szczury, a dzisiaj, w porze obiadowej, obracały się na dwóch prymitywnych, wykutych domowym sposobem różnach jakieś nieznanie mi, choć podobne trochę do szczurów zwierzęta.

Chciałem odejść, gdyż poczułem się niewyrażnie, ale pewien polski wyrostek pocieszył mnie:

— To są jeże, proszę pana.

— Skąd wiesz?

— Widziałem, jak je oprawiali.

Przeknąłem ślinę, która była gęsta i gorzka. Łukasz tymczasem wypytywał ciekawie:

— Zabili takie mięte żyjotka?

— Jasne — przytaknął bezlistnie chłopak. — Zabili, powyrzuli im kolce, a potem, nim jeże zostały wepchnięte na rożen, nadmuchiło je tym samym sposobem, jakim w Polsce nadmuchiwa się zaby, znasz?

— Nie znam — oświadczył ze wstydem Łukasz.

Na jednym rożnie, obracanym powoli i wprawnie przez młodego Cygana tuż nad ledwo tłacym się popieliskiem, żegnało się ze światem osiem jeży, a na drugim było ich tylko pięć. Brzuchy miały wzdęte i poczerwiałe w stosunku do reszty ciała; tylny nożki pierwszego jeża obejmowały mordkę drugiego, ten zaś powtarzał tę samą sztukę z trzecim, i tak dalej. Wyglądały bardzo żalostnie, chyba dlatego, iż przypomniały ustawione karnie w szeregu owce, które wiedzą, że idą na rzeź, a mimo to starają się zachować porządek. Kilku towarzyszących obrzędowi Cyganów naklęwało ostrożnie kijami czarne, wzdęte, coraz bardziej kruche brzuski nieszczęśliwów, reszta przewracała oczami czekając na chwilę, kiedy podadzą do stołu. Pan Bóg jest oczywiście istotą nieomylną, ale zrobił błąd, że nie zawiesił mięsa na drzewach. Każde stworzenie, obdarzone w oczy, serce i mikroskopijny choćby mózg, przeżywa trwogę, kiedy człowiek zabija je nożem lub pałką. Taką samą trwogę przeżyjesz kiedyś ty, człowieku. Możesz tylko pocieszać się myślą, że nie zjedzą cię Cyganie, lecz robaki.

Możesz nie wiem jak długo jeździć po Grecji, a ona, niczym dobry, kryminalny film, trzyma cię od początku do końca w napięciu. Nie chodzi mi tylko o muzea i antyczne skorupy na świętym powietrzu, których zwiedzanie, szczególnie wtedy, kiedy położone są na zboczach gór i kiedy praży bezlistne, greckie słońce, jest raczej przyjemnością męczącą. Chodzi mi przede wszystkim o uroki krajobrazu, który jak wspominałem, niewiele ma równych sobie w Europie i który może konkurować zwycięsko na całej długości nawet z tak pięknym krajem, jakim jest bez wątpienia Jugosławia.

Grecja wyposażona została przez swoich mitycznych bogów we wszystko to, co takie za serce, kiedy oglądasz westernowe plenery w kinie i kiedy otrzymujesz od przyjaciół kartki z egzotycznych miejscowości. W Grecji nie musisz mówić, że wolisz morze od gór, albo że wolisz góry od morza, gdyż masz jedno i drugie razem, na każdym kroku, i to w wydaniu najlepszym.

Grecja — to skały, wąwozy, tunele, cieniste, ogromne, piaskie jak boisko piłkarskie doliny, z których każda mogłaby być doliną rają; to wzgórza do trzech tysięcy metrów wysokości, zawieszane nad zatokami i fiordami, to pola, których gorący klimat nie zamieni bynajmniej w pustynię i znajdziesz na nich wszystko, co sprawia, iż myśl o śmierci staje się nagłe wstrętne — winorośla owocujące gronami wielkości śliwek, gaje migdałowe i oliwne, drzewka granatu, pomarańcze, cytryny i figi, których miąższ bardziej syci niż gasi pragnienie. Grecja — to wąskie, kręte drogi nad brzegiem przepaści, to wyspy ocierające się skrajem o ląd, to wielkie porty, w których spotkać możesz spowite mgiełką upału karawele wszystkich bander świata i małe, zaciszne przystanki, gdzie kołyszą się na drobnej fali wśród gór kutry i łodzie rybaków, a nieraz także zabłąkany jacht z ciężkim milionerem na pokładzie i ze służącym, który wypija na boku ukradkiem to, co zapomniało wypić bogate panisko.

CDN.



**P**owoli, lecz nieuchronnie zbliża się moment dekonstrukcji łódzkiej królowej piękności. Przyjdzie czas oddać koronę...

— Niestety. Pozostanie jednak na zawsze wiele dobrych wspomnień i frajda, która może zdarzyć się raz w życiu. O chwilach nieprzyjemnych, bo i takie bywały, lepiej zapomnieć.

— Może więc jeszcze raz spróbujesz stanąć do konkursu? — O, nie! Choćby rozumieć „weteranki”, które corocznie przychodzą na wybory.

— Powiedz, skąd dziewczyna biera tyle odwagi, żeby zgłosić się do konkursu, potem w kawiarni „Centra” paradować w kostiumie kąpielowym przed rozrabianą publicznością, dobrowolnie poddać się również publicznym testom na inteligencję?

— Nie wiem, jak moje rywalki, ja tę odwagę zbierałam w sobie bardzo długo. Chciałam zgłosić się już do pierwszej edycji wyborów, później do następnej, ale zawsze brakowało tej własnej odwagi, wiary w siebie. Dziewczyna, jeśli jest odrobiną samokrytyczna, staje przed lustrem i wyszukuje sobie wszystkie widoczne i niewidoczne cienie na urodzie — czasem nawet wmawia sobie, że takie ma, po czym uznaje, iż raczej nie ma szans w wyborach. W ten sposób wiele naprawdę pięknych dziewcząt nigdy nie zgłosiło się do eliminacji. Kiedy tak stoi się przed lustrem i trwają rozterki, dobrze jest jeśli ktoś pomoże, doda odwagi, zachęci. Mnie przekonał mój chłopak. Decyzja zapadła w ostatniej chwili.

— Na co liczy dziewczyna zgłaszając się do konkursu: na karierę modelki, gwiazdy filmowej, duże pieniądze, dobrą zabawę?

— Oczywiście każda z nas mocno wierzy w zwycięstwo. Kariera, pieniądze... — nie, o tym się nie myśli. To znaczy ja o tym nie myślałam. Może gdyby był znany jakiś precedens, jakiś pojedynczy przypadek, że miss zrobiła w Polsce karierę gwiazdy czy większe pieniądze, wtedy zapewne motywacje byłyby inne, a i frekwencja większa. Ale takiego przypadku nie było. Pozostaje dobra zabawa.

— Chwileczkę, przecież tegoroczna Miss Polonia odebrała bardzo dobry smachód, zwiedza świat, reklamuje wyroby znanych firm. Czy to nie wystarczy?

— Owszem, ale trzeba pamiętać, że tylko ona jedna. Poza tym, stając do wyborów miss województwa żadna z nas nie wiedziała jeszcze jakie będą nagrody. W zeszłym roku było znacznie gorzej.

Może magnesem przyciągającym dziewczęta do konkursu byłaby możliwość pracy w reklamie. Niestety, reklama jest u nas bardzo kiepska. Biuro Miss Polonia, które przyjmuje oferty zatrudnienia najładniejszych Polek do zdjęć reklamowych, wbrew pozorom nie skarży się na nadmiar ofert.

— A można by sądzić, że Ty, najpiękniejsza łódzianka wprost przebiegasz w atrakcyjnych propozycjach?

— Po pierwsze nie jestem najładniejszą łódzianką. Zdaje sobie sprawę z tego, że bardzo wiele ładniejszych ode mnie dziewcząt z różnych powodów nie stanęło do wyborów. Po drugie nie wolno liczyć na natychmiastową karierę modelki czy fotomodelki. Tego zawodu trzeba się uczyć bardzo długo. Ja pierwszą propozycję pracy w reklamie dostałam dopiero dwa miesiące po finałach wyborów. Jak dotąd mam na swym koncie zaledwie kilka zdjęć reklamowych mody oraz fotografie do kalendarza Miss Polonia.

— Czyli Miss Ziemi Łódzkiej może liczyć tylko na popularność i dobrą zabawę?

— O popularności można mówić wtedy, kiedy jest dobra reklama. U nas odpada. Co prawda zdarzają się miłe sytuacje, że ktoś rozpoznaje mnie na ulicy, albo mała dziewczynka podbiegnie, żeby poprosić o autograf. To wszystko. Reszta sprowadza się do dobrej zabawy.

— Od warszawskiego finału konkursu Miss Polonia '85 upłynęło już kilka miesięcy, ale dopiero teraz w prasie, między innymi w „Polityce” i w „Razem” pojawiły się tzw. przecieki, pochodzące jakoby od rozczarowanych i oszukanych finalistek, które postanowiły wydobyć na światło dzienne całą prawdę o kulisach wyborów. Dziewczyny te twierdzą, że zmuszono je do podpisania tajemniczego cyrografu, w myśl którego za pieniądze choćby

słówka o tym, co działo się na zgrupowaniu w Karpaczu i Zalesiu, grozi ciężka kara — jaka, nie bardzo wiadomo. Czy rzeczywiście zmuszono was do podpisania takiego zobowiązania?

— Dobrowolnie podpisywałyśmy pewne zobowiązanie, lecz nie przypominam sobie, aby była w nim mowa o zachowaniu w tajemnicy czegośkolwiek. Zresztą nie ma takiego prawa, które kazałoby nam milczeć. Sprawa, o której mówisz dotyczyła głównie gwarancji, że pomijając wypadki losowe, nagłe nie wycofamy się z imprezy przed finałem oraz że dostosujemy się do wymagań regulaminu.

— A jednak Twoje koleżanki skarżą się, że zostały oszukane, że gdzieś zaginęły obie-

pretensji do luksusów, więc nie czują się rozczarowane.

— Skoro nie ma tajemnic, spróbujmy wyjaśnić zagadkę nagród, które ponoć nie wszystkie i nie takie jak zapowiadano dotarły do laureatek.

— O ile wiem, główne nagrody zostały wręczone. Natomiast nie wszystkie upominki od sponsorów trafiły do naszych rąk. Jedną z koleżanek miala poważne kłopoty ze skompletowaniem nagrody, która powinna była zostać zaraz po imprezie. Obiecane nam lampy firmy Scanelectronics podobno ciągle krążą gdzieś po Polsce...

— Jedną z autorek sensacyjnych doniesień zza kulis wyborów Miss Polonia twierdzi, że zniknęły gdzieś nawet pieniądze wyłożone przez firmę Micro-

dów i przeróżnych imprez, nie przerwała studiów. Uczy się i ciężko pracuje. Bo to jest naprawdę ciężka praca.

— Powiedz, na czym ta ciężka praca polega, bo siedząc na sali czy przed telewizorem widać się uśmiechnięte, zadowolone, no może trochę stremowiane dziewczęta. Sama mówiłaś, że jest to niezła zabawa.

— To nie jest wyłącznie zabawa. Najpierw są mozolne przygotowania, ćwiczenia fizyczne, układy baletowe, po których niekiedy wychodziłymi z sali tak zmęczone, że płynęły nam z oczu łzy. Potem jest nieskończona ilość prób, ćwiczeń poruszania się na estradzie, nawet prawidłowej dykcji. Dopiero na samym końcu jest występ przed jurorami i publicznością. No i ogromna trema. Na finale w Sali Kongresowej wyszłam trzęsąc się ze zdenerwowania, myślałam, że zapomnę układ. To na pewno nie była zabawa.

— W telewizji widziałem raczej spektakl z udziałem marionetek...

— No właśnie. Kamery pokazały nas w niekorzystnym świetle. Sama odniosłam wrażenie, że jesteśmy mało inteligentne. A przecież tak nie jest. Wygłaszałyśmy do mikrofonu tylko po dwa, trzy zdania, które dyktował nam program wyborów. W końcu nie jesteśmy zawodowymi aktorkami. Rzeczywiście, wypadło to nie najlepiej, szczerze.

— Złośliwi twierdzą, że najmniej chodzi tu o inteligencję dziewcząt...

— Słyszałam mniej delikatne uwagi.

— Nawet nie pytam jakiej. Uparcie powracam jednak do sprawy: gdzie i kiedy był czas na zabawę? Na razie słyszę tylko o wyrzeczaniach, morderczej pracy, paraliżującej tremie.

— Właściwie zabawa była tylko w Krakowie. Występowałyśmy tam czterokrotnie, jeszcze przed warszawskim finałem, zawsze przy szczerze wypełnionej widowni. Było sporo dobrej muzyki, wspaniała atmosfera, i co najważniejsze, nikt nie gwizdał i nie śmiał się, jeśli ktoś z nas coś się nie udało.

— Na tych imprezach ktoś zarobił duże pieniądze. Czy miałyście w nich swój udział?

— Nie. Dla nas była to tylko próba generalna przed finałem wyborów.

— Czy przeprowadziłaś już wstępny bilans strat i zysków?

— Chyba na to jest jeszcze za wcześnie, ale... W moim życiu mimo wszystko zaszły niewielkie zmiany. Zaniedbałam wiele spraw zawodowych i tego trochę mi żal. Można powiedzieć, że ten rok był stracony dla mojej pracy — dla mnie nie. Sporo się nauczyłam, poznałam ciekawych ludzi, widziałam to, czego w innej sytuacji nigdy bym nie zobaczyła. Przeżyłam też kilka przykrych chwil, lecz zapominałam już o nich.

— Masz już pewne doświadczenie estradowe i pewien dystans do imprez typu wybory miss. Co chciałabyś przekazać tym Twoim koleżankom, które za kilka miesięcy staną do rywalizacji o tytuł Miss Ziemi Łódzkiej '86. Czyli innymi słowy, co musisz wiedzieć, piękna dziewczyno, zanim sięgniesz po koronę?

— Musisz wiedzieć, na co się decydujesz. Nie licz na to, że czeka Cię wyłącznie słodka, beztrudna i bezkłopotna praca. Musisz być przygotowana na ciężką pracę. Nie obiecuj sobie błyskotliwej kariery, nie angażuj się zbyt mocno w tę imprezę. Jeśli potrafisz, traktuj ją z przymrużeniem oka, na luzie, bo tylko tak unikniesz głębokich rozczarowań. A więc zerknij w lustro, poradź się bratniej duszy, rozważ wszystkie za i przeciw, podejmij decyzję. Jeśli znajdziesz dość odwagi, żeby zgłosić się do konkursu, bądź sobą, tylko Ty jesteś oryginalna. Kiedy zadadzą Ci pytanie, na które nie masz odpowiedzi, nie sil się na wykręty. Powiedz „nie wiem”. Nie musisz znać się na wszystkim. W każdym innym przypadku ośmieszysz się — nie warto. Staraj się uśmiechać do kogoś, nie w próżnię. Wybierz sobie kogoś z widzów i do niego uśmiechaj się. Wtedy Twój uśmiech będzie naturalny. Powodzenia.

— Dziękuję za rozmowę.

— Dziękuję za rozmowę.

— Dziękuję za rozmowę.

## Zanim sięgniesz po koronę...

Rozmowa z KATARZYNA ŻARNIK — Miss Ziemi Łódzkiej '85



Fot. Grzegorz Galasiński

cano im nagrody, że dołożyły do tej imprezy wcale niemale pieniądze, że traktowane są nie najlepiej...

— Wszystko zależy od punktu widzenia uczestniczki. Jeśli któraś, a były takie przypadki, traktuje konkurs jak najważniejsze wydarzenie swojego życia, zakupuje się w nim po same uszy, inwestuje straszne pieniądze, wtedy widzi koronę nie tylko na własnej głowie. Jeśli przegra, uważa to za życiową klęskę, osobistą tragedię — jest rozgoryczona, szuka winnych... Ale prawdą jest również, że podczas przygotowań do ogólnopolskiego finału nie wszystkie były w najlepszym porządku. Parę razy organizatorzy dali pokaz braku kultury. Na przykład osławiona już sprawa butów. Zamówiono je u szewca dla wszystkich finalistek. Buty okazały się brzydkie i niewygodne — niektóre nawet za małe. Organizatorzy kazali nam zapłacić za nie po trzy tysiące złotych. Niektóre dziewczyny próbowały protestować, bo zwyczajnie nie stać je na taki zakup — zarabiają po dziesięć, jedenaście tysięcy miesięcznie. Wtedy rzeczywiście jedna z nich usłyszała słowa: „Ty w tym konkursie jesteś najmniej ważna... Kupujesz, albo cześć!”

Co zaś tyczy się warunków, to istotnie były one kiepskie — szczególnie jedzenie, ale nikt nie zabraniał przyjmowania paczek z domu. Owszem, traciłyśmy na wadze, ale głównie w wyniku intensywnych ćwiczeń i emocji. Ja nie rosłam

meż na zakup kosmetyków dla najładniejszej Polki?

— Nie znam sprawy. Ale Kaśka Zawadzka na pewno się nie poskarży. Jest tak ładna, że prawie nie używa kosmetyków.

— Czy to prawda, że wyniki konkursu znane były uczestnikom już na kilka dni przed finałem?

— Raczej tak, chociaż nie do końca. Katarzyna Zawadzka i Joanna Niedorezo były praktycznie poza konkurencją. My same, to znaczy pozostałe finalistki, uznałyśmy, że te dwie są najładniejsze. O tyle można mówić, że wyniki wyborów znane były wcześniej.

— Spróbuj mnie przekonać, że nie było między wami rywalizacji?

— Może trudno to sobie wyobrazić, ale zdecydowanie najlepsza atmosfera panowała właśnie wśród finalistek. Naprawdę bardzo często pomagaliśmy sobie, i to nie tylko przy robieniu makijażu. Jeszcze częściej pomagałyśmy sobie przy rozwiązywaniu poważnych osobistych czy zawodowych problemów. W ten sposób zawiązało się wiele przyjaźni. Nawet kiedy było już wiadomo, że główną nagrodą jest volkswagen-turbo, nie się specjalnie między nami nie zmieniło. Po prostu nie rozmawialiśmy na ten temat. Nagroda nam nie przewróciła w głowach. Dobrze się stało, że wzięła ją Kaśka. To jest dziewczyna z charakterem, ma dystans do tych spraw. Najlepszy przykład, że mimo sukcesu, nawiązuje wyjaz-

# Pożegnanie Pucharu

GRZEGORZ GALASIŃSKI



Rozmawiał: ROMAN KUBIAK



— Mój znajomy, Hans Villanger, od lat skupuje parcele na Marsie. Jest właścicielem chyba stu hektarów pustyni. Ani on, ani jego synowie, ani nawet jego wnuki nigdy tam nie zamieszkają, ale Villanger ma trochę pieniędzy i postanowił część z nich zainwestować w akcje spółki „Spedycja i Tereny Marsjańskie”. Tej spółki, która jest cichym udziałowcem „Astrolabu”. Wolalby, żeby inwestował w przemyśle zbrojeniowym? Te jego sto hektarów to lotny piasek. Nikt nie ma pojęcia, co jest głębiej, prawdopodobnie nowa warstwa piasku, a pod nią jeszcze jedna warstwa piasku, i tak dalej, aż do żalowej skały macierzystej. Mimo to facet podjął ryzyko. I są miliony takich Villangerów...

— Bóg z nimi — powiedziałem niecierpliwie. Bragg najwyraźniej dał się ponieść swadzie i zaczął mówić nie na temat. — Co mnie oni obchodzą?

— Oczywiście, że cię obchodzą. Ci akcjonariusze towarzyszy transportowych, budowlanych, wydobywczych i dystrybucyjnych, to uczestnicy naszej wspólnej kosmicznej gry, posiadacze większości tetonów. Dzięki nim funkcjonują kasyna i obraca się taras ruletki. Nie chcą słyszeć o Międzynarodowych Przepisach Bezpieczeństwa. Wymagają, żeby ta gra toczyła się według twardej reguły hazardu.

— O czym tym pleciesz, na litość boską? Bragg roześmiał się cynicznie.

— Ty, Mike, widzisz ten problem z pozycji pilota, z pozycji puszczanej w ruch kulki, która obiega trzydzieści siedem numerowanych przegródek. Ale spróbuj spojrzeć na to jako gracz. Przecież jesteś także graczem, co do tego nie mam wątpliwości. Wszyscy jesteśmy graczami; lokujemy pieniądze w akcjach rozmaitych przedsiębiorstw i te akcje, że tetony robią z nas graczy, choćbyśmy temu gorąco przeczyli.

Nie zaprzeczyłem. Pomyślałem tylko, że Bragg oszalał albo jest pijany.

— A skoro już jesteśmy tymi graczami, Mike, nie zgadzamy się, żeby odbierano nam nadzieję na bliską wygraną. Bliska, nie w jakiejś niesprecyzowanej przyszłości, kiedy to tchórzliwie abatemu inwestorowi uda się wybudować stację geologiczną z przesadnym poszanowaniem Międzynarodowych Przepisów Bezpieczeństwa, co znacznie podwyższy tę imprezę. I jesteśmy gotowi ponieść straty, byle zakosztować smocji. Akcje „Neptun I” walały się na ulicach, chociaż w przeddzień startu Neville i Epsteina podwoiły swoją wartość. Akcjonariusze palili je przed ekspozyturami, odgrazali się i kleli, ale na wieść o drugiej wyprawie rozchwytywali następną emisję. Tym razem się powiodło. W próbkach, które ty i Leslie przywieźliście na Ziemię, znaleziono obiecujące ilości aktywności. Wiesz, jak dzisiaj stoją akcje „Neptun II”? Jak osiem do jednego. Statki transportowe polecą tam za dwa, trzy lata. Ile wtedy wart będzie tysiącfrankowy papier?

Między palce, które wystawiały mi z gipsowego opatrunku, wetknął szklaneczkę i natął do niej porządnie porcję Kirschwasser. Przerzyłem, jak przelewa ją do garbla.

— To nie moja domena — powiedziałem. — Nie mam w rodzinie maklera. Nigdy nie interesował mnie ten zgiełk wokół papierów wartościowych.

— Szkoła — odrzekł Bragg. Zdał w popielnicze cygaro i wstał. — Ale na pewno słyszałeś, że na giełdach pojawił się nowy hit: akcje „CMA”. Zwykła — z dnia na dzień, mimo że ta wyprawa wyruszy najwcześniej za pół roku.

— Jaka wyprawa? — To odezwwały się we mnie lata przepracowane w zawodzie pilota. — Zresztą mniejsza z tym.

## XVII

„Komandor Bragg podszedł do nocnego stolika. Ten stolik — pomyślałem — ma jakieś osobliwe cechy. Wszyscy ku niemu gravitują.

— Naprawdę nie wiesz? — zapytał. — Już powiedziałem: mniejsza z tym.

— Akcje „CMA” zostały wypuszczone dla finansowania pierwszej załogowej wyprawy międzyplanetarnej.

Poczułem, że aktywuję mi mięśnie. Z wysiłkiem zaczerpnąłem powietrza.

— Właśnie jednak się zdecydowali — skonkludowałem. — Dokąd?

— Bragg nie odpowiedział. Stał wyprostowany, w zadumie. Bluza opadała z jego ramion jak zawieszona na gwiazdę.

— Syrinsz? — dociekałem.

— Syrinsz.

— Kiedy?

— Jeszcze nie zapadły ostateczne decyzje. Są kłopoty ze skompletowaniem załogi.

— To jasne — mrugnąłem. — Nikt przy zdrowych zmysłach... — Steżałem na krześle. Chłód ściał mi skórę na plecach, nogach i piersi. Jakby padł na mnie cień góry lodowej.

— Bragg...

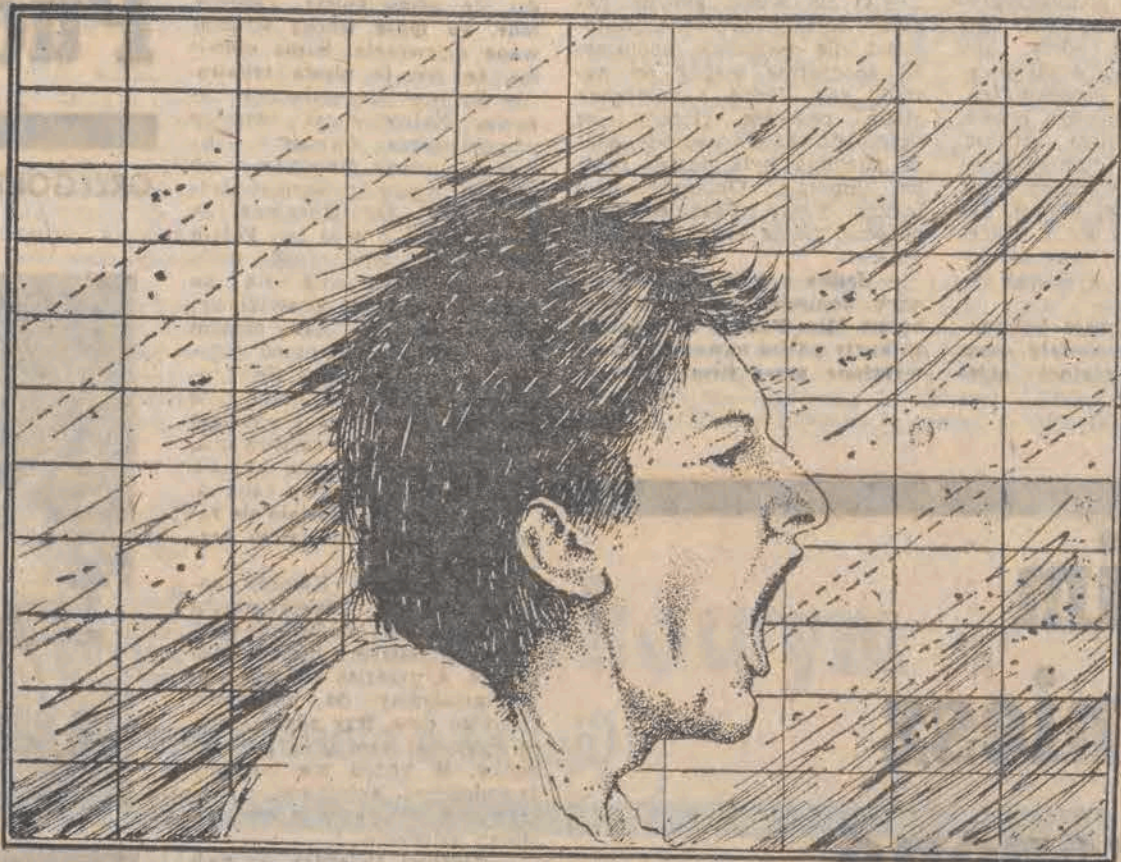
Nie widziałem dobrze jego twarzy, ale odniosłem wrażenie, że z napięciem czeka na to, co powiem.

— Bragg, ty skurwielu... Wydaje ci się, że znalazłeś frajera?

Jego sylwetka wznosiła się przede mną niczym osmolony kadłub rakiety o tępych dziobie, stojącej samotnie na lądowisku. I było tak cicho, jak po wylądowaniu, kiedy można usłyszeć śpiew tytanowych strun utopionych w płytę kosmodromu. W tę ciszę wtargnął aktor-ski monolog lektora.

— Wyłącz to radio, do ciężkiej cholery!

Skończyłem naprzód w stronę nocnego stolika. Bragg najwidoczniej zle zrozumiał moje zamiaty, bo wrzasnął przerażony i rzucił się do ucieki. Wyrwał rękawem o futrynę, przy czym omal nie stracił rękawicy, znowu wrza-



Rys. Janusz Byszmański-Głone

# Anastasis

JACEK SAWASZKIEWICZ

niał i wypadł na korytarz. Łomotnęły zatrzasnięte drzwi. Nagle uprzytomniłem sobie, że przez cały czas jego wizyty były one otwarte.

## XVIII

Pamiętam, że po ucieczce Bragg wypilem resztę Kirschwasser i oba koktajle, po których ogarnęło mnie błogie odprężenie. Pamiętam też, że do kolacji jeździłem na wózku inwalidzkim, ciesząc się tym lupem i klubując sobie, że go nie oddam, nawet gdyby chcieli odebrać mi go przemocą. Albo się jest — mówiłem do siebie — albo się nie jest posiadaczem karty kredytowej z nadrukiem B.O. Wieczorem usiadłem przy biurku, nad dziennikiem. Najczęściej pisałem o tej porze, ponieważ wtedy mogłem podsumować wypadki z całego dnia. Ale pisałem także rano. Był to środek pozwalający mi uwolnić się od wspomnień nocnych koszmarów i uspokoić rozstrzęsione nerwy. Użyłem tego środka nazajutrz po wizycie komandora Bragga.

„Tej nocy przyzłaził ich więcej. Z nadejściem zmierzchu, rozważając swoją sytuację zapadłem w drzemkę, z której wyrwała mnie kłosa muzyka. Nie wiem, z jakich nor powypęły te paskudne gminy, bo kiedy otworzyłem oczy, stały już u moich stóp, zbite w stado przed wózkiem. Główna Bergamotka i Lustrum Paraboliczne wystąpiły na czoło. Wpatrywały się we mnie z zachwalnym szyderstwem, czochojąc się i chichocząc. Te z tyłu raz po raz czestowały je kukuszcami, by dodać im animuszu. Ich śmiech przypominał piszczenie podnieconych gryzoni i w ogóle można je było wziąć za potomstwo szczura i karlicy — pokręcone bobasy z twarzami starców, zdegenerowane dziwolągi, które zwiały z cyrkowej klatki.

Lustrum Paraboliczne wytykał mnie palcem i gminy przekrzykiwały się wzajemnie.

„Widzicie tego faceta na wózku inwalidzkim? To właśnie ten pilot!”

„Jaki pilot?”

„No ten, z tamtego domu. Ten, co nie ma jaj!”

„To on, to on!”

„Dlaczego nie ma?”

„Patrzcie, to on!”

„Kiedys miał. Był na Księżycu i na Marsie!”

„Hej, proszę pana, to prawda?”

„Hi, hi, hi!”

„Ty niedowiarku nigdy go nie widziałeś?”

„Urwało mu za trzecim razem. Jak startował. Ojciec Dietmara opowiadał!”

„To mój ojciec opowiadał!”

„Mój też?”

„I mój!”

„To prawda, proszę pana?”

„Ty, poprosz go, żeby ci pokazał, czy ma jaj!”

„Hi, hi, hi!”

„No ci mówię. Jego nie pytaj. Jest głuchy i nic nie pamięta!”

„Skąd wiesz?”

„Już miał startować, ale coś pieprzio. Facet patrzy, a tu nie ma jaj!”

„Ma któryś petarde?”

„Co pieprzo?”

„Ledwo go uratowali. Pomieszało mu się w mózgowicy!”

„To po co on jeździ na wózku?”

„A jak bez jaj ma chodzić, ty sieroto?”

„Moja siostra nie ma jaj i chodzi!”

„Hi, hi, hi!”

„Głupi jesteś. To macie te petarde?”

„Zara pieprznie i on wszystko przypomni sobie z powrotem!”

„Hi, hi, hi!”

Pamiętałem, jak dobrze pamiętałem te sceny! Niektóre zdarzenia z okresu dzieciństwa

pamiętamy tak dokładnie, jakbyśmy uczestniczyli w nich przed godziną.

Ten stary mieszkał na peryferiach osiedla, w parterowym, zaniedbanym domu, w którym okiennice zawsze były zamknięte naглуcho. Żył samotnie i na ubożu, unikał ludzi i rzadko pokazywał się w mieście. Nas, chłopców z jednej dzielnicy, fascynowała jego niezwykłość. Uważaliśmy, że jest pomyślny, groźny i tajemniczy. Dorosły niechętnie o nim mówili, co naturalnie zaostrzało naszą ciekawość. Potrafiliśmy miesiącami nie okazywać mu zainteresowania, ale gdy telewizja podała wiadomość o jakiejś katastrofie w kosmosie, zawście zbieraliśmy się przed jego domem, by opowiedzieć sobie o starym niestworzone historie. Stawał się wówczas obiektem naszych okrutnych żartów. Któryś z nas, sym psychiatri, podał nam sposób, w jaki można przywrócić mu pamięć, słuch i władzę w nogach. Tego rodzaju miała dokonać petarda podłożona pod jego wózek. Stary wszakże zachował i pamięć, i słuch, o czym przekonał się później, a na przywrócenie mu władzy w nogach nie pozwolił nawet doświadczonym szwajcarskim chirurgom.

Teraz, tej nocy znalazłem jego miejsce. Steżałem na wózku inwalidzkim, który równie dobrze mógł być fotelem pilota, i rozmawiałem z ówrodkiem kierowniczym. Śmiech i szyderstwa gnomów ginęły nie docierając do moich uszu. W przestrzeni brzmiały tylko polecenia łącznika z o-ka w Carnarvon i odpowiedzi, które mu dawałem:

„...Roger, Carnarvon, tor i nawigacja w porządku!”

„Masz trzy osiemnaście do startu. Odliczanie trwa nadal, stan urządzeń fest GO. Podaj kontrolę głównego zapłonu!”

„Główny zapłon, podaje kontrolę!”

„Kontrola przyjęta, zapłon w porządku. Temperatura na CANU wzrosła do 1,3. Opuść przesyłony na 0,6!”

„Przesłony na 0,6. Gotowe!”

„Dwa czterdzieści do startu, Sted, uwaga CANU GO. Przekazujemy sterowanie na twój CMC!”

„Potwierdzam, Carnarvon!”

„Przełącz SASE dla silników pomocniczych na jeden!”

„SASE dla silników pomocniczych na jeden. Wykonuje Wykonałem!”

„Temperatura na CANU wzrosła do plus 1,3. Co się tam u ciebie dzieje? Czy możesz potwierdzić, że wszystkie RCS chłodzenia ustawione są na AUTO?”

„Potwierdzam. Wszystkie RCS chłodzenia na AUTO!”

„Sprawdź ciśnienie w PUC II. Uwaga, Sted, temperatura na CANU plus 1,3!”

„Roger, sprawdzam PUC II. Ciśnienie 0,4 przewidywanej wartości Spada!”

„Co z pompą awaryjną? Włącz PUC II D-B. Pozycja A!”

„Pozycja A dla PUC II D-B. Wykonałem!”

„Kontrola negatywna. Przesłony na 0,8!”

„Przesłony na 0,8. Gotowe!”

„Temperatura nadal rośnie. Jest jeden dwadzieścia do startu i przerywamy odliczanie. Urządzenia NO GO, NO GO. Over!”

„Roger, urządzenia NO GO!”

„Sted, masz na CANU plus 2,4! SASE dla silników pomocniczych na zero!”

„SASE dla silników pomocniczych na zero. Wykonuje Wykonałem!”

„Zapłon pomocniczy stop!”

„Zapłon pomocniczy stop!”

„Nie mam potwierdzenia. Zapłon główny stop!”

„Zapłon główny stop!”

„Jest główny stop. Nadal nie mamy potwierdzenia stop dla zapłonu pomocniczego. Przełącz na sterowanie ręczne. Pośpiesz się!”

„Przełączam na sterowanie ręczne. Nie... Zaraz...”

„Szybciej, chłopie!”

„Sterowanie ręczne brak odpowiedzi!”

„Temperatura na CANU plus 3,1! Sted! Przesłony na MAX!”

„Przesłony na MAX...”

Nie zdążyłem. Ta eksplozja wykwitła pod moim fotelem dwiema żagwiami ognia i pary. Zdrętwiałem od pasa i straciłem czucie w nogach. Gryzący dym wdął mi się do płuc i runąłem w czarną otchłań.

Kiedy odzyskałem przytomność, gminy stały półkolem przede mną. Z wysokości inwalidzkiego wózka nie wydawały się już tak odrażające, blade i komiczne. Były godne politowania — gromadka głupawych przebiegaczy, tragicznych kalek, wynaturzonych potworków, co na dzień duszy chowają ponurą urazę do świata, bo świat wzgardził nimi i ze zgrozą odepchnął je od siebie. Były głupie, złe i brzydkie, i tak bardzo spragnione miłości, że zaplakałem nad nimi. Szlochałem długo, bardzo długo, a one zastępyły z wyrazem wzruszenia na zdeformowanych twarzach, aż w końcu cofnęły się z szacunkiem i stąpając na palcach cicho opuściły pokój.

## XIX

„Wstałem o ósmej, śniadanie zamówiłem na dziewiątą. Umyłem się, ogoliłem, wyszczotkowałem włosy, obciąłem paznokcie, pomasowałem worki pod oczami i rażno wkroczyłem do wnęki kuchennej. Przez minutę w bezbrzęczym zdumieniu szacowałem obfitość przysłanych potraw, po czym przycisnąłem guzik w futrynie okienka dźwigu i powiedziałem do mikrofonu:

— Tu Mike Cesara. Czyście nie pomylili się tam o jedno zero?”

Z kilkunastosekundowym opóźnieniem kuchnia odrzekła sopranem, który w głośniku zadźwięczał jak dzwonczki w alpejskiego toboganu:

— Przystaliśmy zestaw trzyosobowy, panie Cesara. Będzie pan dzisiaj jadł śniadanie w towarzystwie pani Emmeliny Raya i doktora Rettmana.

Teraz ja potrzebowałem kilkunastu sekund na odpowiedź.

— Z jakiej to niby racji?”

— Takie otrzyaliśmy dyspozycje, panie Cesara.

— Od kogo? Zresztą mniejsza z tym. Proszę powiadomić doktora Rettmana, że dzisiaj jem śniadanie sam. Dzisiaj, jutro i zawsze. Nie chcę tu nikogo widzieć.

— Niestety, to niemożliwe. Jeżeli chce pan odwołać te wizyty, proszę skontaktować się z doktorem Rettmanem bezpośrednio.

— Ja nie muszę niczego odwoływać — warknąłem. — Nikogo do siebie nie zapraszałem, sami się tu wprośli. Do diabła z nimi!

— Przykro mi, panie Cesara, ale nie na to mi poradzę. Może pan jednak spróbuje połączyć się z doktorem Rettmanem. Jest na terenie Zakładu.

— Ani mi się śni — oświadczyłem.

Uwaga:

„Te dranie tracą już cierpliwość. Imają się różnych chwytów, aby mnie sprowokować do naciśnięcia tastra. Jestem przez nich osaczany, mamiony i szcący gnomami. Jestem szcący, maglowany, gnomowany testowany, jastrowany, kastrowany psychicznie. A oni się wściekają, bo nie chcą skapitulować.

Czerwoną taster to dzwonek przy wrotach do Królestwa Niebieskiego.

Mój ojciec zginał na ostarzu całopalnym. Bóstwo czeka na następną ofiarę. Jedno z imion tego bóstwa brzmi: Syrinsz.”

## XX

„Moje nieproszone goście przyszły o 09.12. GMT. Słowo „przysię” zakłada pewną dobrovolność, toteż należałoby go użyć tylko w stosunku do doktora Rettmana Emmelina nie miała na te wizyty najmniejszej ochoty — z punktu dala się to zauważyć. Patrzyła na mnie jak na katowski topór i trzymała ręce uniesione na wysokości białego, zwyciężając Anneliese, tyle że w gardzie obronnej. Rettman niemal siłą zawiół ją do biurka, gdzie rozstawiłem naczynia, i pchnął ją na krzesło.

— Rad jestem, że to śniadanie zjemy razem — powiedział.

Ja nie mogłem zrewanżować mu się tą samą grzecznością. Usadłem naprzeciwko Emmeliny, by ów gwalt dokonany na mojej wolności osobistej wynagrodzić sobie napawając się jej przerażeniem. Z becznym ukontentowaniem obserwowalem, jak przeżuwa kłski chleba, które ani chybi rosty jej w ustach, a jak drży jej dłoń podnosząca filiżankę.

Rozumiałem ją wybornie i cieszyło mnie, że tak ją rozumiałem. Siedziała oto w bliskości swojego eks-meża, dziesiątą patologicznie zardzewiałego wariata, który przed dziesięcioma dniami przytapał ją na stanowieniu się z samcem i upadł w furję, omal nie zaciukał jej w tym samym łóżku. Teraz też była wobec niego bezbronna, ponieważ doktor Rettman nie zdołałby go powstrzymać, gdyby mu na przykład strzeliło do łba rozwaląc kopniakiem biurko, chwycić ją za szyję i wbić w nią nos stołowy, aż po rękofieś. Tak, cieszyło mnie to.

Emmelina czuła na sobie mój wzrok i widziałem, że coraz bardziej zawołada ją nerwy. Sięgnęła po kanapkę i upuściła ją na obrus, przewróciła butelkę z keczupem, rabnęła kolanem o blat, zakrzętała się, kawa pocięła jej po brodzie — i to ją w końcu załamało. Nie tracąc czasu na rozłożenie zwinętej chusteczki, zamasztyłem ruchem otarła nią waro, przy czym lokciem straciła na podłogę filiżankę, spożywała błagalnie na doktora Rettmana i rzekła mi do niego, ni to do mnie:

C.D.N.



# 1

## Niespodziewany koniec bajki o Czerwonym Kapturku

Kto z nas nie słyszał, nie czytano mu, opowiadano, sam nie czytał dzieciom lub wnuczkom bajki o Czerwonym Kapturku? No, właśnie — kto? Nie będę jednak robił żadnej ankiety na ten temat, niech każdy sobie o tym sam pomyśli. Ale będąc kiedyś na spacerze, zagadnąłem młodzieńca w wieku wczesnych studiów szkolnych:

— Chłopczyku, znasz może taką dziewczynkę w czerwonym kapturku?

— Nie znam — odpowiedział chłopczyk. — Teraz się nie nosi żadnych kapturków. To niemodne.

— Ale to jest dziewczynka z bajki. Jest taka bajka. Nie znasz jej?

— Może i znam. Ale nie lubię. W telewizji są fajne bajki. Pomyślowo Dobromira zna pan? Ale bajki to dla gówniarzy. Ja już wyrosłem z tego. Czep się pan jakiegos gnojka przedszkolaka!

I poszedł sobie, wyniósł trzymając głowę.

Dziewczynki też nie chciały rozmawiać o Czerwonym Kapturku, bo to niemodne. One od bajek wolały filmy o miłości, co leca w telewizji. Kto by się tam dziś przymował losami jakiejś głupiej dziewczynki w czerwonym kapturku.

— No, wie pan, gdyby ten młody leśniczy — powiedziała jedna, która znała widok trzeciej bajki — co to uratował babcię i dziewczynkę, zakochał się w niej, żeby pobrali się i żyli długo, szczęśliwie i mieli wiele kłopotów, to jeszcze byłaby fajna opowieść. Ale ona była za smarkata do takiej miłości. Do tego trzeba dorosnąć.

Na spacerze w lesie zagadnąłem przechodzącego gajowego:

— Czy są tu wilki?

— Wilki? — zdziwił się. — Skąd. Nie ma. To dziś rzadkość. Podobno w Bieszczadach są. U nas są dziki, Chłopom pola bardzo niszcza. Ciągłe skargi mamy. Lis się trafił. Nie, wilków nie ma.

No, tak — pomyślałem sobie — dzik do bajki się nie nadaje. Kto się boi dzika, Czerwony Kapturek nie zapyta dzika, dlaczego ma takie duże uszy i oczy, bo ich takich nie ma. Jak tu opowiadać dzieciom bajkę z wilkiem w ważnej roli, skoro dzieci nie mają pojęcia, jak wilk wygląda. tłumaczyć dziecku, że wilk podobny jest do psa sąsiada z czwartego piętra, na nic się nie zda, bo sąsiad ma babcię, a pies jej do tej pory nie zjadł. Zresztą wszystkie dzieci przed blokiem głaszcą Reksa i Reks wcale nie jest groźny. Tak więc nie tylko zginął wilk, ale i pamięć o wilku.

Pozostała babcia. Z babcią — myślałem sobie — nie będzie kłopotu. Gdzieś przecież w lesie musi mieszkać jakaś babcia, do której wnuczka chodzi z jedzeniem. Zaczniemy szukać babci.

— Owszem — powiedziano mi w jednej wsi — była u nas taka babcia. Mieszkała w lesie.

— Jak to, była? Co się z nią stało?

— Ano, była panie. Miesz-

kała sobie w lesie na dużej polanie. Kłusownictwem się zajmowała.

— Ejże, babcia staruszka się znaczy, i kłusownictwem? Jakże to możliwe?

— Możliwe, wszystko jest możliwe. Widać pan dawno na wsi nie był. Owa babcia — jak pan mówi — to siódma zaklęta i zwierzyne łapała. Zabiła ją i w piwnicy trzymała. Nad rzeką ona mieszkała. To sobie zimną lodu narabiała, do piwnicy naziłowała i przez całe lato zimno tam było jak w zimie, lodówki nie potrzebowała. Mądra to była i zaradna starucha. Jak myśliwi przyjechali, to wcale do lasu nie chodzili i nie strzelali po ptactwo, tylko do staruchy szli, za stołem zasiadali, ona im — panie — mięso szykowała, kiełbasami częstowała i bimberk podawała. A miała dobry, na ziołach stawiany. Sama pędziła. Tacy, miejscy panowie ze strzelbami, to się i bigosu najeśli, mięsem przekasili, bimberku popili i do domu zajęczą zabrali.

— I co się z tą staruszką stało?

— A co się miało stać. Jak mówili, nad rzeką mieszkała. To ludzi przez rzekę łódka przewoziła. A rzeka bystra. Stara wypić też lubiła. Kiedyś jesienią wiozła kogoś za rzekę, przewiozła i wracała. Zdrzemnęła się widać chwilę, bo popiół musiała. Dzień był słotny, zimny. Woda łódź wywróciła. Stara wpadła do wody i utonęła.

Młodego leśniczego już nie szukałem. Co mi zresztą po leśniczym, kiedy nie ma ani Czerwonego Kapturka, ani wilka, ani babci. Dla samotnego leśniczego trzeba nową bajkę napisać, tak więc skończyły się moje poszukiwania śladów i realiów starej, ładnej bajki o Czerwonym Kapturku, babci i wilku.

Cywilizacja pędzi do przodu i zmienia również bajki. Dziś najpopularniejszą jest Pyszczotka Maja. Ale postęp cywilizacji może nam zniszczyć i pszczoły i wtedy biedna Pyszczotka Maja zostanie wspomnieniem minionego. W pogoni za nowoczesnością, nie zapominajmy o tym, co piękne i dobre. Nie psujmy sobie własnego świata.

WITOLD BOROWY

# 2

Felieton pesymistyczny

## Flety proste...

Szanowny Panie Redaktorze.

W pierwszych słowach swego listu uprzedzić muszę, że będzie on nieco niesformalny w formie i treści, ale piszę dość swobodnie na kolanie. Dotarło do nas ostatnimi dniami sporo nowych kuracjuszy, tiok się zrobił, rozszady w pokojach poczyniono rozmaite i tylko dzięki uprzejmości urocznej przełożonej — siostry Halinki mogę teraz w jej przytulnym gabinecie tych kilka słów, za przeproszeniem, spłodzić.

Ci nowi to bardzo interesująca ekipa. Słyszałem nawet, że nasz „Lysol”, notabene wciąż czekający na nominację na zastępcę ordynatora, zamierza umieszczyć ich na jednym, wydzielonym piętrze. Tak ze względu na pewne podobieństwa w ich zachowaniu, jak i przewidywany rodzaj terapii. Nie daję jak wczoraj usiłowaliśmy z magistrem B. i kierownikiem „Dieslem” podjąć jednego z nich za język, wypytać skąd są, w jakich okolicznościach do nas trafili i dlaczego w tak liczny skład. Poważny, starszy facet przedstawił nam się może nieco dziwnie, jako „rozek angielski”. No, ale nie takie rzeczy się tu słyszało i widziało. W rozmow-

ie rozsądny, nasz test, czyli grę w „Państwa, miasta...” zakończył z wynikiem dobrym. Zawył wszystkie ze dwa razy, a gdy dostał szklankę czerwonego, wytrawnego (żona „Diesla” ostatnio nam przeszwarowała...) — to już tylko pomrukiwał pod nosem.

Wieczór zapowiadał się przyjemnie, mieliśmy jeszcze jedną butelkę wina i magister właśnie rozrysowywał „okrety”, gdy zaczął gwizdać czajnik z wodą, cośmy ją na „miałą czarę” potrzebowali. I wówczas to nasz „Rożek” wyszarpnął z marynary taki mały flet i zaczął przeraźliwie pitulić. Ale jak! Żeby w tym był choć kawałek melodii! Skąd, wykołał kilka szybkich gwizdów, raczej wysokich, tupnął nogą, następnie wyrzucił tyczkę w czarę. Kłuka razy, po czym wrócił do swej świątyni. Dał się wlezieć, aż w uszach świdrowało. Magister, przygotowany na wszystko, wyciągnął waciki z kieszeni i poupychał w małżowiny, mnie zaczęło znów niebezpiecznie łupać z tyłu głowy. Kierownik „Diesel”, jak zwykle poręczony, złapał lampkę nocną i ze słowami: „O zesz ty stara okaryno...” zamierzał przerwać skutecznie solowy występ. Powstrzymała go nasza Halinka, przekrzykując pisk instrumentu: — Poczekajcie jeszcze, może mu ulży! Ale swą zgrabną rączkę cały czas trzymała na czerwonym przycisku: wiedziliśmy, że kiedy „Rożek” przesadzi — w sekundę zjawi się sanitariusz Józio ze swym nieodłącznym kaftanikiem.

Ale to miał być dopiero początek koncertu. Uchyliły się bowiem drzwi i na palcach wskoczył do pokoju niski, łysawy jegomość z czarnym futerałem od skrzypiec. Przeważnie go zresztą „Futerał”, bo się z nim rzeczywiście nie rozstawał. Ocy płonęły mu zachwytem i moczując się z zamkami wyszeptali:

— Scherzo „Smutny Benon” czy nokturn „Zapach soli”? Czy może coś własnego?

— Opóźniony pospieszny do Hawaj! — ryknął magister, który widać mimo wacików słuch miał jak nietoperz. — Dzwoni Halina po Józia!

— Pozwoli kolega, że trochę poimprowizuję na temat? — „Futerał” pokonał wreszcie odporne zamki, wydobyl kawałek rury, pałkę do mięsa i dekiel ze znakiem firmowym „mercedesa”. Najpierw pył sypnął nam w oczy, zacząłem kaslać, reszta świadomości odnotowałem jeszcze przeraźliwy łomot — to „Futerał” naparzał pałką we fragment „mercedesa”.

— Kotyl! Forte proszę, forte! — ryknął radośnie „Rożek” i zapisał ze zdwojona energią „Diesel” z magistrem wyli opętańczo pod stołem, ja z koca azbestowego usiłowalem uwić ochronny czepiek. Na szczęście wpadł Józio z kolegą i dwoma „ubrankami”.

Z przyjemnością wzięliśmy po dwie zielone piguły, oodobnie siostra Halinka, która wreszcie odzyskała przytomność. Przepłukiwałem właśnie oczy, gdy wrócił Józio i pytając popatrzył w kierunku wciąż bladej niczym cyfry kielis siostry przełożonej.

— Nie, nie, panowie są w porządku — Halinka zaczęła uprzątać pozostawione „instrumenty”. — To moja wina, że zerwoliam na ten koncert facetom z „Warszawskiej jesieni”.

— Ale w tym roku jest ich znacznie więcej niż w ubiegłym? — magister wciąż miał obłęd w oku i włos zjęzony.

— Cóż, awangarda atakuje — zarechotał Józio — a mówiliem doktorowi, żeby nie umieszczał wszystkich na jednym piętrze, bo naprawdę zwariują. Ale to nowa terapia „Lysola” — muzykę ze słuchaczami. Martwi mnie tylko ten strzał spod siodełki, jest w ciężkim stanie, tamci się mogli zmieniać, on — musiał wysłuchać wszystkich koncertów. Kasjerka też u nas zostanie dłużej...

— Ale co oni w tym widzą? — „Diesel” otrząsnął się jak pies po kapieli. — Mam w domu parę płyt, jest i Brahms i Beethoven, Kochan Chopina (popatrzyliśmy na niego z niedowierzaniem...). Czajkowskiemu, przetrzymam nawet Krzyszcia Pendereckiego niektóre kawałki, ale tych bym wyduśił własnymi rękami!

— To taka moda, snobowanie się właśnie na awangardę —

podbechtywał magister. — Bo nie wierzcie, żeby normalny, wrażliwy facet wytrzymał taki koncert na pięć fortepianów, pięć tarczową i pogrzebaż...

— „Lub wymiennie: budzik i stara rynne — chichotała Halinka.

— Albo: flet prosty, odkurzaczy i butelki po mleku — dorzuciłem odważnie, awangardowo bardziej.

— I tak wszyscy do nas trafia — machnął ręką sanitariusz Józio. — No, flety proste — spać, bo halas był taki, że la da moment wpadnie ordynator.

Będę rano musiał poprosić o przeniesienie...

STEFAN ŻYCIOWY

# 3

Lewym okiem

## Taczki przy studni

W pięknym, pełnym zieleni Hamburgu, w dzielnicy Wandsbeka, znanej z powieści Stefana Zweiga („Topór z Wandsbeck”), jest przy ruchliwej ulicy niewielki cmentarz. Wysoki mur odgrada go od ulicy, od całego jej zgiełku i blichtru. Wchodzi się tam jak do pięknego ogrodu: same drzewa i kwiaty. Każdy grób, to niewielka pionowa płyta z krzyżem, i prawdziwy, wychuchany, wypielęgnowany ogródek. Przy estetycznych studniach stoją w pogotowiu konewki i taczki, a na taczkach cały ogrodniczy sprzęt: nożyce do żywopiółów, grabie, łopatki, motyczki. Wszystko czyste i lśniące jak nowe. W letnie południe roboczego dnia nikogo na cmentarzu nie ma, nikt narządzi nie pilnuje, one są do użycia dla każdego i wiadomo, że każdy po użyciu odłoży je w to samo miejsce, a przedtem oczyści do połysku. Jakże daleko jesteśmy od takich obyczajów — z naszymi łyczkami w barach, powycinanymi w zębki celem zniechęcenia złodziei, z uciętymi nożami, z książkami telefonicznymi na łańcuchach i z pokrojonymi siedzeniami w pociągach, jako że z dermy można coś tam „wykombinować”...

Nasze cmentarze to przynęblające zwałiska głazów. Gdy wchodzi pomędzy te potężne pomniki, te tysiące metrów sześciennych spiętrzonych kamieni, czuję wręcz fizycznie przytłaczający ciężar tego wszystkiego. Nie ma w tym nic z nastroju pokory, pietyzmu, zadumy, nic nie sprzyja czulej pamięci o tych, co odeszli, nic nie zwraca myśli ku sprawom egzystencjonalnym. Te rozpychające się góry lastryka, marmuru i granitu, te wlażące na siebie wzajem sarkofagi bijące w oczy złotymi literami, to jedyny wielki popis pychy i arogancji, żądry wykazania za wszelką cenę jeszcze tu, jeszcze i przy tej „okazji”, straszno-mieszczniańskiego statusu społecznego i poaż się Boże, wielkiej rodzinnej zachości potomnych.

Cała ta pomnikowa gigantomania ma zresztą także drugą stronę. Stawia się taki gmach na miejscu pochówku i już można tam nigdy nie chodzić: gmach będzie bardzo długo i dobrze świadczył o pamięci, a więc i o charakterze tych, co tu kogoś pochowali. Nie trzeba żadnych zabiegów konserwa-

cyjnych, wystarczy raz na rok lub parę lat odgarnąć trochę suchych liści, nawianych z daleka. Bwawają zresztą omentarze jak kamieniolomy — pozabawione w ogóle drzew, tam żadnych liści zniknąć nie nawieje. Może i tu leży sedno sprawy: nie trzeba zabiegów konserwacyjnych ani żadnych innych, czyli inaczej mówiąc — nie trzeba płacić za opiekę nad grobem. To wcale niebiała rzecz.

Oplaty za najdrobniejszą czynność sięgają już gangsterskich rozmiarów. Obsadzenie mogiły kwiatami, podlewanie — za byle co płaci się dosłownie tysiące złotych. Umycie płyty: dwa tysiące. Uformowanie mogiły i umocnienie jej popularną „kurką” — pięć tysięcy! Pięć tysięcy za dwie godziny prymitywnej, niekwalifikowanej i wcale nieciężkiej pracy. To jest cena autentyczna (dla ścisłości: w Warszawie). Rachunek jaki mi przedłożono (nieformalny, ot taki: „żebyś pan wiedział za co”) za uporządkowanie nowego grobu wyglądał prawie jak skecz z jakiegoś Grand-Guignolu: wydobyć ziemi, odsypanie ziemi, załadowanie ziemi, wywiezienie ziemi, wyładowanie ziemi, zgoda na wyładowanie, wyrównanie, ukanie, konturowanie... I oczywiście „zaokrąglenie” w związku z niezbędnym pół litrem. Złodziejstwo, pazerność, chciwość i chamstwo. I żadnej rady nie ma.

Mówią chycząjnie i z przekonaniem: nie ma żadnej rady. Za dziesięć pokoleń jeszcze nie będziemy stawiać tacek z narzędziami do publicznego użytku. Za dziesięć pokoleń nasze cmentarze — poza tymi najbardziej wiekowymi — nie będą wyglądać jak miejsca użyteczności publicznej — czyste, spokojne, ciche, pełne harmonii i piękna.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

# 4

Sport

## Widzew wrócił do szeregu

Fubileusz dobiegł końca. Rozdano medale, pochwały, podsumowano osiągnięcia, raczej nie wspomniano o porażkach, wzniesiono toasty i powróciła szara codzienność. Trzeba było stanąć do walki. Już w Turcji jedenastka RTS Widzew otrzymała zimny prysznic, choć pogoda była raczej upalna i sprawozdawcy sportowi pisali, że była to „turecka łaźnia”. Poza stały jednak nadzieje na rewanż w Łodzi. I oto nadszedł ten moment. Bronisław Waligóra był pełen optymizmu i marzył tylko o tym, aby w pierwszej połowie strzelić wyrównującą bramkę, a reszta już pójdzie jak z góry. Nie poszło. Była bramka i jest porażka Jupp Derwall był pełen kurtuazji, przyznawał, że faworytem jest Widzew, ale nadzieje jego podtrzymywał fakt, że skoro już ustalono premię za awans Galatasarayu, w wysokości 2,3 tysiąca marek RFN dla zawodnika, to wszystko jeszcze jest możliwe. I okazało się możliwe. Piłkarze RTS Widzew wrócili do szeregu przeciętności. Dla nikogo, kto uważnie przygląda się poziomowi polskiej piłki

nożnej, nie wyda się dziwnym fakt, że wszystkie polskie zespoły odpady po pierwszych rundzie z pucharowych rozgrywek. Z wyjątkiem Legii.

Gdy Bronisław Waligóra powiedział, że do drugiej rundy Pucharu Zdobywców Pucharu przeszedł słabszy zespół, Jupp Derwall skrzywił się. Istotnie, widzewiacy już zapomnieli, jak to niegdys sami krzywił się, gdy po wyeliminowaniu europejskich sław dziwiono się, że jakiś słaby klub z małego miasta Łodzi potrafił awansować pokonując tak silnego przeciwnika. Porażkę trzeba umieć przyjąć z godnością i umieć spojrzeć prawdzie w oczy. Lekceważeniem przeciwnika daleko się nie zajdzie. Ot, po prostu widzewiacy są dziś gorszym zespołem niż byli niegdys, a po drugie — w ogóle nasza piłka nożna jest dziś gorsza niż była niegdys. Stracono bojowość, odwagę, charakter. Poziom ligi nie jest najwyższy, ale mało kto ma odwagę to powiedzieć. Poziom naszej ligi daje się dopiero sprawdzić w konfrontacji z zagranicznymi drużynami. Właśnie taką konfrontację mieliśmy. I co?

Można oczywiście wszystkie zwalcił na przeciwników, pogodę, terminy, daty, los, tremę, kryzys i tak dalej. Ale to i tak nie zmienia faktu, że nasza piłka nożna nie należy do najmocniejszych. Remis w Chorzwie w meczu z Belgią daje nam na razie tylko awans do Meksyku, ale nie gwarantuje, że w tym Meksyku przejdzie my zwycięsko eliminacje. Pojechać do Meksyku, to mało, trzeba jeszcze tam zwyciężyć. Czy naszą piłkę nożną w tej chwili na to stać? Obawiam się, że nie. Trzeba zatem wziąć się do roboty, uczyć się, uczyć, trenować, trenować i doskonalić technikę. Turecki Galatasaray jest może i średnim klubem w europejskiej skali, ale jego zawodnicy są dobrze przygotowani technicznie. Powiedziałbym, że z niemiecką dokiadnością.

A teraz nieszczęsna sprawa karnego, którego nie strzełił Włodzimierz Smolarek. Może to się zdarzyć każdemu zawodnikowi. Sni się to wprawdzie później po nocach i człowiek nie może sam się z sobą pogodzić. Wydaje mu się, że wszyscy się z niego śmieją. A przecież przy strzeleniu karnego jest dwóch zawodników: ten, który strzela i ten, który łapie. Kiedy Jan Tomaszewski łapał karne, kiedy bronił je Józef Młynarczyk, to wszyscy jednogłośnie krzyczeli, że są to bohaterzy. Popatrzmy więc teraz na to z drugiej strony. Przecież Jugosłowianin Simovic nie był zły w bramce Galatasarayu. Był to godny przeciwnik Włodzimierza Smolarka, który zresztą nie jest obecnie w najlepszej formie.

Fucharowe rozgrywki mamy już w zasadzie za sobą, choć czekamy jeszcze na dalsze boje Legii. Nie zmienia to jednak faktu, z którego wynika konieczność zastanowienia się nad przyszłością polskiej piłki nożnej. Klubowe drużyny przechodzą szybkie zmiany kadrowe. Starsi odchodzą, przychodzi młodsi. Jest to proces naturalny, ale w naszym wykonaniu jakby sprany. Zmiany dokonują się zbyt szybko. Na miejsce doświadczonych zawodników przychodzą źle przygotowani następcy, niedozkoleni, a już tak zarumianali, jakby wszystkie zwycięstwa mieli w kieszeni. Zarabiają znacznie więcej niż ich rówieśnicy spoza sportu, a to wyzwala u nich — niestety — zbyt dobre samopoczucie. W rezultacie tego Anton Piechniczek ma kłopoty ze skompletowaniem narodowej reprezentacji, a w wielu klubach mimo że jedenastki zawodników wybiega na boisko, to często słabe poszczególne formacje sprawiają wrażenie, jakby na boisku nie było jedenastki piłkarzy, a znacznie mniej. Brakuje napastników, pomocników, stąd słabe są linie ataku i pomocy, drużyny oddają przeciwnikom środek boiska i napastnicy muszą wracać pod swoją bramkę, aby ratować ją przed atakiem. Wprawdzie Zbigniew Boniek utrzymuje, że dziś na boisku powinno być 10 uniwersalnych zawodników, którzy potrafia atakować, bronić i prowadzić atak pozycyjny, ale takich zawodników trzeba po prostu dobrze przygotować. Czego życzyć nie tylko Widzewowi.

BOGDA MADEJ



Nie współzili też ze sobą, zresztą, z nim się coś dziwnego stało — przestał mieć ochotę na te sprawy. Człowiek się wykończony, wypalony. Czytał, spał, oglądał telewizję, spacerował po mieszkaniu w miękkich pantoflach. Na czwarty dzień przyjechał po niego samochodem, wręczył nominację na strażnika łowieckiego, poczekali aż się spakuje i wsiadł do pociągu. Wówczas to dowiedział się, że istnieje jakaś wioska Mordegi, do której musiał potem dojechać autobusem. „Dla pańskiego dobra” — powiedzieli mu na pożegnanie. — „Proszę nie przyjeżdżać do stolicy, ani do żadnego większego miasta”. Podali hasło kontaktowe. Ucieszyli się, że skończyła się dla niego bezczynność, znalazł się w ogromnych lasach i samotnie na koniu będzie mógł przemierzać ścieżki i drożki leśne. Zle się jednak stało, że zamieszkał w leśniczówce Kuleszy i musiał słuchać jak skrzypi łóżko na górze. To wzbudziło w nim irytację, pogłębiało poczucie strachu, że stał się podobny do tego faceta, który go śledził powodowany zazdrością, ponieważ po przesłuchaniach na policji już nie mógł współżyć z posługaczką hotelową. Czy taki miał być koniec również i jego, Józefa Maryna?

...O zmroku zasnął stary i zapalił światło w pokoju. Zadzwoił do centrali hotelowej i poinformował, że schodzi na kolację, więc gdyby ktoś do niego dzwonił, niech zrobi to za godzinę. Na moment zajął do sali, gdzie grała orkiestra, ale na parkiecie nikt jeszcze nie tańczył. Przy stolikach siedziały same dziewczki i było bardzo mało mężczyzn, przeważnie zresztą Arabów. Zjadł w barze na piętrze, potem jednak znowu wszedł na dół i palił papierosa na długą chwilę zatrzymał się w korytarzu obok damskiej toalety. Pod każdą szerokością geograficzną spragniony płatnej kobiety po prostu czeka na dziewczkę w korytarzu do damskiej toalety. Dziewki latały tam bez przerwy — aby się podmalować, ale zawsze chodziło o coś innego.

Mimolot go kilka, zatrzymał wysoką, szczupłą blondynkę z długimi jasnymi włosami, w białej haftowanej bluzeczce i w białych szarawarach. Przypominała trochę Erykę, zaledwie przypominała, bo Eryka miała urodę niemal doskonałą, a ta przestępna.

— Moglibyśmy spędzić parę chwil w moim pokoju — powiedział do niej po niemiecku.

Obrzuciła go uważnym spojrzeniem. Nie bardzo wiedziała, co mu odpowiedzieć, gdyż wydał jej się podejrzany. Był za przystojny. Taki facet wyjdzie na ulicę przed hotel i już ma tak zwaną uczciwą dziewczynę, które lubią spacerować w pobliżu hotelu. Nie wykluczała jednak możliwości, że ten facet woli dziewczki.

— Na jak długo? — zapytała słabą niemiecką.

— Dwie, trzy godziny...

— Skłoniła głowę.

— Powiem swojej koleżance i zaraz do pana przyjdę. Który jest pana pokój?

— Zaczekam tutaj — wruszył ramionami.

Nie chciał podawać numeru. Prawdopodobnie miała znajomości w recepcji. Przed wyjściem do Maryna, mogła zapytać o niego i dowiedzieć się, że Maryn nie jest cudzoziemcem.

Skłoniła głowę i wróciła na salę dancinową. Nosila tylko kolorową kosmetyczkę — jak każda dziewczka. Zaśniej torbę i dokumentów. W kosmetyczce paczka prezerwatywy, szminka do ust, ołówek do brwi, chusteczka, jakiś bezwartościowy drobiazg, zapalniczka, papierosy.

Przyszła po krótkim czasie i Maryn znowu wytrzymał w niej nieufność, choć szczerzył zęby, przywoływał na twarz beztroskie uśmiechy.

— Może najpierw czegoś się napijemy? — zaproponowała.

— To się da zrobić u mnie — odrzekł.

Gdy szli korytarzem, zapytała:

— Na' długo przyjechałeś?

— To się okaże — powiedział. — A ty, co? Pracujesz dla polski?

Udała obrażoną. Nie odezwała się już ani słowem, on zaś, otwierając drzwi i wpuszczając ją do pokoju z zadowolonym skonstatowaniem, że nie stracił niczego z nawyku zawodowca: polskie gazety, które czytał, przed wyjściem starannie poskładał i ukrył w szufladzie biureczka. Nigdzie nie było żadnego drobiazgu, który jej lub komukolwiek, hanemu mógł cokolwiek powiedzieć o człowieku, mieszkałym w tym numerze.

— Chce się czegoś napić — oświadczyła, zatrzymując się na środku pokoju.

— Nie piję — ziewnął.

— Ale ja piję.

— Woda jest w kranie. A szklanka, w łazience.

— Biorę z góry. Dawaj forsę. — odezwała się ostro.

Maryn przestał się uśmiechać. Wtedy ruszyła do drzwi.

— Zaczekaj — powiedział i sięgnął po portfel. Wyjął z niego zwitek marek i rzucił go na hotelowe biureczko.

Zawróciła, przeliczyła banknoty i chciała je schować do kosmetyczki, ale niespodziewanie przegub ręki z pieniędzmi znalazł się w silnym uścisku palców Maryna.

— Najpierw pokaż, co potrafisz.

— Dajesz za mało — stwierdziła.

Wyjął z kieszeni papierosy, podsunął paczkę w jej kierunku.

— Jeśli ci za mało, to możesz sobie pójść...

Przyjęła papierosa, poczekała aż jej przypali. Usiadła na krześku przy biureczku, kosmetyczki położyła obok świtka banknotów. Z kosmetyczki wyjęła zagraniczną prezerwatywę.

— Skąd wiesz, że lubię z gumą? — zapytał.

— Tacy jak ty, lalusi, zawsze chcą z gumą. Boją się zarazić — po raz pierwszy się uśmiechnęła. — Nie mógłbyś gadać po angielsku? Po angielsku umiem trochę lepiej.

— Nie znam angielskiego.

Rzeczywiście, po niemiecku mówiła słabo. Przeważnie bezokolicznikami. Jego niemiecki też nie był bez zarzutu, ale ona się na tym i tak nie mogła poznać.

— Podmyję się — poklepała Maryna po ramieniu, zgasła niedopałonego papierosa i poszła do łazienki. Maryn szacował, że rozległ się szum wody i ochłapanie, sięgnął do kosmetyczki i z zawodowego nawyku sprawdził zawartość. Miała notesik. W innym kraju już by go jej zabrał. Iwo Bunder twierdził, że nie ma lepszej lektury niż notesiki luksusowych prostytutek. Ale ta ani nie była luksusowa, ani ten jej notes nie mógł mu się do niczego przydać.

Gdy przyszła z majtkami i ubraniami w rękach, on leżał nagi na koldrze. Palił papierosa i patrzył w sufit, kurewskie majtki i biustonosz zawsze napawały go wstępnym. Dlatego nie nadawał się do tego, do czego nadawał się Iwo Bunder.

— Połóż się na brzuchu, rozrzuć włosy na plecach — rozkazał jej.

Posłusznie zrobiła jak chciał. Miała długie smukłe uda, małe pośladki, plecy prawie zupełnie zakryła jasnymi włosami. Pomyślał, że będzie mu przypominać Erykę, której pragnął. Ale nie odczuł w sobie ani odrobiny podniecenia.

— Wierzysz w prawdziwą miłość? — zapytał.

— No pewnie — mruknęła.

— Ale ja mam na myśli czystą miłość.

— Jak się kobieta podmyje to jest czysta.

Pomyślał, że go nie zrozumiała, bo słabo zna niemiecki.

— Chciałem powiedzieć, czy wierzysz w taką miłość, gdy kobieta idzie za mężczyzną nawet w daleki świat. Nawet wtedy, gdy nie może liczyć na to, że będzie rzuł przez ukochanego mężczyznę.

— Nie rozumiem.

— Nie słyszałaś nigdy o tym, że kiedyś, w dawnych czasach, zrywano ludzi na wygnanie? Za mężczyznami szły kobiety i mogły tylko ich oglądać w drodze do pracy w lesie. One pozostawały im wierne. Kochały ich.

Zapytała:

— Będziemy ze sobą gadać, czy się pierdolić?

Powiedziała mu wulgarnie „reiten”, co znaczyło, że już nie raz miała do czynienia z Niemcami.

Wyciągnęła rękę spod brody i sięgnęła nią po jego członka. Był wiotki, więc zaczęła go leciutko uciskać palcami.

— Nie chce ci się — stwierdziła. — To się zdarza po podróży. Zainteresowała się jego bandażem na ramieniu.

— Co ci się stało w rękę?

— Pies mnie ugryzł.

# Wielki las

(15)

ZBIGNIEW NIENACKI

- Wściekły?
- Tak.
- To i ty się wścieknieś.
- Na pewno.

Zgasił nocną lampkę i leżał w ciemnościach obok siebie. Odjął jej rękę od swojego członka. Denerwowały go jej niezręczne pieszczoły, nie chciał jej paluchów na swoim penisie. W tej chwili jako wyrok na siebie przyjął świadomość, że nie wróci do zawodu, bo jest zbyt znerwicowany. Kiedy się odezwie ów Robert, powie mu, że muszą mu dać jeszcze trochę czasu. Powróci do lasu, do Horsta Soboty, do Kuleszy i Weroniki. Przypomniał sobie jak Budryś i Wzdregę trzymali Weronikę, szlafrok jej się rozchylił, ona się szarpała, przyciskając lokkami duże piersi, wypinając brzuch, a potem zakrywając dłońmi czarne gęsto owłosione łono. Wyobraził sobie, że to on rozchyła uda Weroniki, a potem patrzy w jej oszalałe z nienawiści oczy — i raptem poczuł podniecenie. Takich oczu nigdy nie miała Eryka. To dziwne, nie podobała mu się ta dziewczyna z lasu, nie pragnął jej ciała, ale chciał, żeby te jej oczy na niego, Maryna, patrzyły z takim właśnie wyrazem nienawiści. Żeby broń się przed nim jak przed Budrysem i Wzdregą. Żeby go odpychała jak to się czasem zdarza kobietom silnie przeżywanym spełnieniem. Wydawało mu się, że wchodził w Weronikę patrząc w jej nieprzytomne oczy i doznając silnego wzwołu członka. Szepnął do dziewczyny, żeby ukięła i wypięła tyłek. Wzwoł był tak silny, że aż bolesny, dlatego zapomniał o prezerwatywie. Wszedł jej w pochwę na krótką chwilę i już leżał obok, uspokajając bijące mocno serce.

— Dobrze ci poszło — stwierdziła w ciemnościach, pieszczołtliwie głaszcząc go dłońmi po słabo owłosionych plecach.

Była mu pewnie wdzięczna, że trwało to tak krótko. On też był jej wdzięczny. Tyle czasu nie miał kobiety, a jednak wszystko odbyło się jak należy. Przetęł się. Potem nastąpił nawyk, przyzwyczajenie, penis będzie mu znowu posłuszny.

Rozpięta go uczucie szczęścia do tego stopnia, że z drugiej przegródki portfela wyjął kilka dolarów i dorzucił dziewczce. A potem kazał wyjść. Przeżywał swoje szczęście ostrożnie, powoli, jak smakosz znakomitą potrawę do jakiej przywykł, ale której od dawna nie jadł.

Kilka minut po północy odezwał się telefon.

— Mówi Robert. Mam do ciebie pytanie...

— Słucham...

— He teściu zabrał Iwo?

Maryn zaważał się. Czy to nie była pułapka?

— Pytałeś mnie już o to wiele razy. Dwie — skłamał, bo zawsze należało klamać, jeśli się czegoś nie było pewnym.

— Posłuchaj — powiedział tamten. — Nie mamy czasu, żeby z tobą obojętnie rozmawiać. Chcemy tylko jeszcze jednego potwierdzenia tego, co mówiłeś.

— Powiedziałem to, do diabła.

— W porządku. O to chodziło.

— I to wszystko?

— Tak.

Tamten odłożył słuchawkę, to samo zrobił Maryn. Zapalił papierosa i przez długą chwilę czuł jak ogromna fala rozczarowania przepływa przez jego mózg. Lecz po chwili poczuł coś w rodzaju ulgi. A nawet coś podobnego do uczucia radości. Był rad, że znowu zobaczy Horsta Sobotę i poczuje zapach potu swojej izabelowatej klaczy. I że ujrzy las.

Rankiem wyjechał na północ. W pociągu był tłok i tylko dzięki temu, że nie miał żadnych bagaży udało mu się dostać miejsce w przedziale, i to do tego przy oknie. Kiedy po godzinie jazdy pociąg wjechał na jakiś czas w lasy, Marynowi zrobiło się przyjemnie, że chyba tylko on jeden w całym pociągu wie, co to jest las i jaką ma ogromną moc. To prawda, że istnieli na świecie ludzie w rodzaju Iwo Bundera albo Bulowa i ich niebezpieczne sprawy, ale niezależnie od nich żył także las ze swoim odwiecznym szumem i jak mówili panteiści, cząstką boskości. Albo — jak twierdził Horst — cząstką mocy szatańskich.

Jeszcze tego wieczoru Józef Maryn podłożył Horstowi Sobocie długą list do Okręgowego Zarządu Lasów w sprawie znieszenia emmentarza na półwyspie Wilczy Róg oraz profanacji ludzkich zwłok.

— To prawoządny kraj — wytumaczył Horstowi. — Co by się o tym kraju nie powiedziało, panują tu jakieś prawa i przepisy. I ktoś tego pilnuje, Horst. Ten, co zrobił źle, zostanie

skarany. Wystarczy twoje pismo. Ja w tej sprawie nie jestem potrzebny.

Wierzył w to, co mówił, a Horst Sobota — choć napisał ów list — dziwił się, że nawet taki człowiek jak Józef Maryn jeszcze jednak nie do końca, podobnie jak dawniej Weronika, nie pojął czym jest las i jak odbiera ludziom dusze.

— Dobrze, że wróciłeś, Józwa — powtarzał potem Sobota niemal z czułością patrząc na Maryna. — Dobrze, że wróciłeś, bo przy tobie czuję się mocniejszy. Zmokłem, gdy wracałem z Wilczego Rogu i przez całą dobę miałem gorączkę. Ale teraz już wszystko będzie dobrze. Wkrótce kupię i sprowadzę tutaj dzikiego psa. Takiego jak chciałeś, Józwa. Psa na leśnych ludzi.

— To dobrze, Horst — uśmiechnął się po swojemu Józef Maryn i zjadł kolację, którą przygotowała dla niego Weronika.

Nie spotkał jej jednak ani tego, ani następnego dnia. Potrafiła w jakiś sposób niewidzialny dla niego przygotowywać posiłki. Słyszał tylko terkot maszyny do szycia z pokoju na piętrze.

I wsłuchany w ten terkot — leżąc na swoim łóżku w pokoju na dole — Maryn doszedł do wniosku, że Iwo Bunder już nie żyje. W tej właśnie sprawie wezwała go firma, ale ktoś w ostatniej chwili zdecydował, żeby mu nie przekazywać tej informacji. Jak długo policja może chronić życie człowieka, którego ktoś chce naprawdę zabić, aby tym ukryć przed zwierzchnikami własną nieudolność? Nie można było odejść z ich zawodu — tak sobie, z dnia na dzień, nawet jeśli szło się pod ochronę policji. To był przecież zawód już na całe życie — dlatego nigdy nie mogła się opłacać zdrada, nawet gdy się zdradzało tylko jedną firmę, a inne pozostawiało w spokoju. Nie istniało też takie miejsce na ziemi, gdzie człowiek, który zdradził mógł się poczuć bezpiecznie, jeśli nie wyraziła na to zgodę jego firma albo wszystkie firmy, dla których pracował. Józef Maryn nigdy nie słyszał o takiej zgodzie, choć teoretycznie bywała taka możliwość, jeśli człowiek stał się bezużyteczny. Bunder jednak brał pieniądze od wielu firm. Mógł się więc Maryn jedynie zastanawiać, gdzie zabił Bundera — w którymś z jego wielu mieszkań, na lotnisku, w knajpie, jakimś motelu? Mógł też sam siebie zapytywać, czy w ogóle odnaleziono jego zwłoki.

## Rozdział 6

„Jestem szczęśliwy, szczęśliwy, szczęśliwy” — powtarzał w myślach leśniczy Karol Stęborok i zmeżonymi od niewyspania oczami obserwował nadleśniczego Maszkochę, który ubrany w zieloną pelerynę i wysokie gumowe buty, mimo deszczu i mokrej trawy, w tę i z powrotem maszerował po trzyletniej uprawie.

Te same słowa jak zaklęcie mówił sobie Stęborok niemal przez całą noc i dlatego nie mógł zasnąć. Za oknem buchał las, przy nagim ramieniu czuł ciepły oddech swojej żony, Malwiny; ich dwuletnie dziecko w małym łóżeczku postawionym o wyciągnięcie ręki od ich tapczanu od czasu do czasu cichutko mlasnęło przez sen; głośno spał pies śpiący po stolem — wszystko zdawa się kołysać do snu. Ale on nie mógł zasnąć, bo gnębiła go myśl, że nie jest szczęśliwy. Wmawiał więc sobie, co innego, gdyż — jak to już przekonał się wielokrotnie — przez nieustanne powtarzanie jakiegoś słowa, tworzyła się jak gdyby nowa rzeczywistość, w której odnawiał się jako człowiek szczęśliwy. Tylko, że to szło niekiedy opornie. Dopiero nad ranem poczuł się szczęśliwy i zasnął, ale zaraz zadzwonił budzik, musiał wstać, zrobić żonie i sobie śniadanie, nakarmić dziecko, a potem dopiero wyruszyć do lasu swoim starym motocyklem firmy Harley Davidson. Na uprawie w oddziale 35 był umówiony z nadleśniczym. Nie spodziewał się niczego dobrego po tym spotkaniu i dlatego zaklęciem „Jestem szczęśliwy, szczęśliwy, szczęśliwy”, usiłował się odgrodzić od przykrej rzeczywistości.

Skąd się w nim wzięło to posługiwanie się owym zaklęciem? Kiedy odkrył jego skuteczność?

Nie chciał rozumieć siebie aż tak bardzo, bo to znaczyło wejść we własne wspomnienia, grzebać się w czymś, co nie mogło być przyjemne, a już na pewno wykluczało poczucie szczęścia. Człowiek, jeśli chciał wmówić sobie, że jest szczęśliwy, nie powinien za dużo myśleć o sobie i o innych, zaglądać pod powierzchnię zjawisk, ale jedynie zadowalać się ich przyjemną dla oka zewnętrznością. Jeszcze ważniejsze było, aby dostrzegać cudze nieszczęście.

W dzieciństwie, jego matka wzięła go kiedyś na wizytę do znajomych, gdzie w łóżku leżał chłopiec w jego wieku i umierał na jakąś chorobę. Podługowała twarz małego Stęboroka wyduziła się jeszcze bardziej, ukazał się na niej wyraz smutku, a nawet łzy (nie wiedział, skąd się w nim wzięła ta skłonność do ciągłego udawania kogoś przed sobą i innymi), w głębi duszy jednak poczuł w sobie dziwną radość. Chłopiec miał spononą od choroby twarz, zamglone od cierpienia oczy. Karol Stęborok czuł się zdrowo i nie go nie bolało. W drodze do domu pomyślał, że chłopiec umrze, a on, Stęborok, będzie żył. I wtedy poczuł się naprawdę szczęśliwy. Przeszły istnieć dla niego troski, jakie go jeszcze do niedawna trapiły — fakt, że starsza siostra dostawała od matki rower, a on nie nie otrzymał, młodszy brat był ładniejszy od niego (tak twierdziła babka), bo najważniejsze mu się zdało, że będzie żył, gdy tamten chłopiec umrze.

CDN



Rys. Janusz Szymbański-Glanc